

Tadeusz Starostecki

Plan Wilka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

O powiadanie Tomasza trwało długo. Nic dziwnego. Tyle zagadkowych wypadków, tyle trudnych do wytłumaczenia zdarzeń, dziwnych, uderzających swoją niecodziennością, nawet jak na tutejsze, nie uregulowane jeszcze, twarde życie pionierskie.

Ze wschodu na zachód, z zachodu na wschód płynęły przez te ziemie rzeki ludzi. Dziki nurt wyrzucał na brzeg piane, wszelaką szumowinę, osadzał na mieliznach zmęczonych lub tych, którzy żadnego nie mieli przed sobą portu. Mniej licznie lądowali tu ci, którzy na tej pięknej, a tak spustoszonej, pokaleczonej barbarzyństwem wojny ziemi świadomie chcieli budować nowe życie.

Do tych ludzi należał Tomasz Gruza. Wracając z oflagu, zatrzymał się tutaj, rozejrzał i postanowił zostać. Leśnik z zawodu, nie szukał innych sposobów łatwiejszego bytowania, lecz zgłosiwszy się do właściwego urzędu, objął wskazaną leśniczówkę i na podległym sobie obszarze z zapalem organizował nowoczesne gospodarstwo leśne. Jakoś jesienią, od przypadkowo spotkanego znajomka dowiedział się Tomasz adresu swojej starej, sprzed wojny, gospodyni. Napisał do niej i babina w krótkim czasie zjechała na leśniczówkę, przywożąc ocalałe resztki Tomaszowego gospodarstwa. Janowa - bo tak kazała siebie nazywać - było to stworzenie nad miarę pyskate; nie otarłszy jeszcze łez rozczulenia, wylanych przy powitaniu, już zaczęła zrządzić na kawalerskie porządki panujące w domu i obejściu. Razem z dodaną sobie do pomocy Niemką, Trudą, Wzięły się do roboty i po paru dniach Tomasz nie poznawał własnego domu, tak wszystko lśniło porządkiem i czystością.

Lecz od pewnego czasu w jako tako uregulowany tryb życia Tomasza wdzierać się zaczęły wypadki - początkowo błahe, niby nie powiązane ze sobą, ale coraz przybierające na sile i znaczeniu i coraz bardziej bezpośrednio zwrócone przeciwko niemu.

Teraz właśnie Gruza kończył opowiadanie o tych wydarzeniach. Rafał Żychoń przybył zaledwie przed paru godzinami wezwany nagłym listem przyjaciela i teraz, słuchając, starał się wiązać poszczególne wypadki w jakiś logiczny łańcuch.

Kiedy Tomasz skończył, siedzieli jeszcze dłuższą chwilę milcząc, przetrawiając w myślach słowa i zdania, z których wyłaniać się zdawał groźny cień nieznanego. Wreszcie Rafał zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko kilka razy, wstał i podszedł do okna. Za szybą

noc czarna matową kurtyną przesłaniała świat. Łagodne, przyćmione światło lampy, wiszącej nad stołem, miękko opływało sylwetkę Rafała, rysując jego postać na lśniącym ekranie lustrzanych tafli weneckiego okna.

- Moim zdaniem, Tomaszu...

Nie dokończył rozpoczętego zdania. Nad jego głową z cichym, suchym brzękiem rozpękła się gwiaździsto szyba, kula stuknęła twardo o przeciwległą ścianę, odbijając tynk. Prawie jednocześnie rozległ się przytłumiony huk wystrzału.

- Światło! Zgaś lampę!

Tomasz dygocącymi rękami usiłował pochwycić nad stołem gruszkę kontaktu. Wymykała mu się spomiędzy palców, rozhuśtana pierwszym, nieudanym chwytem.

- Uff!

Gęsta, namacalna prawie ciemność bezksiężycowego wieczoru zalała pokój. Wróciło poczucie utraconego bezpieczeństwa. Dokoła panowała niczym nie zamącona cisza. Słabo pojaśniały prostokąty okien. Rafał bezszelestnie podszedł do siedzącego nieruchomo Tomasza.

- Słuchaj, stary, nie przejmuj się, to na moją cześć... Rafał starał się nawet intonacją głosu dodać otuchy przyjacielowi, uspokoić go. Znał stan jego nerwów. Tomasz potrząsnął niecierpliwie głową.

- Nie mam prawa! Nie mam prawa cię narażać! - wybuchnął. - Nie chcę brać na moje sumienie...

Zerwał się z wygodnego fotela i szybkimi krokami odszedł gdzieś w ciemność. Skrzypnęły głośno i nieprzyjemnie jakieś drzwi. Rafał, oswoiwszy oczy z panującym mrokiem, ostrożnie podszedł ku oknu. Najbliższe krzewy bzów, dotykające nieledwie okien, okryte przekwitającymi już kiściami kwiecica, zgęszczały ciemność, czyniły ją nieprzenikliwą dla oka, zazdrośnie osłaniały kryjącą się za nimi przestrzeń.

Rafał otworzył okno. Monotonny szmer drobnego deszczu tłumił każdy dźwięk, jakby owijał go w watę. Daleko na prawo, nad postrzępionymi wierzchołkami drzew, wisiała luna odległego miasta.

Naraz w tę ciszę, nasyconą wilgocią i jednostajnym szumem deszczu, wtargnął brutalnie dźwięk obcy i groźny. Urwany w połowie krzyk człowieka. I wystrzał. Wysoki, nieartykułowany krzyk, dźwięczący grozą, zgaszony został suchym trzaskiem wystrzału, jak zbyt wybujały płomień świecy. I co najdziwniejsze, Rafałowi wydawało się, że on zna ten głos, zmieniony co prawda w krzyku, ale skądś znany. Słyszał go już gdzieś. Na pewno. Nie było czasu na zastanawianie się. - Tomasz! Tomasz! - zawołał półgłosem. Nikt nie

odpowiadał. Widocznie Gruza nie wrócił. Rafał przelożył nogi przez parapet okna i ostrożnie opuścił się na ziemię. Chwilę nasłuchiwał, lecz nic poza szmerem deszczu i pluskiem spływającej rynnami wody nie usłyszał. Krzyk rozległ się na prawo od niego, jak mógł się zorientować, na skraju świerkowego lasu, podchodzącego tu pod sam ogród leśniczówki, o sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów od domu. Rafał przymknął okno i powoli, skradając się, ruszył w tamtą stronę.

Rzadkie drzewa owocowego sadu nie dawały schronienia przed szpiegującymi oczami przeciwnika. Ktoś patrzący z lasu mógłby łatwo dojrzeć na tle białych ścian domu skradającą się sylwetkę. Rafał zdawał sobie z tego sprawę, i dlatego skokami, zatrzymując się co chwilę, przemykał od drzewa do drzewa. Przylegał szczelnie do chropawych pni rozrosłych jabłoni, chronił się na moment w objęciach rozrastających się nisko gałęzi i znów kilkoma skokami posuwał się naprzód do upatrzonego drzewa. Dotarł do płotu okalającego ogród. Dalej był las. Lekki wiatr wiał górą, kołysząc czubami wyniosłych drzew.

Rafał namyślał się, czyby nie iść do furtki, znajdującej się na skraju ogrodu między sadem i warzywnikiem, gdy najwyraźniej posłyszał jęk. Głęboki, niezbyt głośny i bolesny. Przerzucił się błyskawicznie przez niewysoki parkan i stanął, natężając słuch i wzrok. Ciemność panowała zupełna, najbliższe pnie drzew majaczyły niewyraźnymi zarysami, jak czarne kolumny podtrzymujące sklepienie piekieł. I cisza...

Bezustanny szum wiatru i deszczu zdawał się jeszcze pogłębiać tę ciszę, nabrzmiała niebezpieczeństwem i grozą. Rafał, usłyszawszy jęk, umiejscowił sobie jego źródło. To było tuż na skraju lasu, trochę bardziej na lewo. Z tego też mniej więcej miejsca rozległ się krzyk i strzał.

Ostrożnie postąpił kilka kroków w głąb mrocznego lasu.

Zachręściła mu pod stopą gałązka. Przystanął. Nic. Cisza. Wyjął rewolwer. Cichutki, metaliczny szczełk bezpiecznika dodał mu pewności siebie. Nie wiadomo, co mogło grozić w tej pustce i ciszy.

Na oślep, omackiem błędził od drzewa do drzewa. Nie był nawet pewien, czy zachowuje właściwy kierunek. Co parę kroków przystawał i nasłuchiwał. Oczekiwał, że jęk się powtórzy. Jednakże natężony słuch nie chwycił żadnego dźwięku.

Po dłuższym czasie beznadziejnego błędzenia Rafał zdecydował się pomóc sobie latarką. Wyciągnął rękę w lewo i rzucił wiązkę ostrego światła w bezdenną ciemność. Na mgnienie oka z jaskrawą bezpośredniością ujrzał sinawe, o popękanej korze, pnie świerków, grube igliwie u ich stóp i wątlą, bladozieloną trawę.

Zgasił latarkę i natychmiast ciemność objęła znów wszystko, wessała w siebie i pochłonęła bez reszty. Oślepienie oczy znów przez chwilę nie mogły nic dojrzeć. Rafał przylgnął do ziemi - spodziewał się, że w jego kierunku posypią się kule zaczajonego gdzieś tutaj wroga. Prowokował go. Bez skutku. Cisza i ciemność trwały nie zakłócone żadnym odgłosem, żadnym błyskiem strzału.

Po dłuższej chwili podniósł się i już śmielej zapalił latarkę. Trzymał ją od siebie na odległość wyciągniętej ręki, naprężony i czujny, gotów w każdym momencie paść plackiem na ziemię. Może go tylko chęć ośmielić, skłonić do zaniechania ostrożności? Ale tak jak i poprzednio nie było reakcji, której się spodziewał.

Wstał tedy i teraz już pewniejszy, bacznie omiatał ziemię pękiem blasku. Nie uszedł nawet dziesięciu kroków, gdy obok pnia wielkiej jodły, na rdzawym podścielisku opadłego igliwia, spostrzegł ciemną plamę. Wątła trawa wokoło była wygnieciona. Opodał plamy widniały wyraźne odciski dwóch dużych, męskich obcasów. Ciemnoczerwony kolor rozlanej cieczy nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości.

Krew!

Rafał ukląkł i w świetle latarki przyjrzał się jej dokładnie z bliska. Zaczynała już tężeć. Nieregularna, o ostro zarysowanych konturach kałuża krwi miała wielkość złożonej na pół gazety mniejszego formatu. Zastanowiło Rafała na chwilę to, że brzegi krwawej plamy nie były nigdzie zamazane, jakby krew spływała z góry, a nie sączyła się z rany leżącego człowieka. Właśnie! Rafał rozejrzał się dokoła. Gdzież jest ów człowiek? Nie było go nigdzie w promieniu zasięgu latarki. Odczołgał się? Niemożliwe. Zostawiłby ślady...

Posuwając się ostrożnie, badał ziemię dokoła krwawej plamy. Absolutnie żadnych śladów. Raniony, sądząc po ilości wybroczonej krwi, nie mógł ot tak sobie wstać i odejść. Nie miałby sił. Ale nawet zakładając, że miał herkulesowe nogi, to przecież idąc, zostawiałby krwawe ślady.

Zabójca, a raczej zabójcy - bo musiało być ich dwóch co najmniej - usunęli rannego. Usunęli tak ostrożnie i przebiegle, że nie zostawili żadnych śladów poza tą ciemną plamą krwi, połyskującą na rdzawym podścielisku świerkowego igliwia. Rafał pochylił się i dotknął powierzchni zastygłej kałużki. Zimna, lepka ciecz przylgnęła do czubka palca.

Fu! Nieprzyjemne wrażenie. Starannie wytarł palec o korę najbliższego drzewa. Jeszcze raz rzucił spojrzenie w ślad za kręgiem światła. Nic. Pustka i cisza. Tylko las szumiał niezmiennie, jednostajnie.

Nie miał tu co robić dłużej. Zgasił latarkę: Spojrzał w kierunku leśniczówki i zdziwił się. Wielki budynek, ciemny i mroczny, gdy go opuszczał, jarzył się teraz wszystkimi

oknami, oświetlony od piwnic aż do szczytu. Rafał przyspieszył kroku. Niewątpliwie coś się tam działo. Ale nic złego chyba, skoro dom oświetlony tak rześście...

Przesadził płot i ostrożnie podszedł do okna, którym wydostał się z domu. Było zamknięte. Obszedł tedy dokoła i zadzwonił u frontowych drzwi. Na dźwięk dzwonka prawie natychmiast pogasły wszystkie światła w całym domu. Ktoś podszedł do drzwi powolnym krokiem. Przystanął i dopiero po chwili zapytał ostro:

- Kto tam?!

Był to głos Tomasza.

- Ja jestem. Otwieraj śmiało!

Rafał musiał jednakże odczekać, zanim Gruza uporał się z zamkami i zasuwami. Wreszcie w szparze uchylonych drzwi pojawił się jęczyczek światła ręcznej latarki.

- Sam jesteś? - wydało się Rafałowi, że w głosie Tomasza zadźwięczało zdziwienie i ulga.

- Sam. Dziwisz się temu? Spodziewałeś się, że Dziewicę Orleańską ze sobą przyprowadzę?

Tomasz machnął ręką. Podszedł do ściany i przekręcił wyłącznik. Światła zapłonęły w całym domu. Wszystkie drzwi, wiodące do obszernego hallu, pootwierane były na oścież.

Co tu się działo? - pomyślał Rafał.

Tomasz przyglądał mu się zdziwionymi i uradowanymi jednocześnie oczami. W rękę trzymał nie zgaszoną jeszcze latarkę, której światło w blasku silnych żarówek bladło i niknęło.

- Słuchaj, Rafał, ty sam wyszedłeś z domu?

- Czy ty oszalałeś, człowieku? Najpierw zdziwiony jesteś, że sam wracam, później dopytujesz się, czy sam wyszedłem!... Starej Janowej miałem proponować romantyczny spacer przy księżycu? Nawet nie ma księżycy.

Tomasz nie czuł się dotknięty drwinami Rafała. Przeważała radość z jego powrotu.

- Nie, mój drogi. Ja, widzisz, bałem się o ciebie. Piekielnie się bałem. Pamiętasz, gdy odszedłem od stołu, wpadłem tu, do hallu, bo tu jest wyłącznik światła na cały dom. Wyłączyłem światło. Naraz usłyszałem strzał. Gdzieś tu za domem, blisko. Tak mi się przynajmniej zdawało. Gdy wróciłem do stołowego pokoju - ciebie nic było. Okno zastałem otwarte. Przeszukałem cały dom. Nie znalazłem cię... wówczas pomyślałem, że cię uprowadzili. I ten strzał... Bałem się o ciebie. Bardzo się bałem.

- No, już jestem, wszystko w porządku. Nie martw się, chłopie.

Tomasz desperackim ruchem chwycił się za głowę. Trzymaną w ręku nie zgaszoną latarkę rzucił na stojący obok kwietnik.

- Ja... ja zawiadomiłem milicję, że zostałeś uprowadzony... że cię porwali. Przecież muszę to teraz odwołać! - Nakręcał tarczę nerwowymi ruchami. Trzęsące się palce nie trafiły do właściwych otworów. Mylił cyfry. Wyłączył aparat i znów nakręcał.

- Halo! halo! tak... posterunek milicji? Halo!... Proszę komendanta! Jest pan? Panie komendancie, chciałem zawiadomić, że mój przyjaciel wrócił. Przed chwilą. Nie, sam wyszedł. Przepraszam, to było moim obowiązkiem... Dzieją się takie rzeczy... Nie, to wasz obowiązek. A gdyby naprawdę to był wypadek? Zresztą, to już w tej chwili nieważne...

Rafał podszedł do aparatu i odebrał z rąk Tomasza słuchawkę.

- Halo! Obywatelu komendancie! Tu mówi Rafał Żychoń. Tak, ten rzekomo uprowadzony... Słucham... No nie, mój przyjaciel miał wszelkie powody, aby tak sądzić, gdyż... - tu Rafał opowiedział dokładnie przebieg zdarzenia. - A poza tym, panie komendancie, mam powody sądzić, że zostało popełnione morderstwo.

- Morderstwo? Ou, to poważna sprawa! - komendant był wyraźnie poruszony wiadomością.

- Tak sądzę, panie komendancie.

- Hm, tak... Niech pan uważa na to, co powiem: przy zwłokach trzeba kogoś postawić. Trzeba je zabezpieczyć. I nie ruszać z miejsca ani nie zmieniać położenia. Rozumie pan? To wszystko jest ważne dla śledztwa.

- Rozumiem, ale tu nie ma żadnych zwłok.

- Jak to? Nie ma zwłok? Przecież pan wyraźnie mówi, że popełnione zostało morderstwo.

- No tak... takie mam wrażenie...

- Po co tu wrażenia, obywatelu! Skoro zostało popełnione morderstwo, to musi być trup!

Rafał ruszył niecierpliwie ramionami.

- Czasem zdarza się, że nie ma, obywatelu komendancie. Melduję władzy o zaszłych wypadkach. Skoro pan uważa, że można je zlekceważyć...

- To moja sprawa, co ja uważam - odpowiedział szorstko. - W ogóle to wszystko jest zagadkowe i nie podoba mi się. Najpierw pański przyjaciel alarmuje, że jacyś nieznani sprawcy porwali pana, później pan się znajduje i opowiada, że kogoś zamordowano, ale trupa nie ma.

- Podaję fakty...

- Nie, podajecie swoje tłumaczenie faktów. A może się ktoś w nos uderzył o drzewo i stąd krew?

Żychoń cierpliwie wyjaśnił, choć w duchu zżymał się na uparty sceptycyzm milicjanta.

- Panie komendancie!... Ktoś dokonał na mnie zamachu, strzelając. Niedługo potem na skraju lasu pod leśniczówką usłyszałem strzał i krzyk. Widziałem w lesie, mniej więcej w tym miejscu, skąd pochodziły te odgłosy, krew, kałużę krwi... Ma pan fakty, gole fakty. Niech je pan tłumaczy po swojemu.

- Dobrze, dobrze - odpowiedział tamten znużonym głosem. - Przyjadę rano, to się zobaczy.

Słuchawka z tamtej strony została odłożona zdecydowanym ruchem. Rafałowi nie pozostało nic innego, jak i swoją zawiesić. Zatarł ręce, jakby je umywał.

ROZDZIAŁ DRUGI

Komendant posterunku milicji zjawił się bardzo wcześnie. Może w nocy ogarnęły go skrupuły, że zbyt lekceważąco potraktował doniesienie Żychonia, może zresztą kierowały nim inne pobudki - kto tam wie.

Rafał zerwał się z łóżka i szybko narzucił ubranie. Powtórzył komendantowi dokładnie przebieg wczorajszych wypadków, po czym razem wyszli. Łatwo odnaleźli miejsce, w którym Rafał przesadził płot i wszedł w las, ale tam już ślady urywały się i mimo starannych poszukiwań nie można ich było odnaleźć. Trawa się wyprostowała, ziemia była tu twardsza niż na odkrytym polu i nie zachowała odcisków stóp.

- Ale ja trafię i bez tego. Doskonale pamiętam kierunek - rzekł Rafał.

Komendanta zainteresowała opowieść Rafała, ale i nie podobała mu się ta cała historia. Porwanie, w którym nikt nie został porwany, zabójstwo, w którym brakowało ofiary... Jednakże z poczucia obowiązku i przez prostą życzliwość względem Żychonia i Gruzy baczył pilnie, nie chcąc zlekceważyć żadnego, najmniejszego bodaj drobiazgu, który mógłby rzucić promyk światła na tę ciemną sprawę.

Zatoczyli znaczne kolo wokół punktu, który Rafał uznał za centralny, rozchodzili się parokrotnie, badając krok za krokiem pokrytą starym igliwem ziemię, przyglądając się pilnie kępkom jasnozielonej trawy. Rafał pamiętał, że kałuża krwi rozlana była w pobliżu pnia wielkiej jodły. Zwrócił na to uwagę komendantowi i obaj wypatrywali pilnie jodeł, roztaczając wokół nich szczególną uwagę. Wreszcie zniechęcony komendant podszedł do Rafała.

- Chodźmy do domu. Nic tu już nie znajdziemy. Po nocy mogło się panu i przywidzieć niejedno.

Uśmiechnął się ni to drwiąco, ni to z politowaniem.

- Panie komendancie!

- No nie, ja tylko tak... Bo widzi pan, że... właśnie nic nie widzimy.

- Ja znajdę. Ja muszę znaleźć to miejsce!

- Ano, to powodzenia. Bo mnie już nogi zabołały od tego bezcelowego łażenia.

Odpocznę trochę.

Oparł się o drzewo i wyciągnął skórzaną papierośnicę, solidnie wypchaną papierosami.

- Może pan zapali? - podsunął zachęcającym ruchem papierosy w stronę Rafała.

- Dziękuję - sucho odpowiedział Rafał. Zirytował go jego upór. Głupia historia! Na tyle poszukiwań w niewielkim kręgu, jaki mógł być brany pod uwagę!...

Uczynił półobrót i spojrzał w stronę leśniczówki. Naraz drgnął i odwrócił się gwałtownie ku towarzyszowi.

Komendant stał nieporuszenie, opierając się szerokimi barami o pień drzewa.

- To tutaj, komendancie, to tutaj! Pan opiera się o to drzewo. O, proszę spojrzeć! Wczoraj, gdy zgasiłem latarkę i popatrzyłem w kierunku leśniczówki - już wtedy oświetlonej - pierwsze okno po prawej stronie było dokładnie tak samo przekreślone po przekątnej przez to młode pochylone drzewko. Nie było to spostrzeżenie świadome, ale teraz przypominam sobie, najdokładniej pamiętam.

Komendant okazał niejakie zainteresowanie.

- Jak to, przekreślone?

- No tak. Przekreślone. Widzi pan to pochylone drzewko? O, właśnie to, ta młoda brzózka. Patrząc stąd, widzi się ją pochyloną od lewego dolnego kąta okna do prawego górnego. Tak? No, więc wczoraj wieczorem tak samo widziałem to drzewko na tle oświetlonego okna. Jasny wniosek: musiałem stąd patrzeć. Z tego miejsca.

- Hm, hm, niby trzyma - mruknął komendant. - No, to dawaj pan tę krew.

Rafał był tak ucieszony odnalezieniem miejsca, w którym był wczoraj, że na razie zapomniał o celu swych poszukiwań. Teraz obszedł uważnie drzewo dokoła. Podniósł ku komendantowi zdziwioną i aż pobladłą twarz.

Krwi nie było.

Wokół wielkiej jodły, w zasięgu jej korony, leżało rdzawe jak wszędzie igliwie. Dalej rosła trawa, a u stóp samego pnia, tuląc się do żyłastych korzeni, wyrastały kępki zajęcej kapusty, roślinki o kwaskowym smaku, podobnej do młodej koniczyny.

Krwi nie było.

- O, tutaj, w tym miejscu musiał leżeć raniony czy zabity - wskazywał Rafał. - Tak musiał leżeć. Oo, tutaj, w tym kierunku szły nogi, bo tu znalazłem odciski obcasów, mocno wgłębione w ziemię.

- Pokaż je pan. I pokaż tę krew, na miłość boską! Rafał, mimo najskrupulatniejszych poszukiwań, nie mógł odnaleźć ani odcisków, które wczoraj były tak wyraźne, ani śladów krwi. Przykląkł na przesiąkłej wilgocią ziemi. Igliwie zdawało się leżeć wszędzie jednakowo równo dokoła pnia. Ale nie było wykluczone, że ktoś mógł wierzchnią warstwę razem z krwią zdjąć, a ubytek wyrównać.

- Tu była krew, cała kałuża krwi! - Przekonywał sam siebie Rafał. - Musiał ktoś zatrzeć te ślady. Ale tu były...

- Nic uwierzę, póki palca nie włożę - mruknął komendant i znudzonym gestem odrzucił niedopałek papierosa.

- Palca? Palca? - Rafał zerwał się na równe nogi.

- Właśnie! Ja wczoraj dotknąłem palcem. Tak, dotknąłem. Przepraszam - odsunął bezceremonialnie komendanta od pnia, o który się opierał. - O korę tego drzewa wycierałem ubroczonej w zastygłej krwi palec.

Jednak i tu spotkał Rafała zawód. Na spękanej korze starego drzewa, pokrytej gruzłami zakrzepłej żywicy, można było naliczyć setki plam, żadna jednak nie pochodziła od krwi. Może zmył ją deszcz, może usunęli sprawcy czy sprawca zatarcia innych śladów... Dość, że i tutaj nie ostał się żaden dowód dla potwierdzenia Rafałowych rewelacji.

- No cóż, nie mamy tu nic więcej do roboty - rzekł komendant, poprawiając pasa. Spojrzał wyczekująco na Rafała.

Ten ruszył ramionami, zrezygnowany. Rzeczywiście, bezcelowe było dalsze szukanie. Poszedł powoli za komendantem, zmierzającym w stronę leśniczówki. Deszcz przestał już padać; rozjaśniało się i gdzieś spomiędzy zwałów chmur przebłyskiwało niebo jasnymi tafelkami błękitu.

Przy furtce gospodarskiego obejścia minęli kilku ludzi z piłami i siekierami, idących w stronę lasu. Każdy z nich na lewym ramieniu nosił białą opaskę i na widok munduru skwapliwie schodził z drogi, zdejmując czapkę.

- Dużo ich pan ma jeszcze? - zapytał komendant oczekującego na ganku Tomasza.

- Jedenastu. Pracują przy wyrębie. No, cóż tam znaleźliście? Przekonał się pan nareszcie?

- Przekonałem się, że wczoraj wypiliście o jeden kieliszek za dużo i stąd te wszystkie historie.

Tomasz spoglądał z niedowierzaniem to na Rafała, to na komendanta. Zdziwiony był tą odpowiedzią. Komendant nie odznaczał się delikatnością, to prawda. Był to jednak, jak to się mówi, chłop poczciwy z kośćmi. Nie miał przenikliwości Sherlocka Holmesa ani błyskawiczności działania Nata Pinkertona, ale obowiązki swoje spełniał dokładnie i dbał o porządek na swoim terenie.

Gruza, zdziwiony odpowiedzią komendanta, spojrzął na Rafała, ten jednak machnął ręką, jakby chciał odpędzić od siebie nawet wspomnienia wczorajszego wieczoru, i patrzył uporczywie na czubki swoich oroszonych butów.

- Przysięgam, komendancie - Tomasz podniósł uroczyście dłoń - że wczoraj ani kieliszeczka...

Tomasz był naprawdę zaskoczony negatywnym wynikiem poszukiwań i gdyby nie realne dowody w postaci rozbitej szyby i całkowicie zużytej baterii od lampki elektrycznej, kto wie, sam byłby gotów wątpić w prawdziwość wczorajszych wydarzeń. Zwrócił się do komendanta zapraszającym gestem:

- Znaleźliście coś czy nie, to nie jest w tej chwili najważniejsze. Zmokliście obaj i należy wam się rozgrzewka, aby się ustrzec przed przeziębieniem. Janowa tam, zdaje się, przygotowała jakieś śniadanko.

*

Podczas śniadania Tomasz dwukrotnie usiłował wrócić do wydarzeń wczorajszego wieczoru i zagadkowego zniknięcia śladów krwi, ale Rafał dawał mu wymowne znaki, komendant zaś nic podejmował tematu, zajęty jedzeniem lub delectowaniem się smakiem wiśniowej nalewki, która słynęła na okolicę.

Ledwo przedstawiciel władzy i jego rower zniknęli za zakrętem płotu, Tomasz pośpieszył do siedzącego na werandzie Rafała. Chwycił go za ramię i usiłował zajrzeć w oczy.

- Rafał, powiedz mi, co to wszystko ma znaczyć? Co w tym jest?

Żychoń odwrócił głowę i zacisnął wargi. Patrzył uporczywie w kąt podwórza, gdzie za drucianą siatką spacerowały dwie kwoki z maleńkimi indyczętami.

- Powiedz mi, Rafał, dlaczego...

- Daj mi święty spokój z tym: „powiedz mi, powiedz mi”! Co za pretensje, abym ja lepiej wiedział niż ty? Jestem tu parę godzin zaledwie... Ty powinieneś wiedzieć. Przecież ty dłużej tu siedzisz.

Gruza opanował się. Usiadł na trzcinowym fotelu, stojącym po drugiej stronie stolika.

- Opowiadałem ci wczoraj o wypadkach, jakie tu miały miejsce. Te zagadkowe zdarzenia zaczęły się dziać od przeszło miesiąca. Czekał, nawet powiem ci dokładnie: - obliczał chwilę w myślach - tak, siedem tygodni temu wykopano tu w ogrodzie trupa byłego właściciela tej leśniczówki, barona von Stromberga, i rozebrano zgniłego już trupa do naga.

Zdjęte z niego ubranie leżało obok, porwane na strzępy.

- Podarte?

- No nie, raczej poprute. Każdy strzępek osobno.

- Aha! Poprute...

- Co mówisz?

- Nic, tak sobie.

- Później, w czasie mojej dwudniowej nieobecności, ktoś rozmontował biurko w moim gabinecie. Rozłożył na części - każdą deseczkę osobno. Janowa ani sypiająca tu nieraz Truda nic nie słyszały. Doszło do tego, że nawet w czasie mojej obecności ktoś spacerował nocami po domu i znikał bez śladu przy najmniejszym z mej strony szeleście - jakby rozpływał się w powietrzu lub wsiąkał w ściany... Powiedziałem „bez śladu”, ale to nieprawda. Zawsze pozostawał ślad takiej wizyty: zdjęty ze ściany obraz, rozpruty i wypatroszony fotel, przesunięty sprzęt. W kuchni było wejście do małej, domowej piwniczki. Janową, która nie chciała sypiać w żadnym z pokoiów, tylko właśnie w kuchni, którejś nocy wyniesiono wraz z łóżkiem, a w piwnicy przewracano wszystko do góry nogami, pokopano aż do cementu piasek, w którym Janowa przechowywała nasienne warzywa. Janowa od tego czasu zaczęła odmawiać nowenny do jakiegoś świętego od strachów, a ja... ja się w tym wszystkim pogubiłem, - straciłem głowę.

Na list z propozycją opuszczenia na pewien czas leśniczówki nie odpowiedziałem. Przedtem już pisałem do ciebie o przyjazd... Przyjechałeś.

Tomasz wstał i przeszedł się kilkakrotnie po werandzie. Stał przed Rafałem i oparł rękę na stoliku. Zaciśnięte kciuki aż pobielały na zgięciach. Mówił powoli, jakby z trudem.

- Wczorajszy zamach na ciebie przeszedł już wszystko. Bo to był zamach, Rafale... I doszedłem do wniosku, że nie mam prawa cię narażać. Właściwie dlaczego? Dla jakiego dobrego powodu? Lepiej ustąpić. Wyjedź. Chcą, żebym ja na tydzień wyniósł się do miasta... Dobrze. Wyniosę się. Potem wrócę i wszystko będzie w porządku. Tylko... przepraszam cię,

że tak nieopatrnie i bez przemyślenia, na co cię narażam, ściągnąłem cię tutaj. Czy jest sens przeciwstawiać się, jeżeli nie wiemy komu i dlaczego?

Rafał z półuśmiechem, błędzącym wokół ust, wpatrywał się w przyjaciela..

- Nie, mój drogi, ja nie wyjadę. Nie wiem kto i nie wiem, czego chcą od ciebie, a właściwie teraz już od nas - ale nie wyjadę. Chyba... chyba, że ty chcesz otrzymać te... pieniądze? W takim razie...

Na twarz Tomasza wypełził ciemny rumieniec.

- Rafał! Wiesz chyba o tym, że gdybym połakomił się na „te pieniądze”, jakie mi ofiarowują, to nie wzywałbym ciebie. Ja chciałem tę zagadkę rozwiązać. No, bo to musi być gra o większą stawkę, skoro tyle zachodów i trudu w to wkładają. Może nawet i egoistycznie myślałem o sobie i tobie... Że my z tego możemy mieć korzyść. Ale nie myślałem o ustąpieniu. Teraz jednak, wobec tego, co się wczoraj wydarzyło - zrezygnuję. Nie mam prawa narażać ciebie na walkę nie wiadomo dla jakiego celu. I... sam nie chcę ryzykować. A wiem, że rady nie damy.

- Skąd wiesz?

- Jak to? - Tomasz zrobił niezbyt mądrą minę ale się wnet opamiętał. - Skąd wiem! Przecież to jasne jak słońce! Ich jest wielu, zagrażają nam ze wszystkich stron, o każdej porze... Czy ja wiem, może w tej chwili trzyma mnie na muszce jakiś bandyta, może tobie za chwilę wpakuje porcję ołowiu? Nas znają, my stanowimy dogodny cel, a sami błądzimy omackiem. Szanse są nierówne...

- Mój drogi, zapominasz, że zawsze gorsze szanse ma przestępca. Jego sprawa jest niesłuszna i samo to zmniejsza szanse jego zwycięstwa. A poza tym, czy uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby wygrać tę grę?

- Nie - odpowiedział Tomasz i uśmiechnął się zjadliwie. - Nie pozwoliliśmy jeszcze się zabić.

- Po co ten sarkazm? Chyba... - Rafał namyślał się chwilę. - Nie wiem, czy dobrze się domyślam... Powiedziałeś, że zaofiarowali ci tysiąc dolarów? Takiej sumy z kwiatka nie zerwie... Tę propozycję - mówię o tysiącu dolarów - postawili ci, gdy ja już byłem w drodze. Mogłeś się tymczasem rozmyślić i zmienić decyzję. Wygodniej jest i pewniej wziąć ciepłą rączką tysiąc dolarów, niż walczyć z przebiegłym i silnym przeciwnikiem, którego na dobitkę jeszcze się nie zna. Jeżeli tak postanowiłeś, to nie chciałbym ci przeszkadzać.

- Przestań!

- Przepraszam cię. Skoro zdecydowałaś się nie brać pieniędzy, nie widzę powodu, dla którego miałbyś opuszczać dom i wyjeżdżać do miasta. I jak to usprawiedliwisz przed swoimi władzami?

- Zawiadomię milicję, bezpieczeństwo czy wojsko... Niech oni się martwią. Dlaczego my mamy ryzykować głowami? Co nas to wszystko obchodzi?

- Po dzisiejszym doświadczeniu chciałbyś jeszcze udać się do milicji? Z czym? Potraktują cię jak fantastę. Widziałeś, jak komendant kręcił głową? Zastanowił go tylko ten strzał w moim kierunku, a i to tylko dlatego, że pozostała rozbita kulą szyba i odbity tynk ze ściany. Ale mimo to twierdził, że to jakaś zbłąkana kula. Pełno tu jeszcze - powiada - strzałów ot tak sobie dawanych.

- Tym lepiej dla nas. Wyprowadzimy się, tamci zrobią, co mają zamiar zrobić, a my będziemy mieli spokój.

Rafał pokręcił głową powątpiewająco.

- Nie chcę cię posądzać o to, że tak istotnie myślisz. Tobie chodzi tylko o mnie, Tomaszu. Ja wiem. Otóż powiadam ci: nie mam najmniejszej chęci stąd wyjeżdżać. Wręcz przeciwnie - ja chcę zostać. Ja muszę... my musimy rozwikłać tę zagadkę. I jeszcze jedno: nie chcę, a właściwie to nie możemy nawet, nie chcąc się kompromitować, powiadamiać milicję dotąd, dopóki nie zdobędziemy jakiegoś konkretnego dowodu. Weź jeszcze jedno pod uwagę: przypuścimy, że władze uwierzą naszym - gołosłownym jak dotąd - dowodzeniom, że tu się coś zagadkowego dzieje, i przyślą na czas twojej nieobecności kogoś dla ochrony leśniczówki, to przecież wtedy nasi przeciwnicy zaniechają swych działań. Nie, tym sposobem nie zapewnisz sobie spokoju.

Tomasz chciał zaprotestować i wysunąć jakieś swoje racje, ale w tej chwili stara Janowa wtoczyła się jak burza na werandę i nikomu nie dała dojść do słowa. W prawej ręce trzymała wielkiego, pstrego koguta i wymachiwała nim jak wojennym sztandarem.

- To tak - wołała na całą werandę - to tak?! Takie porządki u pana tera som! Tyli świat zem bidnego ptaszynę więzła, aby tu śmierć nalazł? Leżało toto za psią budą, porzucone i utyłane jak nieboskie stworzenie. A przecie kogut był z niego jak się patrzy! Myślałam, że to pies go zagryzł, ale nie, łeb ma jakoś ucięty czy urwany, ale przecie jest cały, a pies by go poszarpał. O, niech pan patrzy!

Zanim Tomasz jako tako uspokoił rozsierdzoną kobiecinę i odwracając się od niej, chciał podjąć wątek przerwanej rozmowy - Rafała nie było już na werandzie.

Przy obiedzie żaden z nich nie wrócił do porannego tematu. Gdy po jedzeniu zapalili papierosy, Rafał poprosił Tomasza o motocykl. Chce pojechać do miasta. Wróci najdalej za godzinę.

- Weź, mnie nie będzie potrzebny.

Do miasta było około dwunastu kilometrów. Rafał jednym tchem połączyłby tę przestrzeń na wspaniałym Hartleyu Tomasza, gdyby... Często w życiu ludzkim zdarza się jakieś „gdyby”.

„Gdyby”, które się zdarzyło Rafałowi, miało jasnoblonde włosy o złocistym odcieniu i powiewną letnią sukienkę w jakieś fantastyczne kwiaty i oczywiście wielkie, niebieskie oczy.

Przejeżdżał właśnie przez dużą, całkowicie już zasiedloną wieś, leżącą wzdłuż asfaltowej szosy, wiodącej do miasta Z. Pośrodku wsi droga rozdzielała się na dwa ramiona i Rafał zawahał się. Którędy? Zatrzymał motor i bezradnie rozglądał się dokoła. Drogowskazu nie było. A właściwie był, lecz wojenny jeszcze, pokryty cyframi i magicznymi znakami, zrozumiałymi tylko dla wojskowych speców, nie mógł więc służyć Rafałowi za przewodnika.

Najbliższy odcinek drogi był pusty. Żadnego przechodnia. Dopiero nieco dalej stał duży, przestronny budynek o barwie dopiero co wypalonych cegieł. Na frontowej ścianie widniał wielki napis: SZKOŁA. Autor tego napisu nie musiał być mistrzem w malarskim fachu. Ale nie napis zainteresował Rafała. Na ciemnoceglastym tle ściany budynku jaśniała plama sukienki i otoczona obłokiem złocistych włosów różowa buzia. I niebieskie oczy... No nie, to przesada. Oczu stąd nie widział.

- Bardzo przepraszam! Czy nie mogłaby mi pani powiedzieć, która droga prowadzi do Z.?

Niebieskooka panna - „to na pewno panna” pomyślał Rafał - spojrzała na niego przelotnie i czyniąc leciutki gest ręką odpowiedziała:

- Na lewo.

- Dziękuję. A czy po drodze nie ma dalszych rozwidleń? Obawiam się, że mógłbym zbłądzić...

Nachyliła się nad jakimś kwiatkiem i z pilnym zainteresowaniem wpatrywała się w niego.

- Nie, nie ma - odpowiedziała sucho.

Chwila niezręcznej ciszy. Dziewczyna podniosła się i uczyniła ruch, jak gdyby chciała odejść. Już? - przestraszył się Rafał. Gorączkowo szukał w myślach jakiegokolwiek pytania, pretekstu, aby ją jeszcze chwilkę zatrzymać.

- Dziękuję... A czy... czy nie zechciałaby pani napoić znużonego wędrowca? Przepraszam, że panią trudzę, ale... jestem bardzo spragniony. Szklanekę wody, jeżeli można prosić.

Spojrzała zdziwiona.

- Leśniczówka jest stąd nie dalej niż pięć kilometrów... i już pan taki znużony i spragniony?

Rafał zaśmiał się.

- Powinienem się teraz zarumienić. Żałuję, że nie umiem. Gdybym wiedział, że panią spotkam - przemalowałbym tego grata i zmienił numery rejestracyjne. Nie pomyślałem, że pani może znać ten motocykl.

- Tak - powiedziała rozbawiona. - Inżynier Gruza przejeżdża tędy często. I nieraz wstępuje do szkoły.

Poczuł kłujące żądelko zazdrości.

- Dokszałca się?

- Panie, pan, zdaje się, chciał wody?

- Tak, ale teraz już dziękuję. Znam inne płyny, smaczniejsze niż woda. Jeśliby...

Nie dokończył, bo panna frunęła na ganek i trzymając wpółotwarte drzwi, powiedziała:

- Droga do Z. prowadzi na lewo.

Drzwi zamknęły się za nią. Rafał jeszcze dłuższą chwilę wpatrywał się w ich brązowy prostokąt, jakby spodziewał się, że lada chwila zostaną otworzone.

- Szkoda - mruknął do siebie - trzeba było wypić tę wodę.

Nacisnął starter i ruszył, jakby go wiatr zmiótł.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sama nie wiedziała, co nią powodowało. Podobno kobiety rządzą się odruchami. Takim właśnie odruchem Joanny była ta przejażdżka na rowerze w stronę leśniczówki.

Joanna Topolską przybyła do tej wsi i osiedliła się razem z całym transportem. Z początku nie wiedziała, co robić ze sobą. Nie miała gdzie ani do kogo jechać. Była sama. Za namową życzliwych jęła się zawodu nauczycielskiego i dziś nie zamieniłaby go na żaden inny. Miała co prawda nauczycielstwo we krwi - jeżeli tak można powiedzieć - ojciec i matka bowiem z wykształcenia i zamiłowania byli nauczycielami.

Gruzę znała Joanna od pierwszych chwil przybycia do Starej Wsi. Lubiła go nawet, tak jak się lubi miłego uczynnego sąsiada. W długie jesienne i zimowe wieczory gawędzili ze sobą albo gdy się jeszcze ktoś trafił, grali w staroświeckiego preferansa. Ale w młodej

nauczycielce Gruza nie wzbudzał żywszego zainteresowania. Dopiero dzisiaj ten jego przyjaciel... ten... tak, wydał się Joannie interesujący. Wiedziała o jego przyjeździe, bo Tomasz wspominał, że niecierpliwie oczekuje przyjaciela.

Jechała sobie wolniutko boczkiem asfaltowej drogi rozmyślając „od niechcenia” o tych sprawach i dopiero kiedy posłyszała za sobą warkot potężnego motoru, spłoszyła się:

„On” jeszcze gotów sądzić, iż ona jedzie tędy dlatego, aby go jeszcze raz spotkać. Mężczyźni są tacy zarozumiali! Bo nawet gdyby tak było...

Aby nie dać powodu do takiego posądzenia, Joanna, obejrzawszy się w tył i widząc, że przed jego wzrokiem skrył ją dopiero co przebyty zakręt drogi, bez namysłu skręciła w las, nie szukając drożyny ni ścieżki, na oślep prawie, i zaszła się w gąszcz przydrożnych krzewów.

Niechże sobie przejedzie - myślała - ona zawróci potem i pojedzie do domu.

*

Rafał, wracając z miasta, wolniutko, na zamkniętym prawie gazie, przedelfilował przed niesympatycznym ceglastym budynkiem szkolnym, patrząc pilnie, czy nie mignie mu przed oczami kwiecista sukienka albo złoto roztrzęsionych loków. Ale nic z tego, co pragnął, nie dostrzegł.

Nie, to nie! Zawiedziony dodał gazu i wyskoczył ze wsi jak korek z przepełnionej gazem butelki.

Zaraz za wsią rozpoczynał się las i Rafał wjechał weń na pełnym gazie.

Eeech! Motor grał swoją pieśń, wiatr uderzał w piersi, szarpał ubranie, szumiał w uszach podniecającą melodią pędu. Oczy zaszły łzami... Nagle poprzez te łzy ujrzał daleko przed sobą, na tle ciemnej zieleni świerków - barwną plamę. Tak, ktoś jedzie na rowerze. Ktoś? Ona! Na pewno ona.

Zanim jednak mógł rozeznac z całą pewnością, zniknęła mu za zakrętem drogi. Wziął ten zakręt z całą możliwą szybkością. Pusta wstęga asfaltu w obramowaniu gęstego lasu wyciągała się daleko jak napięta struna. Nikogo. Przecież jechała tu przed nim. Głowę dałby za to, że mu się nie przywidziało. Oczy go nie myliły. Zjechała w bok?

Rafał przyhamował gwałtownie chcąc rozejrzeć się na strony.

Nagle jakaś niewidzialna, potężna siła wyszarpnęła Rafała z siodełka. Zatoczył w powietrzu łuk i całym ciężarem ciała, zwielokrotnionym przez pęd, runął na asfalt drogi.

W poprzek drogi, przez całą jej szerokość, przeciągnięta była cienka stalowa lina. Nie było możliwości objazdu. Nie było zresztą czasu nawet pomyśleć o tym. Linka wygięła się pod naporem uderzenia.

Przed oczami całą gamą barw zagrały kółka, kółeczka, kwadraty... I ciemność...
Cisza...

Joannie poprzez zieleń krzewów podszycia mignął kształt mknącego jeźdźca, zawarczał motor i od razu, bez żadnego przejścia - ucichł. Jakiś głuchy, tępy odgłos dobiegł jeszcze jej uszu.

I cisza.

Co się stało? - pomyślała. - Przecież nie mógł zahamować tak gwałtownie.

Tknięta złym przeczuciem, nie zważając już na nic, wyskoczyła na drogę.

- O Boże!

Może o pięćdziesiąt metrów od niej stał motocykl, oparty o niewidoczną stąd podpórkę. Jeźdźca nie było. Podbiegła. Teraz go ujrzała. Leżał rozciągnięty bez ruchu tuż u skraju drogi. Rzuciła się ku niemu z pomocą i sama omal nie przewróciła się o naciągniętą linę.

W tej chwili nie zdawała sobie nawet sprawy, że ta lina była przyczyną katastrofy. Nie pomyślała o tym.

Rafał leżał twarzą do ziemi z rozkrzyżowanymi rękami. Spod głowy sączyła mu się strużka krwi i spływała po pochyłości drogi. Joanna zachwiała się, ale wnet odzyskała przytomność umysłu.

Rozejrzała się bezradnie dokoła. Co tu robić? Zemdlonych cuci się wodą. Wody jednak nigdzie w pobliżu nie było.

A jeżeli się zabił? Przyszło jej na myśl, że w takich wypadkach trzeba czekać na przybycie jakiejś komisji... Ech, głupstwo! A jeżeli on nie zabity, tylko zemdlony?

Usiłowała odwrócić na wznak nieruchomo leżące, bezwładne ciało. Szeroko rozrzucone ramiona delikwenta ułożyła wzdłuż korpusu, podsunęła ręce pod klatkę piersiową leżącego i wolno, z wysiłkiem, obróciła go twarzą ku niebu. Oczy miał zamknięte, zaciśnięte wargi i bladą, osmoloną czarnym pyłem drogi twarz. Czoło, od granicy włosów po lewy wzgórek brwiowy, rozorane jak nożem. Z tej rany broczyła krew. Joanna dostrzegła leciutki ruch piersi rannego.

- O Boże! Żyje! Oddycha...

Przypadła obok niego na kolana, jęła go szarpać i tarmosić, wołając:

- Panie! panie! - ale zarówno krzyk, jak i tarmoszenie okazały się mało skuteczne.

Zdała sobie sprawę z tego, że sama nie da rady, aby tego rosnącego, ciężkiego mężczyznę ruszyć z miejsca. Podbiegła do motocykla. Tak, tak będzie najlepiej. Pojedzie do wsi i sprowadzi pomoc. Ale dopiero teraz widok naciągniętej linki i opartego o nią motoru

przywiódł jej na myśl, że katastrofa została umyślnie spowodowana. Zamach. I jednocześnie pomyślała, że nie może zostawić rannego bez opieki, bez straży - samego, bo jej nieobecność mogą zamachowcy wykorzystać i dokończyć dzieła, którego nie spełniła linka. Mogą go po prostu zabić. Nie, nie zostawi go tu samego.

Ujęła nieprzytomnego mocno pod pachy i starała się unieść, aby go jakoś dowlec do linki. Nie poradziła. Zaciskała zęby i mocowała się z bezwładnym ciałem rannego. Po wielu wysiłkach udało jej się dociągnąć Rafała do motocykla. Ale teraz dopiero nasunęły się trudności nie do pokonania. Jak bezwładne, lecące przez ręce ciało wwindować na siodelko? Jak je na nim utrzymać? Usiadła obok rannego i łzy bezsilnej złości zakręciły jej się w oczach.

Tyle wysiłków na próżno!

I w tym momencie Rafał sam przyszedł jej z pomocą. Nie wiadomo czy to wskutek ruchu i spowodowanego przezeń bólu, czy z jakich innych przyczyn, dość że wróciło mu czucie i powoli odzyskiwał przytomność. Kiedy usiłował poruszyć głowę, poczuł dotkliwy ból. Jęknął mimo woli i na chwilę znów stracił przytomność. Ale tylko na chwilę. Jak przez mgłę posłyszał obok siebie głos. Zdawało mu się, że znajomy.

- Bardzo pana boli? Niech pan otworzy oczy!

Kolor jej sukienki był stanowczo piękniejszy niż kolor nieba. I zasłaniała blask słońca, kłując niemiłosiernie źrenice.

- Co... się... stało?...

- Nic, już nic... Niech pan nie mówi. To pewno boli...

Rafał powoli uniosł prawą rękę i dotknął głowy. Natrafił na ranę i piekący ból sparzył mu czoło. Chciał unieść się na łokciu, ale opadł bezwładnie. Jęknął.

- Niech pan leży spokojnie. Już dobrze, że pan chociaż przytomny. Bardzo pan słaby?

- Zaraz, zaraz... Odzyskam siły... No, urządzili mnie na cacy! - Mimo bólu uśmiechnął się blade. - Dobrze, że się na tym skończyło. Jak to się stało? Nie widziała pani? Przecież jechała pani przede mną.

- Nie widziałam.

Odpowiedziała bardziej sucho, niż chciałaby odpowiedzieć, ale uczyniła to odruchowo. Sądziła, że uniknie przez to dalszej indagacji. Wolałaby nie tłumaczyć się przed nim, dlaczego tak raptownie skrzyła w las, lecz Rafał uczeplił się tej myśli.

- Ale pani przede mną jechała?

- No tak, jechałam, ale nie widziałam liny ani wypadku. Dopiero potem, kiedy pan... upadł... zobaczyłam pana... już nieprzytomnego.

Rafał przymknął oczy i mozolnie przypominał sobie kolejność wydarzeń, porządkował w obolałej głowie kłębiące się chaotycznie myśli.

- Bo tu, za tym zakrętem nie widziałem już pani. Zahamowałem, chciałem się zatrzymać, ale... - uczynił znów niepotrzebny ruch i dotknął rany na czole. Skrzywił się i syknął, bo rana zapiekła jak od rozpalonego żelaza.

- Tu, w lewej kieszeni spodni mam czystą chusteczkę. Niech pani ją wyjmie, to oczyści się ranę i przewiąże... Dobrze?

Gdy z grubsza oczyściła okolice rany i przewiązała ją, naciskając nieco, aby zatamować krwawienie, Rafał próbował powstać na nogi. Ale już przy pierwszym ruchu pojął, że to niewykonalne. Prawe kolano, snadź potłuczone mocno przy upadku, zabołało tak mocno, że chłop zbladł i zacisnął szczęki, aby nie zawyc całym głosem.

Joanna zauważyła ten wysiłek i jego rezultat.

- Co panu? Tak bardzo boli? Niech pan się nie rusza. Musimy przecież coś obmyślić, jak pana stąd...

- Niech pani zostawi mnie tutaj, a sama pojedzie do wsi po jaką pomoc... i milicję niech pani zawiadomi... Przecież pani jechała na rowerze... A gdzie jest ten rower?

- Jest, jest, niech się pan o niego nie martwi. Ale ja na rowerze ani na niczym innym nie pojadę, rozumie pan? Nie zostawię tu pana samego.

- Dlaczego?

- Panie, na pana urządzone był zamach! Tak sędzę...

- Dobrze pani sędzi - Rafał wpadł w tok jej myślenia. - Już teraz nie potrzebuje mi pani tłumaczyć więcej i dokładniej. Rozumiem.

- No więc...

- Mam broń, niech się pani nie obawia, nic mi się nie stanie. Nie dopuszczę do siebie nikogo.

- Pan może nikogo nie widzieć, przecież tu las o parę kroków z jednej i drugiej strony.

- Ależ...

- Niech pan lepiej myśli o tym, jak pana stąd zabrać. Gdyby pan mógł utrzymać się na siodełku...

Rafał dopiero teraz spostrzegł motocykl oparty o linkę.

- Umie pani prowadzić motocykl?

- Kiedy pan zacznie myśleć logicznie? Gdybym nie umiała, nie martwiłabym się o to, czy utrzyma się pan na siodełku. Żeby tylko motor nie był uszkodzony.

Rafał z podziwem i respektem nawet spoglądał na tę dziewczynę. Inna w takiej sytuacji straciłaby głowę z kretelem, nie wiedziałaby, co począć, i sama stałaby się kłopotem dla ratowanego.

Joanna podeszła do maszyny, wyprowadziła ją na środek drogi i ustawiła na podstawie. Ze znajomością rzeczy manipulowała przy motorze, który zapuszczony zakaszał się, zakrzuszył i zgasł. Raz i drugi. Ale Joanna nie dawała za wygraną, aż wreszcie rozspiewał się równym, zdrowym rytmem. Jedyńm śladem po katastrofie był zgięty i odrapany z emalii koniec przedniego wachlarza. Rafał przy pomocy Joanny, po wielu wysiłkach, z trudem stanął na nogach. Prawe kolano obrzmiało już i bolało nieznośnie przy każdym, najmniejszym nawet ruchu. Usadowiła rannego na tylnym siodełku. Rafał z niepokojem myślał o chwili startu. Kręciło mu się w głowie i mimo wytężonej uwagi i napięcia woli, aby utrzymać przytomność, co chwila czerwona śrężoga przesłaniała mu świat. Obawiał się, że lada chwila zemdleje i spadnie z siodełka.

Joanna pewnym ruchem ujęła rączki kierownicy. Odwróciła głowę ku Rafałowi.

- No, ruszamy. Niech pan mnie się trzyma, nie siodełka. Ręce proszę zarzucić mi na ramiona, o tak, dobrze... Uwaga!

Wolno, wolniutko ruszyła z miejsca. W tempie żółwiego wyścigu - jak sama potem mawiała - dowiozła swego pasażera do wsi. Baby, wyglądające z opłotków, dziwiły się niezmiernie, że „szkolno” sama maszynę prowadzi i wiezie za sobą okrwawioną maskarę.

Rafał kurczowo zaciskał palce na ramionach Joanny. Niepokonana ciemność zasnuwała mu co chwila źrenice. I tuż przed domem, stając prawie przy furtce, Joanna poczuła, że uchwyt Rafałowych rąk zelżał i nim zdążyła zatrzymać maszynę, Rafał osunął się z siodełka na ziemię. Zemdlał po raz drugi. Przywołani sąsiedzi przenieśli rannego do jej pokoju i ułożyli na tapczanie.

Wezwała lekarza z miasta i zameldowała milicji o wypadku.

Dyżurny milicjant zmarszczył czoło i podrapał się ołówkiem w głowę.

- To ja chyba zawołam komendanta - powiedział z namysłem.

Nie upłynęło nawet dziesięć minut, gdy na podeście schodów szkolnego budynku zjawił się komendant. Miał kwaśną minę i podejrzliwe oczy. Znowu ten z leśniczówki! Kiedyż wreszcie skończą się kłopoty z nimi? Gdyby wszyscy ludzie z okolicy dawali tyle zajęcia milicji, co ci dwaj, to personel posterunku, dziesięciokrotnie zwiększony, nie dałby rady robocie.

Skierował się od razu do pokoju Joanny, która właśnie kończyła zakładanie prowizorycznego opatrunku rannemu.

- No, jak się pan czuje? - zapytał głosem, w którym odrobina współczucia mieszała się z całą górą niechęci. - Może pan mówić?

Rafał podniósł przymknięte powieki. Ujrzał nad sobą pochmurną twarz sceptycznego komendanta. Poruszył wargami, spoza których nie wydobył się żaden dźwięk.

- Dlaczego pan męczy chorego człowieka? - wtrąciła się Joanna. - Ja panu wszystko opowiem.

- Ech, pani... - mruknął komendant, jakby machnął ręką. Nie dowierzał świadectwu kobiet.

Joanna nastroszyła się wojowniczo.

- Tak, ja! Ja byłam przy wypadku. Ja tutaj przywiozłam tego pana. A chorego nie trzeba męczyć rozmową. Dopiero gdy doktor pozwoli... Skąd ja wiem albo pan, czy choremu nie zaszkodzi rozmowa? Ma potłuczoną głowę.

Komendant przyjrzał się Rafałowi i w duchu przyznał rację Joannie. Nietęgo widać czuł się ranny - znać to było od pierwszego wejrzenia.

- Pojedzie pani ze mną i wskaże miejsce wypadku - zdecydował.

- A chory?

- Nic mu się nie stanie. Zanim doktor przyjedzie i my wrócimy. Nie ma co się namyślać. Jedziemy. Motocykl w porządku?

Teraz Joanna usadowiła się na tylnym siodełku. Droga, odbywana poprzednio z ranionym, wydawała się długa - teraz skurczyła się niezmiernie. W tym pędzie krzewy podszycia tworzyły jednolitą zieloną ścianę po obu stronach asfaltowej wstęgi.

- O, tutaj, zaraz za tym zakrętem! - krzychała, pochyliwszy się do ucha komendanta. - Wolniej! Wolniej! Bo i my koziołka wywrócimy. O, teraz ten zakręt! Zaraz będzie ta lina. Stop! Stop! na miłość boską!...

Zahamowana gwałtownie maszyna, piszcząc gumami w długim poślizgu, stanęła, podrzucając jadących ku przodowi. Zdawało się Joannie, że jeszcze jeden obrót koła, a wpadliby na rozciągniętą linę.

Ale liny nie było.

Zdumiona spojrzała w tył. No tak, zgadza się. Zakręt znajdował się w odległości około stu pięćdziesięciu metrów. A więc tuż przed nimi powinna być wyprężona nad drogą lina. Joanna przetarła oczy.

Liny jednak nie było.

Zeskoczyła z siodełka. Przecież... przecież widziała tę linę na własne oczy. Dotykała jej rękami.

Podniosła na komendanta zdumione, nic nie rozumiejące oczy. I on patrzył na nią ze zdziwieniem i odrobiną podejrzliwości.

No, bo gdzież ta lina ostatecznie?

Plasnęła się w czoło.

- Zaraz! zaraz!! Tutaj też powinna być krew. Przecież tu gdzieś w pobliżu, o parę kroków zaledwie, leżał raniony. I krwawił...

Komendant ruszył wolno i przejechał kilkadziesiąt metrów naprzód. Joanna szła brzegiem drogi, wypatrując miejsca, gdzie leżał Rafał. To nie mogło być daleko. Jednakże na całym odcinku drogi nie było widać ani kropelki krwi. Szary pył przylegał ściśle i jednostajnie do gładkiej nawierzchni. I ani śladu miejsca katastrofy.

Zawrócił i terkocząc na wolnych obrotach podjechał do niej. Przystanął. Rozejrzał się wokoło i zapytał, ale takim tonem, jakby z góry przesądzał odpowiedź:

- No i cóż?

- Nie ma! - rozłożyła bezradnie ręce. - Nie ma nic. Ani liny, ani krwi.

- No, do krwi to już jestem przyzwyczajony, że raz jest, a raz nie ma. Ale z liną to pierwszy raz mi się dzisiaj zdarzyło.

Joanna spojrzała na niego, unosząc wysoko brwi.

- Jak to, jest pan przyzwyczajony? Nie rozumiem...

- Ja też nie rozumiem. - Ustawił motocykl na skraju drogi i podszedł do Joanny.

- Do czego przymocowana była ta lina? Do drzew obok drogi, czy do tych tam słupków? - wskazał stojące po obu stronach cementowe słupki.

- Nie wiem, nie zauważyłam... Ale nie, nie do słupka! To tutaj gdzieś było, w tym miejscu. A słupki są dalej.

- Pani dobrze pamięta?

- Naturalnie. - Spojrzała z godnością, urażona jego wątpliwościami. - Przecież na własne oczy...

- Bo to często naoczni świadkowie najbardziej się mylą. A może to jednak dalej się stało? Może za następnym zakrętem?

- Ech, pan ciągle swoje! Jakby mi pan nie wierzył.

- Dobrze, dobrze. Wierzę pani. Ale niech mi pani powie - komendant poprawił się na siodełku i jakby skupił się w sobie. - Niech mi pani powie, jak to się stało, że pani, jadąc razem z panem Żychoniem, nie poniosła żadnego obrażenia cielesnego, podczas gdy on tak bardzo ucierpiał?

- Ależ!... Ja nie jechałam z Żychoniem! Nawet nie wiedziałam, że tak szybko będzie wracał. Ja jechałam swoim rowerem. O i tu właśnie powinien być ten rower. Naturalnie, jeżeli także nie znikł.

Jednakże rower był. Leżał tuż za pierwszymi krzewami podszycia, zaraz za zakrętem drogi.

- O, tutaj skręciłam w las. Widzi pan? Znać te połamane gałązki i ślad kół na ziemi, tu gdzie nie ma trawy.

- A dlaczego pani skręcała w las? Zobaczyła pani linę i chciała ją ominąć? To dlaczego pani nie ostrzegła w takim razie Żychonia?

Chmura podejrzliwości przesłoniła oczy komendanta. Uważnie przyglądał się zmieszanej Joannie. Znał ją od paru miesięcy, wiedział, że jest dzielną, zaradną dziewczyną że w trudnych warunkach życia daje sobie radę i nawet innym, słabszym i mniej zaradnym przychodzi niejednokrotnie z pomocą. Podziwiał ją nawet nieraz szczerze i w tym podziwie tkwiło spore ziarnko sympatii. W obecnej sytuacji było jednak coś niejasnego.

- Panie komendancie, gdybym widziała linę, uczyniła! bym wszystko, aby nie dopuścić do katastrofy. Przecież mogłabym go zatrzymać krzykiem, wołaniem.

- Dlaczego więc pani skręciła do lasu? I kiedy pani to zrobiła? Na długo przed katastrofą? Wiedziała pani, że za panią jedzie Żychoń?

- Słyszałam motor. Domyślałam się, że to... Żychoń. Nie znałam go przecież. Zamieniłam z nim parę słów, kiedy zaraz z południa jechał do miasta. Pytał o drogę.

- A dlaczego pani skręciła w las? - powrócił do swojej piosenki.

- No, bo... Nie chciałam, aby mnie zobaczył.

- A cóż to pani szkodziło? Cóż by się stało, gdyby panią zobaczył?

Joanna wyczuła, że stała się przedmiotem podejrzeń. Będzie się tłumaczyć? Ona, która uratowała rannego? Ale oburzenie jej minęło, gdy się chwilę zastanowiła. Rzeczywiście, w oczach innych ta jej ucieczka do lasu wygląda nieco podejrzanie.

- Nie chciałam, aby mnie zobaczył. Żeby nie pomyślał, że to z jego powodu wyjechałam do lasu... aby go jeszcze raz spotkać.

- Aha! - domyślił się wreszcie komendant. - No tak, to takie już tam pani sprawy. Przepraszam. - Podszedł obejrzeć przydrożne drzewa. Czynił to nadzwyczaj uważnie, ale na żadnym nie znać było śladów zaczepienia liny. Kora była gładka, nie zadrapana ani starta. Brak było też innych śladów. Wrócił do Joanny zaszepiony.

- Na razie to już chyba wszystko, co mogliśmy zrobić.

*

- Ocaliła mi pani życie - powiedział Rafał, wodząc oczami za krzątającą się Joanną. - I jeszcze na dokładkę taki kłopot pani sprawiam. Ale wyniosę się stąd jak najprędzej. Prosiłem lekarza, aby zawiadomił Gruzę o wypadku. Przyjedzie i zabierze mnie, nic będę pani przeszkadzał.

- Trzy dni nie wolno panu ruszyć się z miejsca, tak zalecił lekarz. Przyjedzie tu pojutrze i zadecyduje.

- Trzy dni! - westchnął obłudnie Rafał. - Przecież dał mi wszelkie możliwe zastrzyki, więc już chyba nie umrę.

- Eee, od takiego potłuczenia - wtrącił swoje trzy grosze komendant. - Ale zawsze, nie można powiedzieć, zaopiekowała się panem nasza pani nauczycielka.

- Każdy by to zrobił - utartą formułką bagatelizowała swój uczynek Joanna. - Nie ma co...

- Każdy? A dlaczego nie zostawiła mnie pani na drodze nieprzytomnego i sama nie pobiegła po ratunek, jak zrobiłaby każda kobieta na pani miejscu?

- Bo obawiałam się, że mogliby pana zamordować. Taka mi się myśl nasunęła, i to tak uparcie, że za nic bym pana nie zostawiła samego.

- Kto mógłby zamordować? - poskoczył z pytaniem komendant.

- Ci, którzy spowodowali katastrofę. Skoro nie wahali się godzić na życie pana Żychonia w ten sposób, to próbowaliby innego, skoro poprzedni zawiódł. To chyba jasne. Od razu mi to przyszło do głowy. - Joanna zarumieniła się.

- No tak, no tak - przytakiwał komendant. - Jedno mnie tylko trapi: kto i dlaczego? Nie było jeszcze na świecie zbrodni bez przyczyny. Pan przecież jest w tych stronach zaledwie od paru dni. I to jako gość pana Gruzy. Nie może pan mieć tutaj wrogów, którzy godziliby na pańskie życie. Nikomu się pan nic naraził, nikomu nie stoi na zawadzie. W tym wypadku nie domyślam się przyczyny.

- Okazuje się jednak, że godzą.

Komendant zerwał się z miejsca. Zdenerwowany przemierzył kilkakrotnie przestrzeń od drzwi do okna.

- No tak. Tak to wygląda. Ale na miłość boską, dlaczego? Powiedz mi pan - dlaczego? Może się czegoś domyślacie?

- Rafał z wdzięcznością spojrzał na Joannę, która podeszła do niego z kubkiem rabarbarowego kompotu. Wysączył napój do ostatniej kropelki.

- Niczego nie jestem pewny...

- Jednak jakieś poszlaki, domysły... - skwapliwie podpowiadał komendant. - Wszystko może się przydać w śledztwie. Może to jakaś historia jeszcze z centralnej Polski wlecze się za panem Gruzą? Nie robię przecież teraz urzędowego protokołu. Taka sobie prywatna rozmowa. Może pan śmiało...

- Nie potrzebuje mnie pan namawiać. I niech się pan nie obawia, to nie ma nic wspólnego z dawnym, to tutejsza, najświeższej daty opowieść z tysiąca i jednej nocy. Nie wiem, co Gruza opowiadał panu z wypadków, które się tu wydarzyły przed moim przybyciem, ale wiem, że to wszystko łączy się ze sobą. Wczorajsze strzały i dzisiejsza przygoda to tylko dalszy ciąg.

Przedstawiciel władzy bezradnie rozłożył ręce.

- Trzeba by drobiazgowo śledztwo... bo wam wierzę, ale dowodów żadnych nie mam.

Spod bandażu oczy Rafała rozbłysły iskierkami ironii.

- A taki był pan wczoraj nie dowierzający, komendancie! Myślałem, że pan nas zamorduje sarkazmem.

- Że co, proszę?

- No... podżartowywał pan sobie z nas. I trochę lekceważył.

- Ależ skąd! Nie lekceważyłem, tylko mi to wszystko trochę nie pasowało do siebie. I teraz ta zbrodnia! Choćbym powiedział, że pan zwyczajnie bez żadnych zamachów spadł sobie z motocykla... to przecież zeznania panny Topolskiej! Naoczny świadek! A tu ani liny, ani nawet miejsca wypadku nie można odnaleźć. Wszystko takie niewinne i zwyczajne...

- Prócz moich potłuczonych kości - wtrącił Żychoń. Komendant zasiadł przy stoliku i wyjmował z teczek papiery. Rozkładał je z miną uroczystą.

- Spiszemy protokół. Zawsze co było, to było, a dla porządku zapisać trzeba. Dla porządku i dla pamięci. - Zatarł ręce i ująwszy wieczne pióro zwrócił się do Rafała:

- Nazwisko? Imię?

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Rafał, przykuty do łóżka, kurował chorą nogę i nudził się śmiertelnie. Wczoraj Gruza przewiózł go do leśniczówki z zachowaniem wszelkich ostrożności nakazanych przez lekarza. Rafał zżymał się na te „czułości”, jak powiadał, ale musiał pokornie im się poddać.

Aby ułatwić obsługę chorego, Gruza umieścił go w swoim gabinecie. Pokój zastawiony był szafami bibliotecznymi i półkami na książki. Piętrzyły się na nich grube, opasłe tomiska w złożonych okładkach. Na dolnych półkach stały i leżały oprawne albo luzem jeszcze poukładane roczniki jakichś czasopism. Rafał błędził oczami wśród gęstwy tych złocen i tytułów, których z daleka nie mógł odczytać, i pomyślał, że jak tylko będzie

mógł wstać, przejrzy te półki dokładnie, żeby wyłowić hitlerowskie śmiecie. Jak w niejednym domu niemieckiego mieszczaucha znajdowało się go tu sporo pomiędzy cennymi wydaniem niemieckiej literatury klasycznej.

Kiedy pomocnica Janowej przyniosła mu drugie śniadanie i ustawiwszy je na małym stolczku obok tapczana zamierzała odejść, Rafał zatrzymał ją:

- Truda, podaj mi te książki ze środkowej półki przy biurku.

Dziewczyna podeszła do wskazanego regału, ale sięgnęła ręką o jedną półkę wyżej, niż wskazywał Rafał.

- Nie, nie te. Niżej.

Truda jakby zawahała się na moment.

- Och, te!

- Daj, daj, właśnie te. Wszystkie mi tu ułóż przy tapczanie. Dlaczego zawahałaś się, kiedy kazałem podać te książki?

Źrenice jej pociemniały na chwilę, ale zaraz blady uśmiech przewinął się po wargach dziewczyny. Przeniosła spojrzenie za okno, gdzie zajaśniało słońce, przedarłszy się przez skłębione, gęste chmury, wiszące nisko nad światem.

- Bo to... były książki pana barona - zaakcentowała jakoś dziwnie ostatnie dwa słowa.

- Chyba wszystkie były barona?

- Tak, ale tych nie pozwolił nikomu ruszać. Sam czytał je raz po raz, nie rozstawał się z nimi. I teraz pan kazał je sobie podać...

- A ty ze starego nawyku bałaś się ich dotknąć? Służyłaś dawniej u barona?

- Tak. Dawno - odpowiedziała niechętnie.

- Truda, chcę z tobą porozmawiać. Usiądź tutaj.

- Nie, nie. Ja tak... ja zaraz idę... - sploszyła się wyraźnie. Postąpiła parę kroków ku drzwiom. Zatrzymał ją.

- Nigdzie nie pójdziesz. Zostań tutaj. Kiedy służyłaś u Stromberga?

- Ja dawniej byłem u leśniczego, ale kiedy pod koniec trzydziestego dziewiątego roku przyjechał tu brat dziedzica Heinrich, i zamieszkał w leśniczówce, zostałam u niego. On był sparaliżowany. Woziałam go czasem po dworze, PO Johan, który zawsze był przy nim, woził go tylko po domu.

- Jak długo byłaś u tego... Heinricha?

- Do czterdziestego trzeciego roku. Potem mnie wypędził - w lipcu to było - a ojca wzięli do obozu w Gross Rosen. I tam zginął. Po mnie też byli z gestapo, ale ja się już ukrywałam po aresztowaniu ojca. I tak przetrwałam do końca wojny.

- Za co ojca wzięli do obozu? Dlaczego ciebie poszukiwali?

Dziewczyna całym ciałem podała się naprzód, jakby komuś do oczu stawała za swoją prawdą.

- Za co? Za to, że mówił prawdę! Że wiedział, jak się to wszystko skończy! Że nasi panowie każą Hitlerowi naród na rzeź prowadzić - wyrzuciła z siebie gwałtownie. - A ja powtarzałam to za ojcem...

- Wydali go ci, do których to mówił, co? Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, to byli robotnicy, towarzysze ojca.

- Ktoś musiał donieść, że go gestapo...

- Eech! - Truda machnęła ręką i nagle oczy napłynęły jej łzami. Odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Co za egzaltacja! - pomyślał Rafał. - Przecież to już przeszło trzy lata, a ona wybucha płaczem na wspomnienie o ojcu. - Nie spodziewał się takiej reakcji na swoje, przecież w gruncie rzeczy niewinne, pytanie.

Już miał zabrać się do przeglądu lektury von Stromberga, gdy wszedł Tomasz. Musiał minąć w korytarzu Trudę, więc Rafał czuł się obowiązany wytłumaczyć jej stan.

- Wyobraź sobie, że rozmawiałem z Trudą o jej ojcu. Opowiadała, że zginął w obozie. I rozplakała się, jakby to było wczoraj.

- Ach, to ich tragedia rodzinna. Starego wydał rodzony syn, brat Trudy. Szesnastoletni szczeniak, ogłupiany systematycznie w szkole, w Hitlerjugend, wychowany na gebelsowskich sloganach - zadenuncjował ojca. Stary był socjalistą i przed dojściem hitlerowców do władzy był bardzo czynny politycznie. Po trzydziestym trzecim roku, zdezorientowany zdradą góry socjaldemokratycznej, zaniechał jakiegokolwiek działalności politycznej. Zaktywizował się dopiero podczas wojny, skręciwszy, zdaje się, bardziej na lewo.

Rafał zabrał się do lektury, a raczej do przeglądu lektury barona von Stromberga. Książki, które kazał sobie podać - zauważył to, gdy stały jeszcze na półce - straciły dziewczęcą świeżość okładek. Złocenia były już gdzieś przetarte, grzbiety nie prężyły się krągłymi wypukłościami, były pozałamywane. Dlatego właśnie kazał je podać.

Przeważała faszystowska pseudofilozofia hitlerowskich ideologów. Pod koniec tego przeglądu natknął się na dwa tomy prekursora niemieckiego faszyzmu - Nietzschego. Te były chyba najbardziej „wycytane”. Na każdej stronie tekst był wielokrotnie popodkreślany, najeżony wykrzyknikami, marginesy zasmarowane były uwagami świadczącymi o pełnej akceptacji tej idei. Bezsilny kaleka, przykutym paraliżem do fotela na kółkach, znajdował zadośćuczynienie w wizji nadczłowieka, stworzonej przez Nietzschego.

- Powiedz mi, co czytasz, a powiem ci, kim jesteś - - mruknął do siebie Rafał i chciał odłożyć książkę, ale w momencie, gdy ją zamykał, spomiędzy ostatnich kart wysunęła się złożona we czworo kartka gęsto zapisanego papieru. Rozłożył ją. Jakiś list. Zainteresowały go naraz pierwsze zdania:

Drogi Heini!

Moje sprawy osobiste stoją raczej źle. Decyzją samego Fuehrera przeniesiony zostaję na front wschodni. Jutro już wyjeżdżam i nie będę mógł zobaczyć się z tobą, o co mi bardzo chodziło. Mój drogi, ja wiem, że ty jesteś Kato, ale trzeba pomyśleć także o sobie. Front nad Wisłą pęki, bolszewicy ruszyli naprzód i nie wiadomo, gdzie się zatrzymają i czy się zatrzymają w ogóle. Piszę do Irmy oddzielnie, ale powtarzam także i tobie, żebyś wiedział, o co chodzi, i proszę, abyś dopilnował dokładnego wypełnienia przez nią moich poleceń. Chodzi o to, aby Irma powoli - nie za powoli - pakowała wszystkie cenniejsze rzeczy i wysyłała do swoich rodziców. Tam będą Anglicy lub Amerykanie. Biżuterię i najcenniejsze drobiazgi niech spakuje najpierw i sama zawiezie, a gdy wróci - niech wysyła dywany, obrazy itd. Erwinka niech zostawi u dziadków, bo później może być zbyt niewygodnie podróżować z dzieckiem.

Rozmawiałem z Geismeierem. Na przerzucenie mnie do FA 310 lub ZA 305 nie chciało się zgodzić moje dowództwo - wiem, kto mi się tak przysłużył, i niewątpliwie znajdę okazję, żeby mu się odwdzięczyć. Najwyższe czynniki bardzo interesują się twoją pracą i Fritz Kałt powiedział mi osobiście, że gdybyśmy mieli podobne zbiorcze, jednolite opracowania dla terenów zachodnich, to moglibyśmy z dużym spokojem i nadzieją odnosić się do powojennej akcji. Ludzie i ogromne środki materialne są już całkowicie zapewnione i zabezpieczone. Gdybyś ty ze swoim genialnym, jak to tu określili, memoriałem wystąpił o rok wcześniej!... Ba, rok wcześniej człowiek zaledwie śmiał przeczuwać dzisiejszą sytuację.

W tych dniach będzie u ciebie Linke i przywiezie ci dalsze materiały, bodaj już jedne z ostatnich, do opracowania. Gdyby potrzebne ci były jakieś szczegóły, to żądaj dostarczenia ich przez niego, bo on pozostanie w tamtych stronach. Zdaje się, że będzie prowadził „freblówkę”, ale to już raczej mój pry watny domysł, bo nie chciałem się pytać, po co tam jedzie. Wydadź mu zaświadczenie, że pracuje u nas jako gajowy.

Doręczy ci ten list nasz człowiek, którego posyłam do Irmy, aby jej pomógł w podróży i w przewozie rzeczy, bo jej mogłoby stawiać jakieś trudności. W razie jakich nieprzewidzianych przeszkód Linke będzie interweniował, prosiłem go o to. Jesz cze raz cię proszę, dopilnuj, aby Irma wykonała moje polecenie. List spal.

Pismo kończyło się rodzinnymi serdecznościami i poleceniami i jeszcze raz dopiskiem: „list spał”.

- Fiu, fiu, fiuu! - zagwizdał Rafał. - To tu się jakieś grubsze buty szyło! W tej cichej, małej leśniczówce napotykam elementy światowej polityki hitlerowców!

Obejrzał list dokładnie. Na pierwszej stronie przez mar gines biegł dopisek dokonany odmiennym charakterem pisma:

Odkąd Fuehrer zaczął głosić swoją naukę, wiem, że życie moje przyda się mojemu Narodowi. Zwycięzimy. Musimy zwyciężyć. Pracuję dla zwycięstwa. Wiem, że i z za grobu zwycięstwo będzie nasze.

- Twarda sztuka! Faszysta z urodzenia, z powołania i z przekonania. Ile by taki szkody narobił, gdyby go nogi po świecie nosiły! - skomentował Żychoń sumę swoich wiadomości o Heinrichu von Strombergu. Nie wiedział, że właśnie ten paralytyk, gdyby zamierzenia jego się spełniły, uczyniłby więcej szkody niż tysiące najkrwawszych „blond bestii”.

Kiedy Tomasz przyszedł w południe, zastał Rafała siedzącego pod biblioteką, obłożonego stosem książek, które troskliwie przeglądał. Rafał nie wytrzymał. Zwłóknął się z posłania i najpierw dokładnie przepatrzył podręczną półkę tuż koło biurka, na której Stromberg trzymał swoje książki.

Rafał miał nadzieję, że pośród tych książek znajdzie jeszcze jakieś resztki korespondencji Stromberga, lecz nawet nie natrafił na ślad. Ten jeden jedyny list, włożony między kartki książki ulubionego filozofa i zapomniany tam widocznie, ostał się na świadectwo jakichś doniosłych prac jego adresata.

- Co ty wyprawiasz, Rafał? Powinieneś, człowieku, leżeć nieruchomo. Bo to kolano nigdy ci się nie zagoi. Lekarz powiedział...

- Wiem, co powiedział lekarz - przerwał niecierpliwie Rafał. - Ty lepiej przeczytaj ten list, który znalazłem w książkach. Leży tam, przy tapczanie. Ciekawy list.

- Dobrze, dobrze, przeczytam, ale ty - marsz na tapczan!

Rafał, stękając, ułożył się na posłaniu. Noga, pozostająca dłuższy czas w niewygodnej pozycji, dała znać o sobie teraz dokuczliwym bólem.

- No cóż, list, jak list. Świadczy tylko, że von Strombergowie mieli kontakty z najwyższymi figurami Trzeciej Rzeszy - powiedział Tomasz, odkładając obojętnie pismo. - I wykorzystywali te kontakty, jak mogli, dla własnej korzyści.

- Ależ, mój drogi! - zaoponował Żychoń. - Ten list świadczy o czymś więcej. Przede wszystkim o tym, że obaj Strombergowie pracowali dla wywiadu, a ten tutejszy paralytyk wykonywał nawet jakieś szczególnie ważne prace. Przecież wspomniane w liście FA 310 i

ZA 305 to prowincjonalne szefostwa wywiadu i kontrwywiadu hitlerowskiego na tych terenach. Trochę interesowałem się tymi sprawami, więc wiem. W każdym razie trzeba ten list doręczyć komendantowi posterunku. Niech on pośle go do naszych władz bezpieczeństwa. Może im się przydać. Czasem takie małe ogniwo zamyka cały łańcuch. A ja dla siebie, na; wszelki wypadek, zrobię odpis. A nawet - niech będzie moja strata - opiszę w załączniku wszystkie okoliczności odnalezienia tego listu razem z opisem wypadków, jakie tutaj od pewnego czasu zachodzą.

- A to po co? - zdziwił się Gruza.

- Nie wiem, czy ten list ma jakiś związek z tymi wypadkami. Trudno się zorientować, ale... Zresztą, dlaczego ja sam jeden mam o tym myśleć? Niech inni też się pomartwią.

Gruza uśmiechnął się sceptycznie.

- Fantazja cię ponosi.

- Raczej logika, Tomciu. Bo pomyśl: szukają skarbu von Strombergów, my zaś z tego listu dowiadujemy się, że Stromberg na parę miesięcy przed ucieczką kazał żonie wywieźć nie tylko biżuterię, ale i dzieła sztuki. Więc albo nie wtajemniczeni szukają skarbu, którego nie ma, albo wtajemniczeni szukają czegoś innego, zupełnie innego.

*

Po południu przyjechał komendant. Dawał do zrozumienia że odwiedził Rafała z własnej inicjatywy, ale Joanna, która przyjechała z nim razem, uśmiechała się dyskretnie, kiedy zapewniał o tym Gruzę i Żychonia. Bo ja mam nosa, panowie. Zawsze jestem pierwszy, gdzie coś ciekawego się stanie. A ten list to ciekawa rzecz jak powiada pan inżynier.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dzień był słoneczny i prawie upalny. Czerwcowe słońce dochodziło południa i z nieba nie skażonego najmniejszą chmurką zlewało obficie swój blask i ciepło. Wysoko, roztopione w błękitach, wisiały szare skowronki i dzwoniły swoje radosne pieśni. Pogodna beztroska słonecznego dnia udzielała się i ludziom, napełniając ich serca nadzieją lepszego jutra.

Na lewo od domu, za warzywnikiem, rozciągało się pólko, może trzyhektarowe, częściowo obsiane jęczmieniem, częściowo zasadzone ziemniakami. Pomędzy ostatnimi drzewami owocowego sadu a gospodarczymi zabudowaniami leśniczówki był widok na owe poletko i Rafał, leżąc na werandzie, widział uwijającego się na polu Tomasza. Brodził on wśród zielonych grządek ziemniaków, a cholewy długich butów lśniły połyskliwą czernią nad zagonkami soczystej zieleni ziemniaczanej naci.

Gruza, zawołany gospodarz, cieszył się z tego kawałeczka pola niezmiernie i codziennie obchodził je, znając niemal każdy krzak ziemniaków i każde źdźbło pięknie

rosnącego jęczmienia. Spłacheć wykłoszonej pszenicy falował w leciutkim wietrze, grając odcieniami zieleni kłosów i uliścionych ździebeł. Ta radość gospodarska miała swoje uzasadnienie i w tym, że początki bytowania Gruzy w tym zapadłym kącie ziemi, jednoczącej się dopiero z całością kraju, nie były zbyt obfite i co tu gadać - nieraz należało dobrze przyciągnąć pasa, chcąc przetrwać. Sytość nie zawsze chodziła w parze z pracowitością i zapalem do „dzieła odbudowy Ziem Odzyskanych”, jak się to z patosem mawiało. Kto jednak chciał pracować, ten żył spokojnie, a skromne początki dawały mu nadzieję na lepszą przyszłość. Byli tacy, którzy fortun chcieli dorobić się na szabrze, tymi jednak wcześniej czy później zainteresowała się milicja i krótkotrwały okres *prosperity* kończył się dla nich w sposób nagły, choć spodziewany i zasłużony.

Uwagę Rafała skoncentrowaną na Gruzii odwróciło skrzypnięcie otwieranej furtki. Spojrzał w tamtą stronę. Ku werandzie energicznym krokiem szedł wysoki, szczupły mężczyzna w bryczesach i butach z cholewami. Jasno-blond włosy, krótko ostrzyżone, wydawały się w słońcu prawie białe. Trzymaną w ręku witką uderzał się po cholewach. Już wstępując na pierwsze stopnie schodów spostrzegł Żychonia i zaraz zaczął mówić śpiewnym kresowym akcentem:

- A ja do pana inżyniera... Dzień dobry! Interes mam, a tu widzę, że pan inżynier chory. Wypadek pan miał jakiś nieszczęśliwy, co? Teraz tak łatwo o wypadek. Ot, i ja sam w ubiegłym tygodniu o mało się życia nie pozbawił. W pociągu to było. Mnie na dachu wypadło jechać i o mały figiel nie wpadłem pod koła. Tak się teraz podróżuje, panie inżynierze, że jak kiedyś dzieciom będziemy o tym opowiadać, to wierzyć nie zechcą.

- Pan przecież dzieci nie ma - zażartował Rafał, bo go ta przydługa nieco tyrada rozśmieszyła.

Przybyły trzepnął gałązką po cholewach i uklonił się.

- A nie mam, nie mam, istotnie. I żony jeszcze nie mam. A skąd to pan inżynier wie? Jak pan to poznał? Ha ha ha! Niebezpieczny z pana inżyniera psycholog! Ano, okazji jeszcze nie było w tych niespokojnych czasach pomyśleć o żonie i dzieciach. Wojowało się za ojczyznę.

Gość miał opaloną twarz, szczerze niebieskie oczy pod białymi brwiami. Wyglądał na około trzydzieści lat. Podszedł blisko do stolika, uklonił się z jakąś szkolną, sztubacką elegancją, co znów rozśmieszyło Rafała, i nie zajmując wskazanego miejsca wyjmował z portfela jakieś papierki, układał je na stoliku z pietyzmem wygładzając każdy zagięty rożek; nie przestawał przy tym mówić.

- Pozwoli pan inżynier, że się przedstawię: Tarłówko jestem, Jerzy Tarłówko. A to są papiery...

Rafał przerwał potok wymowy rozspiewanego przybysza.

- Chwileczkę, chwileczkę, panie Tarłówko! Żychoń jestem - wyciągnął ku przybyłemu rękę. - Inżynier Gruza niezadługo przyjdzie. Pan ma zapewne jakąś sprawę urzędową do nadleśnictwa? Niestety, ze mną jej pan nie załatwi. Niech pan siada i poczeka chwilę albo jeżeli się panu bardzo śpieszy, to niech pan przejdzie do inżyniera Gruzy - jest tam, w polu.

- Ha ha ha! - Tarłówko widocznie lubił się śmiać. - A ja panu szanownemu głowę zawracam sprawami, które go wcale nie interesują... ha ha ha. - Zebrał ze stolika papiery i wsunął w zanadrze. - To ja bardzo przepraszam!

- Ależ nic nie szkodzi - protestował Żychoń. - Gość na naszym odludziu jest zawsze pożądanym i zawsze słucha się go z przejęciem. Interesant tutaj to też gratka. Proszę, niech pan siada.

Przybysz skwapliwie zajął krzesło i wyciągając znów papierki, dokumentował Rafałowi ich ważność.

- To są właśnie papiery, uprawniające mnie do zajęcia myśliwskiego dworku na pograniczu rewiru inżyniera Gruzy, na pograniczu nadleśnictwa.

- Pan chce się osiedlić w tych stronach? Gość wykonał nieokreślony ruch ręką.

- A choćbym nie chciał, panie, to co mam zrobić? Ja, widzi pan, jestem zdemobilizowanym żołnierzem. Leżałem w szpitalu, a po wyjściu z niego PUR skierował mnie w te strony. Ja przyjechałem, pochodziłem, popatrzyłem. Dowiedziałem się, że tu są kamieniołomy i podjąłem się je uruchomić. Nam teraz dużo kamienia potrzeba w okresie odbudowy.

- Piękne obywatelskie stanowisko.

- Nie tyle obywatelskie, co fachowe, panie szanowny. Coś robić trzeba, a jak robić, to już to, co się umie. A ja się na tym znam, bo swego czasu w dużych kamieniołomach wołyńskich pracowałem. Myślę, że tu sobie dam radę.

- Trudno panu będzie. Jest pan samotny... Tarłówko pokiwał głową, jakby się sam nad sobą litował.

- Zupełnie samotny, panie. Ani żony, ani siostry, ani brata. Sam tak jestem na świecie, jak mnie pan tu widzi. Żadnych krewnych ani znajomych nawet. Dlatego wszystko mi jedno, gdzie być. Trochę tu odległe strony i jeszcze nie zaludnione, no ale z tym trzeba się pogodzić na razie.

Nadszedł Gruza i potok wymowy przybysza został przerwany, a raczej skierowany w inną stronę. Tarłówko opowiedział od początku swoje dzieje.

Na wieść o przydzieleniu myśliwskiego dworku Strombergów zarządowi kamieniołomów Gruza zachnął się.

- Niemożliwe! - wykrzyknął. - Przydzielili? Panu?

- Nie mnie. Zarządowi kamieniołomów. Dziwi to pana inżyniera?

Gruza zerwał się i przemierzał werandę szybkimi krokami.

- Panie, ja nie uznaję tego przydziału! Ja jadę jutro interweniować w tej sprawie. To nie może być, aby na terenie lasów państwowych jakaś tam inna instytucja decydowała o przydziale!

Tarłówko wstał z krzesła. Trzęsącymi się nieco rękami zbierał rozrzucone na stole papiery.

- Czyżby ten przydział nie zgadzał się z jakimiś planami pana inżyniera? A może moglibyśmy tę rzecz załatwić między sobą? - Widać było, że reakcja Tomasza zaskoczyła Tarłówkę.

- Tyle razy chciałem przenieść tam leśniczówkę! Nie i nie. Później się zrobi - odpowiadali. I masz babo placek! Jest później!

- Przecież nadleśnictwo... - próbował wtrącić się Rafał.

- Właśnie nadleśnictwo. Tu jest za ciasno. Tam chciałem przenieść nadleśnictwo. W pobliżu są inne zabudowania, należące do zarządu kamieniołomów. Chciałem tam osadzić służbę leśną i urzędników leśnictwa. Tu jest za ciasno. Nie ma pomieszczeń na biuro, a tym bardziej na mieszkania dla urzędników. Muszę dwóch przyjąć. Na razie do uruchomienia kamieniołomów bardzo daleko, a nadleśnictwo już pracuje.

- Właśnie, właśnie, panie inżynierze. Sprawa tych kamieniołomów. Trzeba je uruchomić jak najprędzej. Budynek, w którym dawniej mieściły się biura zarządu, jest zniszczony prawie całkowicie. Praktycznie nie ma go. Kolonia, w której dawniej mieszkali robotnicy kamieniołomów i gdzie dziś jeszcze mieszka parę rodzin niemieckich, jest zbyt oddalona od kamieniołomów, aby tam umieścić biuro. Pozostaje tylko ten dworek myśliwski i te trzy małe domki oddalone od niego o jakieś pół kilometra. Przydzielili go mnie, gdyż nie należy on do terenu nadleśnictwa.

- Ale do kamieniołomów też nie.

- Zgoda - przytaknął Tarłówko. - Dysponować nim mogą jedynie Państwowe Nieruchomości Ziemskie i od nich właśnie mam najformalniejszy przydział. Ucieszyli się

nawet, bo dawno szukali jakiegoś fachowca, który by te kamieniołomy uruchomił. A ja, panie inżynierze, praktykę mam z wielkich kamieniołomów wołyńskich.

- Pan z Wołynia pochodzi?

- No, nie... ja z Małopolski wschodniej albo zachodniej Ukrainy, jak pan woli. Z Tarnopola. Ojciec mój tam w starostwie pracował. Lekarzem weterynarii był. A później sobie na wsi posiadłość maleńką kupił... we wsi Malwinki. Pszczołki hodował i chłopom konie, bydło, nierogaciznę leczył. A bywało, że i samych chłopów, bo powiadali, że jak panoczek tak mojej jałowce pomógł, to i mnie wykuruje. Ha ha ha! Tak bywało!

- Jaka wieś? Malwinki? - zainteresował się Gruza.

- Tak jest, Malwinki, panie inżynierze.

- Patrzcie, jaki ten świat jest mały! - zawołał zdziwiony Tomasz. - A to znajomą pan spotka z tej samej wsi. Ucieszy się niezawodnie, bo te Malwinki z ogromnym rozczuleniem wspomina.

Tarłówko zamrugał białorzęsami powiekami i wyprostował się w krześle.

- Znajomą? Hm... nie wiem, nie wiem, czy przypomnę sobie... Wieśniaków tamtejszych nic znam prawie wcale. Rzadko przyjeżdżałem do rodziców, tylko w okresie wakacji szkolnych. A później, jak mówiłem, pracowałem na Wołyniu, w owych kamieniołomach.

- To córka nauczyciela z Malwinek, Topolska. Joanna Topolska. Pamiętać pan chyba pamięta?

- Tak, coś jak przez mgłę przypominam sobie. Topolski? - Tarłówko rozpromienił się nagle. - No naturalnie, taki mały, zasuszony staruszek. Na karty do ojca przychodził. Tylko córkę nie wiem, czy sobie przypomnę. Była wtedy jeszcze w wieku, kiedy jako kobieta uwagi na siebie nie zwracała. Bo dorosłej panny tam żadnej nie przypominam sobie.

- Miała chyba ze trzynaście, czternaście lat - rzucił Rafał.

- Możliwe, możliwe... Nie przypominam sobie. W każdym razie dziś to musi być panna dorosła. Tyle lat...

- Tym bardziej mi przykro, że ze znajomkiem, krajanem panny Topolskiej, muszę prowadzić spór - wrócił do swojej myśli Gruza. - Bo ja nie chcę rezygnować ze swego projektu. Pan przecież może doskonale umieścić siebie i biura kamieniołomów w osiedlu robotniczym.

- Ależ to za daleko od miejsca pracy! To już panu raczej łatwiej byłoby nadleśnictwo umieścić w Altendorf, przepraszam, w Starej Wsi, a mieszkać sobie tutaj.

- Wiecie, panowie - wtrącił Rafał - że to śmieszne, jak wy tak sobie do oczu skaczecie i jeden drugiemu proponuje Niderlandy.

Gruza przystanął obok stolika.

- Kto skacze do oczu? Ja tylko mówię, że nie ustąpię i pojedę wyklócać się o ten przydział.

- A pamiętasz, Tomaszku - Rafał pochylił się i coś manipulował przy okładzie na potłuczonym kolanie - ile to razy piorunowałeś na ludzi, którzy z egoistycznych względów - takich czy innych - utrudniają osiedlenie i zagospodarowanie tych ziem? Przepraszam, że ci to mówię przy panu Tarłówce, ale nie sądzę, abyś właśnie w tej chwili co innego robił.

- Albo ja dla siebie chcę tego dworku? - obruszył się Gruza.

- To cię nieco usprawiedliwia.

Tomasz podszedł do balustrady werandy. Oparł się o nią obiema rękami i patrzył na „swoje” pole, soczyście zieleniejące w słonecznym blasku. Niski zagajnik obejmował je z dwóch stron kędzierzawymi ramionami młodych drzewek. Przymknął powieki, ale widok trwał niewzruszenie w oczach. Odwrócił się do siedzących.

- Dobrze, już dobrze. A jakże pan myśli dać sobie radę z uruchomieniem kamieniołomów? O robotników teraz bardzo trudno.

- Nie wiem, nie jestem jeszcze zorientowany w tutejszych stosunkach. Myślę, że będę musiał na razie zatrudnić miejscowych Niemców. Inaczej chyba się nie da. Zresztą, oni chętnie pracują podobno.

Gruza uśmiechnął się smętnie.

- Podobno...

- Pan jest innego zdania, panie inżynierze? Ja słyszałem taką opinię od wielu ludzi.

- Moi drwale pracują z konieczności i tylko pod nadzorem. Pozostawieni bez dozoru sabotują pracę, jak mogą.

- No, już ja sobie dam z nimi radę. U mnie, panie, będą pracowali!

Rafał i Gruza spojrzeli po sobie, ale nic nie odrzekli na buńczuczne zapowiedzi gościa. Ten pochwycił ich spojrzenia, zmieszał się i chciał coś powiedzieć, gdy w zabudowaniach gospodarczych leśniczówki zabrzmiał gong, obwieszczający obiadową porę. Tarłówko poderwał się na jego dźwięk. Zebrane poprzednio papiery wyciągnął z kieszeni i wyjmując jeden z pliku, podał go Tomaszowi.

- Oto jest przydział na ten dworek.

Gruza jeszcze niechętnie wziął do ręki podawany świstek.

- No tak, najformalniejszy przydział.

- A to jest moja nominacja, to zaś pismo do szanownego pana od Dyrekcji Lasów z prośbą, aby mnie pan wprowadził w posiadanie czy użytkowanie tego obiektu, który dotychczas znajduje się formalnie pod pana opieką.

- Pod opieką... formalnie - zaśmiał się Gruza.

- Ciekawym ogromnie, w jakim znajduje się ten domek stanic?

- Niechże mnie pan nie obarcza odpowiedzialnością za jego aktualny stan - zastrzegł się Tomasz pospiesznie.

- Czyżby był tak zniszczony? - z niepokojem podchwycił Tarłówko.

- No nie... ale zawsze i wojna, i długi okres pustki w tych stronach, zupełnej pustki, brak władz miejscowych, ludność tutejsza...

- Wątpię, aby zamieszkali tu Niemcy rabowali opuszczone domostwa. Mieli chyba dość własnych kłopotów ze swoim mieniem.

- Jeśli nawet nie kradli, to niszczyli, co mogli zniszczyć, oczywiście, jeżeli mogli to zrobić bezkarnie. No, a nasi „pionierzy” też nie bawili się w konserwatorów.

- „Jak tam było, tak tam było, ale nigdy jeszcze tak nie było, aby jakoś nic było”, jak powiedział znajomy dobrego wojaka Szwejka - rzekł Rafał - a pana trzeba wprowadzić w posiadanie.

- Kiedy pan chciałby, żeby to zrobić, i gdzie pana znajdę? - rzeczowo ustosunkował się Gruza.

Tarłówko stropił się.

- Ja zawsze stawię się, kiedy pan będzie chciał. Nie zadomowiłem się tu jeszcze, więc trudno mi dać panu jakiś adres. Ale przyjdę, kiedy pan każe się zgłosić. Rad bym, aby to było jak najprędzej. Jestem „jako ten syn człowieczy, który nie ma gdzie, aby głowę złożyć” - zaśmiał się, jakby powiedział najlepszy dowcip, ale wnet przybrał poważną minę. - Widzicie, panowie, nie znam tutaj nikogo, z wyjątkiem panny Topolskiej, o której się zresztą do-: piero przed chwilą dowiedziałem, co dla mnie jest bardzo miłą niespodzianką... Prosto z pociągu przyszedłem tutaj do pana inżyniera. Nie sądziłem, że będą jakieś trudności, i przykro mi...

Tomasz machnął ręką, jakby przecinając dyskusję.

- Panie Tarłówko, chciałbym panu istotnie pójść jak najbardziej na rękę, ale naprawdę jestem zbyt zajęty dzisiaj. Może jutro po południu, co? Niech pan zatrzyma się u mnie do jutra.

- Nie, nie. Bardzo dziękuję. Nie chcę i nie mogę sprawiać panu kłopotu. Rad bym, co prawda, bodaj dziś znaleźć się na własnych śmieciach, jak się to mówi, ale trudno, zgłoszę się jutro.

- Żadnego kłopotu pan nie sprawi - usiłował protestować Gruza. - Spać jest gdzie.

- Dziękuję, dziękuję. Przejdę się do wsi, zanocuję tam, a przy sposobności odwiedzę pannę Topolską.

Rafał spojrział na niego zezem.

- Słuchaj, Tomek - odezwał się po krótkim namyśle. - A gdybym ja dopełnił tej formalności za ciebie. Przecież to tylko formalność, a panu jest chyba wszystko jedno, kto wprowadzi go do tej rudery.

- Ależ tak! Najzupełniej wszystko jedno - zawołał Tarłówko z pośpiechem.

- Ale tobie nie wszystko jedno. Twoja noga...

- Ech, głupstwo! Noga prawie mi nie dokucza. Przecież kiedyś muszę zacząć chodzić. Taki spacer nie zaszkodzi. A sąsiada osadzę na jego własnych śmieciach, jak sam powiada.

Będę bardzo zobowiązany i wdzięczny - skłonił się Tarłówko.

- Obawiam się, że to będzie dosłownie „na śmieciach” - zaśmiał się Gruza. - No, ale cokolwiek będzie, zostanie pan u nas na obiedzie.

Zanim Tarłówko zdążył zaprotestować, Tomasz zniknął z werandy. Poszedł uprzedzić Janową, że gość zostanie na obiedzie. Rafał z nieodłączną teraz laseczką pokuszył się w głąb domu, a przybysz pozostawiony sam sobie rozglądał się ciekawie dokoła.

Zwołani dźwiękiem gongu zaczęli schodzić z lasu pracujący przy wyrębie Niemcy. Tarłówko przyglądał im się uważnie, a nawet zeszedł z werandy i z jednym z nich rozmawiał dłuższą chwilę.

- Trudną będę miał sprawę z uruchomieniem tych kamieniołomów - rzekł do Rafała. - Właśnie pytałem tego... tubylca, czy dużo zostało w okolicy dawnych pracowników. Niewielu podobno. Żebym tylko zebrał odpowiednią ilość. Nie uwierzy pan, jak bardzo leży mi na sercu ta sprawa.

- Wszystkim nam chyba leży na sercu - wtrącił Gruza, który nadszedł tymczasem - uruchomienie każdego, najmniejszego nawet warsztatu pracy tutaj, na zachodzie. Hitlerowcy, ustępując stąd, w zacieklej nienawiści palili i niszczyli wszystko, czego nie zdołali wywieźć. I jeżeli ten kraj kiedyś - a wierzę, że nastąpi to niedługo - stanie się warsztatem pracy dla paru milionów ludzi, jeżeli jego bogactwa nie tylko nam, ale i światu staną się dostępne - to będzie nasza zasługa. Polskich rąk, mózgów i nerwów. O, bo tu trzeba mieć mocne nerwy, bardzo mocne.

- A właśnie - podjął z ożywieniem Tarłówko. - Słyszałem, że tu panowie mieliście jakieś... zamachy, czy coś?

- Od kogo pan słyszał? - Rafał pilnie wpatrywał się w twarz gościa.

- No, tutejsi ludzie...

- Niemcy?

- Nie pamiętam, od kogo to słyszałem. W każdym razie nie od Niemca. W pociągu bodajże o tym rozmawiaj no.

- Hm, takie drobiazgi - Żychoń umyślnie zbagatelizował wypadki - są już tematem rozmów w pociągach. A co by było, gdyby tu naprawdę stało się coś poważnego! A to co pan słyszał? Bardzo mnie ciekawi, jak ta sprawa wygląda w opowiadaniach ludzi.

- No, ja słyszałem w ten sposób, że na pana inżyniera ktoś urządził zamach, linię przewiązał przez drogę, czy coś takiego, aby mu zabrać motocykl.

*

Po obiedzie Rafał, odpocząwszy nieco, wybrał się z gościem do byłego dworku myśliwskiego barona von Stromberga. Przeszedłszy z pół kilometra gładką asfaltową drogą, skręcili na prawo węższą, bitą szosą, wiodącą do kamieniołomów. Ukosem od niej pięła się ścieżyna prowadząca do dworku. Stał samotny, otoczony ścianą zwartego lasu, ogrodzony z trzech stron wysokim, mocnym drewnianym płotem, a od frontu żywopłotem i drucianą siatką. Duży drewniany dom zbudowany był z drzewa na wzór tyrolskich chat. Furtka naprzeciw głównych drzwi wyrwana z zawiasów, leżała przy dróżce wiodącej na nie wielki taras. Od domostwa i całego otoczenia wiało opuszczeniem, nędzą samotności i pustki. Jakże bolesne wrażenie wywierają porzucone przez mieszkańców siedziby ludzkie! Zawarte na głucho drzwi, pozabijane deskami, pozbawione szyb okna potęgowały jeszcze wrażenie głuchej pustki i martwej samotności domu.

Na mansardzie tylko utrzymały się trzy oszklone okna i lśnienie ich szyb było jak spojrzenie człowieka chorego, lecz mającego nadzieję powrotu do zdrowia.

- Pierwszy raz tu jestem i nie powiem, abym panu zazdrościł mieszkania - rzekł Rafał.

- Przecież to istna pustynia, ani ludzi, ani drogi do ludzi. Pan chce z tego urządzić biuro zarządu, a jakże tu jaki interesant trafi?

Tarłótko wskazał w lewo.

- O, tam, widzi pan, jest brama, a dalej bardzo wygodna droga do kamieniołomów, które są nie dalej niż o trzysta metrów, nawet trochę bliżej. Dom ten wybudowany był, zanim założono kamieniołomy. Wtedy stracił rację bytu jako dworek myśliwski i baron albo gościł tu latem kogoś, albo wynajmował go jako letnie mieszkanie. Dlatego postarał się i o wygodny dojazd. Opowiadali mi o tym robotnicy z kamieniołomów, ci z kolonii, kiedy tu byłem poprzednio.

Rafał wielkim kluczem otworzył drzwi frontowe i weszli do wnętrza. Owiał ich wilgotny i chłodny dech dawno nie wietrzonego, na głucho zamkniętego pomieszczenia. Przez otwarte szeroko drzwi wdarła się struga światła i rozwidniła obszerny, wysoki hall, zarzucony najbardziej nieprawdopodobnymi gratami i sprzętami, których by nikt nie spodziewał się tu znaleźć.

Pośrodku leżała na podłodze kupa narzędzi, pochodzących chyba z kamieniołomów - jakieś oskardy i kilofy, młoty i drągi żelazne, zakończone ostro niby dłuta. Nieco dalej spiętrzone było inne żelastwo, którego przeznaczenia zwykły śmiertelnik nigdy by nie dociekł.

Wszędzie: pod ścianami, obok popsutych mebli z oderwanymi lub wyrąbanymi drzwiczkami i szufladami, obok foteli z wyprutym pokryciem, leżały wielkie rogi jelenie utracone od podstaw, ramy pozbawione obrazów i obrazy wycięte z ram, butelki z kolorowymi etykietami, porozbijane skrzynie, krzesła bez siedzisk lub oparcia. Wszystko to porozrzucane w okropnym nieładzie, jakby huragan tu przeszedł albo szalało stado drapieżnych zwierząt.

- Na brak pracy przy porządkowaniu tego domostwa; nie będzie się pan chyba uskarżał.

Tarłówko obojętnie ruszył ramionami.

Przeszli jeszcze parę pokoiów, w każdym znajdując podobny bałagan, zniszczenie lub zupełną pustkę. Pierze z rozprutych poszew leniwie fruwało podnosząc się w ślad za nimi. Wszędzie panował półmrok, bo światło sączyło się; tylko szparami między zbitymi deskami. Ten półmrok litościwie matował obraz ludzkiej bezmyślności i zwierzęcego instynktu niszczenia.

Stanęli przed zamkniętymi drzwiami jakiegoś dalszego pokoju. Rafał nacisnął klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Po parł nacisk kolanem. Bez rezultatu. Zaintrygowany począł przymierzać klucze, których pęk trzymał w ręku na stalowej witce. Żaden nie pasował do zamka.

- A jednak musimy go otworzyć!

- Po co? - zaprotestował Tarłówko. - Chyba że panu na tym zależy. Mnie wcale. Taka ruina jak wszystkie.

- Bardzo być może. Ale moim obowiązkiem jest otworzyć ten pokój i zobaczyć, co tam jest.

- Jeżeli pan koniecznie chce...

Rafał poszedł do hallu i wyszukawszy w rupieciach kawałek drutu na poczekaniu zrobił zgrabny wytrych. Jednak i tym narzędziem nie udało mu się sforsować upartego zamka. Tarłówko obojętnie przyglądał się jego wysiłkom. Zdawał się być tym zupełnie nie zainteresowany, aczkolwiek on to przecież obejmował ten dom.

- Po co ja się właściwie morduję! - zawołał wreszcie Rafał. - Przecież ta dziura ma na pewno jeszcze inne drzwi. Obejrzymy całość, a jeżeli nie znajdziemy drugiego wejścia...

Pokoje na górze - których było sześć - znajdowały się w o wiele lepszym stanie i sprzęty nie były tu zniszczone tak bezmyślnie. Szafy i staroświecka komoda miały tylko wyłamane zamki - szabrownicy szukali ukrytych w nich rzeczy. Skromne foteliki nie były poodzierane z obić, stoły i krzesła stały na swoich miejscach.

Rafała intrygowały tamte drzwi. Gdy zeszli z góry, zabrał się ponownie do ich otworzenia. Po paru modyfikacjach naprędce sporządzonego wytrycha zamek ustąpił. Drzwi otworzyły się lekko. Nawet zawiasy nie skrzypnęły.

- Jestem wychowankiem akademii złodziejskiej. Wytrychy to moja specjalność - chwalił się Rafał.

- Widzę to - bez entuzjazmu odpowiedział Tarłówko i wszedł pierwszy do pokoju. - Uff! - zawołał - jaki tu mocny zapach tytoniu! Cygar, zdaje się. Czyżby tu kto wchodził?

- Na pewno. I to niezbyt dawno. To jest jeszcze zupełnie świeży zapach. Może od wczoraj. Dziwne, bo Gruza mówił, że ten dom od wojny stoi pustką.

Było tu jednak jeszcze wiele innych dziwnych rzeczy.

Przede wszystkim rzucała się w oczy wielka czarna plama na lewej ścianie od wejścia. I kupa gruzu na środku pokoju.

- Panie Tarłówko, niech pan wyjdzie na dwór i oderwie ze dwie deski, zakrywające okno. Musimy lepiej obejrzeć ten ciekawy pokój.

- Po co?

- Po co, to już inna para kaloszy. I to kaloszy, które nie pasują do siebie, bo nie są od pary. Na dwie lewe nogi.

- Przecież stąd można odbić - rzekł Tarłówko podchodząc do okna. - No, nie - zatrzymał się - tu są całe szyby!

- Dlatego mówiłem, aby pan wyszedł na dwór.

- To pan wiedział, że tu są całe szyby?

- Wiedziałem. Jakżeby inaczej zapach cygar utrzymał się w pokoju.

Tarłówko wyszedł i po chwili dwie deski, podważone kilofem, ustąpiły ze zgrzytem. Jasność dzienna wpadła do pokoju szerokim strumieniem. Odarta z jakiejś ozdoby ściana

wystąpiła przed oczy całą jaskrawością surowej czerwieni nagich cegieł. Na wysokości około metra od podłogi czerniły się dwa otwory okopcone sadzą, na dole, spomiędzy gruzu sterczały zrujnowane ruszty.

- Kominek! Rozebrali kominek - zawołał Rafał. - po co? Ja się pytam: po co? Szabrownicy tego chyba nie zrobili!

Blżej środka pokoju leżały równo poukładane cegły, kafle, majolikowe płyty i potłuczone ozdoby marmurowe, tworzące gzyms kominka. Szaroczerwony pył pokrywał podłogę. W warstwie tego pyłu doskonale były widoczne ślady obuwia ludzi, którzy pracowali przy rozbiórce kominka. Rafał przyglądał się tym śladom uważnie. Były pogmatwane, przydeptywały jedne drugie, ale znajdowały się także pojedyncze, wyraźne jak odbitki z kalkomanii. Tyle, że nie kolorowe.

Rafał wyciągnął z kieszeni sznurek i skrupulatnie odmierzał długość i szerokość poszczególnych śladów, z których zidentyfikował trzy różne odciski. Na odcinkach sznurka pozawiazywał supełki oznaczające wymiary śladów.

Tarlówko nie pojmował próżnej jego zdaniem roboty. - Po co pan to robi? Na co to potrzebne? Przecież to beznadziejne!

Rafał podniósł się z klęczek. Rozejrzył się po pokoju.

- Przypuszczam, że jutro nie zastałbym tych śladów - odrzekł. - A nigdy nie wiadomo, co może stać się potrzebne.

Tarlówko po gospodarsku otrzepywał kurz z obszernego, wygodnego fotela.

- Muszę go wynieść i wyczyścić. Porządny fotel. W takim gmachu, panie szanowny, to i wypaść się można.

Gdyby nie barbarzyńsko rozebrany kominek, to pokój ten najbardziej nadawałby się do zamieszkania. Pokryte grubą warstwą pyłu sprzęty były całe, nawet żarówki w żyrandolu były wszystkie i nie potłuczone. Rafał podszedł do ściany i przekreślił kontakt. Żyrandol rozbłysnął mocnym światłem.

- No cóż, nawet i światło elektryczne ma pan w domu. Wszystkie wygodny. Żyć, nie umierać!

Tarlówko wyprostował się, objął spojrzeniem pokój i skrzywił pogardliwie wargi.

- Ha, jakoś się tu urządzą. Teraz muszę jeszcze iść po moją walizkę. Zostawiłem ją na kolonii u jakiegoś Niemca.

Wyszli razem. Tarłówko z namaszczeniem zamykał drzwi frontowe, potrząsając pękiem kluczy. Sprawiało mu to widoczną satysfakcję.

Rafał doszedł do szosy i tu zauważył, że ścieżka, którą szedł, nie kończy się, lecz przecinając drogę biegnie dalej, prosto w kierunku leśniczówki. Ucieszył się, że skróci sobie drogę, gdyż potłuczona noga zaczynała przypominać o sobie.

Muszę koniecznie zrobić sobie okład w domu. - Zatrzymał się i troskliwie obmacał kolano. - Puchnie, zdaje się. Za daleką zrobiłem tę przechadzkę i sforsowałem, nogę.

Opodal ścieżki pracowała przy wyrębie grupa robotników. Leśniczówka była już niedaleko. Lasem niesło się basowe poszczekiwanie Kinga, zupełnie bliskie. Rafał skręcił nieco ze ścieżki i niepostrzeżenie podszedł do zajętych pracą drwali. Przysiadł na niskim pniu po ściętej jodle i przyglądając się robocie, odpoczywał.

Naraz jeden z drwali, stojący tuż za drzewem, które dwaj inni podcinali piłą, krzyknął krótko i przeraźliwie.

Ogromny, przepiłowany prawie całkowicie świerk, bez szumu i trzasku, jaki zwykle przy tym powstaje, pochylił się i leciał gwałtownie ku ziemi. Robotnik krzyknąwszy uskokzył z drogi walącego się pnia. Drzewo ciężko, jakby z jękiem, padło na ziemię.

Rafał podszedł do grupki drwali, stojących jeszcze w osłupieniu nad zwalonym pniem. Ten, którego omal nie przygniółł padający świerk, trzymał się rękami za skronie, jak był się chwycił w pierwszym momencie przestraszu.

- O Herr Gott! O Herr Gott! - powtarzał bezmyślnie.

Rafał przyjrzał mu się uważnie. Był to ten sam, z którym na podwórzu leśniczówki rozmawiał Tarłówko.

- Dlaczego jesteś taki nieostrożny?

Odwrócili się ku niemu, jak na komendę. Wszyscy byli nieco wystraszeni.

- Dlaczego jesteś taki nieostrożny? - powtórzył Rafał pytanie.

Niemiec odjął ręce od skroni. Wyprostował się, jakby stawał na baczność.

- Nie... nie wiedziałem, że drzewo jest już tak daleko podpiłowane. Nie przypuszczałem, że runie tak prędko. Ja...

- No, już dobrze. Szczęście, że cię nie przygniotło. Sam byłbyś winien wypadkowi.

- Tak jest, panie. - Stał z opuszczonymi ku ziemi oczami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gruba opona chmur zwieszała się nad pogrążonym w głębokim mroku miastem. Miastem nie-miastem. Nad czymś, co kiedyś było gwarnym, ruchliwym skupiskiem ludzkim, a dziś martwymi gruzami zalegało całe kilometry kwadratowe dawnych dzielnic mieszkalnych i zakładów przemysłowych. Jedynie nad śródmieściem jaśniała błada łuna rzadkich świateł, ale tutaj, do odległego przedmieścia, nie przedostawał się najmniejszy

nawet ich promień. Na tle ciemnego nieba - księżyc wprawdzie dochodził już pełni, lecz chmury, gęste, deszczowe, nie przepuszczały jego światła - czerniły się nieforemnymi bryłami kikuty na pół obalonych kominów, fragmenty ścian znaczone prostokątami okiennych dziur, widnych na przestrzał.

Godzina nie była jeszcze późna. W śródmieściu ludzie, wychodzili z kin po ostatnim seansie, błyszczały okna restauracji i kawiarni. Tutaj zaś cisza już była zupełna. Z rzadka wśród tych ruin i gruzów trafiały się częściowo nie zburzone domy. W tych ocalałych resztkach gnieździł się ludzie, ale ci o tej porze przebywali już w mieszkaniach za dobrze zamkniętymi drzwiami. Odbywanie wieczornych spacerów nie było bezpieczne. Straszły tu jeszcze strzały, nie wiadomo przez kogo i do kogo wymierzone, czasem krótką serią zachłysnął się automat milicyjnego patrolu, gdy wezwany do zatrzymania się podejrzany typ zniknął w zakamarkach ruin.

Na skrzyżowaniu ulic, pod ścianą częściowo zburzonego domu pojawiły się dwie sylwetki ludzkie. Dwa cienie, jakby sama zgęszczona ciemność, skręciły za róg domu i zatrzymały się, czujnie nasłuchując. Dobiegł ich uszu odległy tupot kroków kilku ludzi.

- Przejdziemy?

- Nie, to jeszcze dość daleko. Mogliby nas zauważyć.

- Wracajmy!

Ale i zawrócić już było za późno. Za nimi także słyhać było liczne i głośne kroki i rozmowę, choć słów nie można było jeszcze rozróżnić.

Cienie wahały się krótką chwilę, lecz w końcu niższy pociągnął za ramię wyższego. Weszli we wnękę bramy zasypanej gruzem, uprzątniętym z ulicy. Wyższy zaklął półgłosem, gdy spod nóg osunęły im się cegły i z hałasem stoczyły się na dół. Przyłgnęli do ściany w jakimś zagłębieniu.

- Kto idzie?

Okrzyknęli się wzajemnie: polski patrol milicyjny i radziecki patrol wojskowy. Przystanęli na skrzyżowaniu, zapalili papierosy i pogadali chwilę. Ogniki papierosów rozżarzyły się i przygasły, wreszcie patrole rozeszły się każdy w swoją stronę. Dwa zgęszczone kłębki ciemności wynurzyły się z wypalonej bramy. Odgłosy ciężkich podkutych butów zacięły już w oddaleniu.

- Idziemy. Teraz już spokój do rana. Chyba żeby się coś wydarzyło nadzwyczajnego.

- Jesteście spóźnieni - syknął wyższy.

- Wszystko jedno. I tak wyjść nie mogą. Muszą czekać do rana.

Zarówno ta, jak i poprzednia rozmowa toczyła się po niemiecku. Skręcili w wąską uliczkę, gdzie tylko ścieżyna prowadziła między ruinami i zwałami gruzów. Niższy, idący na przedzie, posuwał się z pewnością człowieka znającego teren, wyższy potykał się co chwila i klął cicho a dosadnie. Naraz przystanął i rozejrzał się dokoła.

- Gdzie my jesteśmy?

Idący na przedzie zatrzymał się i wymienił dzielnicę i ulicę.

- *Ach, Mensch!!* To tutaj gdzieś rozwaliliśmy tę świnię, Geberta, razem z jego pieską załogą. Wywiesili białą płachtę.

Nagle gdzieś z boku, ale z niemal dotykanej bliskości dobiegł ich ostry rozkazujący głos:

- *Hak!*

Zatrzymali się natychmiast, jakby wrosli w ziemię. Idący na przedzie powiedział szeptem parę słów. Wówczas obok nich bezszelestnie pojawił się trzeci cień.

- Chodźcie za mną.

Po kilkudziesięciu krokach skręcili na prawo, w jakąś bramę przy ułamku ściany, rysującej się samotnie na tle zaczynającego się trochę rozjaśniać nieba. Widocznie gruba warstwa chmur przecierała się i rzedła. Brama miała zachowane sklepienie, pod którym głucho zadźwięczały kroki idących. Błysk jaskrawego światła ręcznej latarki oświetlił wejście do czegoś na kształt niskiego i wąskiego korytarza. Wchodząc pochyłili się mocno i zgarbieni przeszli kilkanaście metrów, aż znaleźli się na jakimś podwórzu, otoczonym ze wszystkich stron resztkami ścian, sięgającymi do wysokości drugiego piętra. Przewodnik wprowadził ich do sieni, w końcu której znajdowały się mocne, obite grubą blachą drzwi. Było to zapewne wejście do jakiegoś dawnego magazynu kupieckiego.

- Tam ta-ta-tam! Tam ta-ta-tam! - wystukiwał przewodnik fragment jakiegoś rytmu. Po trzykrotnym powtórzeniu tego stukania za drzwiami zaszurzały powolne kroki.

- Kto tam? - Kobięcy starczy głos z trudem przeniknął grube drzwi.

- Twój syn, mamó.

Bez najmniejszego szmeru drzwi uchyliły się natychmiast. Wysoka, koścista starucha usunęła się w milczeniu z przejścia, po czym znów zaryglowała drzwi. Odwróciła się i badawczo przyjrzała się każdemu z przybyłych.

- Są już wszyscy?

- Jest dużo, ale nie wiem, czy wszyscy. Do mnie należy wpuścić, a nie obliczać i dopytywać się, czy są wszyscy. - Starucha miała nieprzyjemny skrzeczący głos i świdrujące, nieufne spojrzenie.

Jeden z nich, tęgi, wysoki mężczyzna w czarnym ceratowym płaszczu, o twarzy czerwonej, jakby obrzęklej, rozejrzał się po izbie, dużej, sklepionej, oświetlonej wysoko zawieszoną żarówką. W głębokich niszach kryły się małe okienka, zamknięte teraz na glucho okiennicami, okutymi grubym żelazem.

- Dobrze wybrane miejsce - powiedział z uznaniem. - Można by się tu bronić jak w bunkrze.

Jego towarzysz, szczupły, średniego wzrostu, z zawieszistymi, polskimi wąsami, omal nie podskoczył, uradowany z pochwały.

- Panie pułkowniku! Tu jest o tyle lepiej, że w sąsiedniej izbie jest zejście do piwnic, które łączą się z kanałami, a stamtąd - do Odry!

W następnej izbie, do której przeszli, równie obszernej i mocno sklepionej jak pierwsza, siedziało przy dużym stole kilkunastu mężczyzn. Na widok wchodzących zerwali się z miejsc. Odpowiadając na gest przybyłych, wyrzucili prawe ręce do góry.

Gdy usiedli, jeden z przybyłych, ten z polskimi wąsami, zagaił:

- *Kamerader!* Na dzisiejszą odprawę przybył z Drezna via Berlin pan pułkownik X. Już to samo nadaje jej niecodzienną wagę. A poza tym pan pułkownik przywozi nowe instrukcje i rozkazy. Dlatego zebraliśmy się tui wszyscy - rozejrzał się uważnie - no, prawie wszyscy, którzy reprezentujemy niemieckie organizacje podziemne, działające na tym terenie. Odszukaliśmy nawet takich, którzy nie mając szerszych kontaktów, skupili wokół siebie grupę ludzi i na własną rękę prowadzili akcję przeciwko wrogowi. Na obszarze okupowanym przez Polaków działa kilkanaście organizacji, których komendantów wezwaliśmy na dzisiejszą odprawę. Chociaż reprezentujemy różne organizacje - dążymy do jednego celu, ożywia nas wierność zasadom fuchrera i służbie dla Rzeszy. Od dnia dzisiejszego poddani zostajemy jednolitemu dowództwu, tworząc jedną organizację, formalnie pozostając pod różnymi nazwami. Zasady i wytyczne dalszej naszej działalności zreferuje pan pułkownik.

Człowiek w ceratowym płaszczu obrzucił wszystkich uważnym oleistym spojrzeniem spod ciężkich, jakby z trudem odmykających się powiek.

- Przełamaliśmy zasadę konspiracji, aby jak najmniej członków organizacji znało się między sobą, ale okazało się to konieczne. Zresztą i tak od dziś tworzyć będziecie sztab połączonych organizacji. Jakie organizacje są obecne? Kto je reprezentuje? Podawać funkcje.

Zrywali się pojedynczo, jakby podrzucani sprężyną.

- *Wehrwolf*...

- *Freies Deutschland*...

- *Green Cross*.

- Ring...

- Meililien...

... jedenastu komendantów lub ich zastępców jedenaście organizacji meldowało kolejno gotowość do nowych przestępstw i zbrodni.

Pułkownik X przeszedł do swego referatu. Mówił krótko, po żołniersku. Słuchaczom serca rosły, piersi rozdymały się nadzieją. Już niedługo, już wkrótce znowu maszerować będą w zwartych kolumnach pod krwawymi *fahnami* z drapieżnym krzyżem.

Pułkownik mówił i o tym, że Niemiec nie potrzebuje myśleć. Za niego myśli i decyduje dowództwo. Fuhrer już w początkach roku 1943 przewidział wszystko i właściwym ludziom zlecił przygotowanie odpowiednich kadr i środków materialnych do wykonania dzisiejszych zadań, do wskrzeszenia potęgi Rzeszy.

- W pierwszych miesiącach po wojnie działalność podziemnych organizacji była chaotyczna, bezplanowa, co zrozumiałe było przy ówczesnym stanie zupełnego rozprzężenia. Dzisiaj organizacje okrzepliły, akcje ich są uzgadniane. A co najważniejsze, mają względną swobodę działania. W angielskiej i amerykańskiej strefie władze okupacyjne wykazują dość tolerancyjny stosunek do naszych dążeń na wschodzie. W ogóle wydarzenia idą w kierunku genialnie przewidzianym przez feuhrera. Niedawni nasi zachodni wrogowie będą najwierniejszymi sojusznikami. W skłóconej Europie zechcą zaprowadzać swój ład, racją życia kapitalizmu będzie okiełznać parcie Sowietów na zachód, niszczyć z korzeniem ich idee - wówczas muszą się na nas oprzeć. A my wtedy podyktujemy swoje warunki. Ale żeby to uczynić, musimy stać się realną siłą. Jednym ze składników naszej siły są nasze organizacje tu, na wschodzie - jesteście wy.

Pułkownik wstał i założywszy ręce do tyłu mówił chodząc. Zebrani wodzili za nim oczami z pokorą i oddaniem.

- Musimy się spieszyć. *Dieses verfluchte polnische Vieh** Przeklęte polskie bydło. coraz lepiej się tutaj usadawia i gospodaruje. Co dzień więcej węgla wydobywają, co dzień więcej wagonów biegnie po torach, każdego dnia przybywa uprawnych zagonów. A konferencja pokojowa się zbliża. Naszym zadaniem jest pokazać światu zachodniemu, że Polacy tych ziem nie zagospodarują, że pod ich rządami będzie tu wiecznie bałagan. Anglikom, Francuzom, Amerykanom i całemu światu, który zna i ceni pracę i jej wytwory, nie trafią do przekonania mrzonki patriotyczne ani rzekomo historyczne, te ich tam przedawnione wiekowe pretensje... Jedna uruchomiona fabryka, jedna produkująca kopalnia czy odbudowany most więcej dla zachodu znaczy niż przelana krew setek ludzi, niż cierpienia tysiąca... Dlatego musimy

uniemożliwić Polakom odbudowę, sabotować pracę, hamować produkcję, niszczyć komunikację. I musimy to już robić!

Wiem z waszych sprawozdań, że staraliście się przeprowadzać pewne akcje, niektóre zakrojone nawet na dużą skalę, jak na przykład: zniszczenie cegielni w Bunzlau*,^{*} Bolesławiec. zaminowanie mostu na drodze strategicznej do Görlitz, sabotaże w kopalniach, aby uniemożliwić wywóz naszego węgla do Sowietów. To akcje dobre i potrzebne, ale okupione nieproporcjonalnie wielkimi ofiarami. Wynika to stąd, że akcje nie były dość starannie przemyślane.

Już najbliższe rozkazy i instrukcje, jakie otrzymacie, oparte będą na konkretnym, ściśle obliczonym planie.

Pułkownik usiadł. Chwilę naradzał się szeptem z człowiekiem o sumiastych wąsach, po czym przeszedł do pierwszej izby. Gdy wrócił, odprawa potoczyła się dalej. Powietrze stało się ciężkie i gęste od dymu cygar i fajek.

Krótką czerwcowa noc miała się ku końcowi. Niebo na wschodzie jęło mżyć opałowymi blaskami świtu. W pierwszej izbie, gdzie starucha zgasła światło, aby w krótkiej starczej drzemce przymknąć zmęczone powieki, pod nieszczelnie domkniętą okiennicą przeciskał się brzask dzienny. Naraz zbudził ją rumor odsuwanych krzeseł. Drgnęła przestraszona, zerwała się z wąskiej kanapki, gdzie była przysiadła, i nie wiedziała w pierwszej chwili, gdzie biec, co robić. Ale wnet pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech, cała postać wyprostowała się mimo woli. Tak dawno nie słyszała tych okrzyków...

- *Sieg heill** Niech żyje zwycięstwo!

- *Sieg beil!*

Odprawa była zakończona.

Ledwo starucha zdążyła podejść do kontaktu i zapalić światło, gdy drzwi sąsiedniej izby uchyliły się i wyjrzała z nich pocziwa słowiańska gęba ozdobiona zawieszistymi wąsami.

Nachtmann miał najbliżej do domu. Mógł dojść do rodzinnych pieleszy nie zwracając niczyjej uwagi, nie narażając się zbytnio.

W kilka chwil po jego wyjściu ktoś w umówiony sposób zakołatał w drzwi. Był to młokos, postawiony na warcie w bramie. Gwałtownie odsunął staruchę z przejścia i wpadł do drugiej izby.

- Milicja i paru cywili tu idzie! Skręcili zza rogu! Nachtmann jest z nimi. - Chłopak był błydy ze strachu i przerażonymi oczami uczepił się twarzy pułkownika, jakby u niego spodziewał się ratunku.

Ten zaś potoczył wzrokiem po wszystkich dokoła i zatrzymał spojrzenie na wąsatym.

- Co? Zdradził, pies!

Starucha wsadziła głowę w szczelinę uchylonych drzwi.

- Skręcili w bramę! Uciekajcie do piwnicy! Wąsaty skoczył do pierwszej izby, za nim - nikt by nie posądził go o takie tygrysie ruchy, patrząc na jego tuszę - jednym susem znalazł się tam pułkownik. Chwycił wąsatego za kołnierz.

- Gdzie?! Gdzie uciekasz? Tu zdechniemy! Razem. Sam nie pójdziesz.

Tamten zacharczał niewyraźnie:

- Drzwi!

Dusił się, twarz napłynęła mu krwią. Rękami dawał znaki, że trzeba zamknąć drzwi. Starucha podeszła spokojnie, przekręciła dwukrotnie klucz i wyjęła go z zamka. Zasunęła jeszcze rygiel u dołu. Potem zaczęła słać łóżko do spania. Wąsaty, wypuszczony z uchwytu pułkownikowskich łap, odetchnął głęboko raz i drugi, po czym, prostując się na baczność, powiedział:

- Ja tylko drzwi chciałem... Zanim otworzą, my już będziemy w piwnicach.

Stół znad otworu piwnicznego był już odsunięty, młokos, który ich zaalarmował, mocował się z pokrywą, zakrywającą zejście. Pułkownik roztrącił stojących nad otworem, chłopaka, który już stawiał nogę na pierwszym stopniu drabinki, odrzucił na bok i pierwszy zaczął schodzić w głąb. Chłopak, śmiertelnie przestraszony, myśląc, że to już milicja chwytą go za kark, kwiknął przeraźliwie jak zarzynane prosię i siadłszy na podłodze, zaczął płakać. Na krzyk chłopaka do pokoju wpadła starucha, spojrzała na tłoczących się przy zejściu mężczyzn, spychających się niemal z drabinki, deptających po rękach i po głowach tym, którzy schodzą pierwsi, i podeszła do płaczącego.

- Spokojnie, spokojnie - powtórzyła, kładąc mu rękę na głowic. - Ty zejdziesz ostatni, ty tu jesteś gospodarz.

Potem zamknęła za schodzącym klapę, nakryła ją podartym dywanikiem i nasunęła ciężki stół. Odryglowała okiennice i otworzyła szeroko okienka. Mieszkanie przybrało wygląd całkiem zwyczajny i gdyby nie ciężki smród dymu z wypalonych fajek i cygar...

*

W absolutnej ciemności kłębili się jak podrażnione robactwo, wpadali na siebie, jedni klnąc półgłosem, drudzy w ponurym milczeniu. Wąsaty przypomniał sobie, że ma latarkę. Krąg blasku padł na cementową podłogę i przemknął po ceglanych ścianach, po silnie sklepionym suficie i zatrzymał się na twarzach i postaciach przed chwilą tak jeszcze butnych i pewnych siebie spiskowców. Teraz te twarze wyrażały wszystko oprócz spokoju i opanowania.

- Kto z was ma broń?

Przycichły na chwilę nieartykułowane pomruki, ale nikt nie odpowiadał.

- Kto z was ma broń? - powtórzył za pułkownikiem wąsaty.

- Ja - półszepem powiedział młokos. - Ja mam. Jeden pistolet...

- Dawaj - wąsaty wyciągnął rękę.

- Nie... ja mam schowany. Tutaj, w piwnicy.

- Dawaj! Prędko! - zasyczał pułkownik. Chłopak skoczył w róg piwnicy, gdzie zwalone były jakieś rupiecie. Pochylił się nad nimi, gdy w tej samej chwili ktoś, podbiegłszy, szarpnął go za ramię i odciągnął na bok.

- Zostaw, zostaw! Nie wyciągaj...

Pułkownik skoczył ku nim. W blasku latarki jego cień załamał się na ścianie i zawisł nad tamtymi dwoma cieniami, a jednocześnie uzbrojona ręka wysunęła się w ich stronę. Krąg blasku przesunął się nieco i na chropawej ścianie pozostał tylko cień dwu postaci i ręki zaciskającej w palcach Parabellum.

- Och, panie pułkowniku! - zaskomlił ten, który odciągnął chłopaka. - Bez broni, ja mówię, tylko bez broni... I ten pana pułkownika pistolet trzeba gdzieś tu schować. Jak przyjdą tamci - wskazał palcem do góry - to powiemy, że zebraliśmy się na karty i tylko ze strachu przed władzą schowaliśmy się do piwnicy.

- Ty przekłety tchórze!

W gromadce stojącej pośrodku odezwały się głosy aprobaty.

- Mam przy sobie, o! - wyciągnął z kieszeni dwie talie zniszczonych kart do gry. - Graliśmy sobie spokojnie przez całą noc.

- Dawaj ten twój pistolet, prędko! - przynaglił pułkownik młokosa.

- On ma rację - odezwał się ktoś w gromadzie. - Czym się bronić? Tymi dwiema pukawkami? Przecież nas tu wyduszą jak szczurów.

- Ach, wy!... - czerwona, apoplektyczna twarz pułkownika wykrzywiła się grymasem wściekłości. Wąsaty wyskoczył pomiędzy zgrupowanych pośrodku piwnicy ludzi. Stanąwszy przy pułkowniku skierował na nich snop światła.

- Tu jest wyjście kanałami do Odry. Przejdziemy. My z bronią będziemy osłaniać odwrót.

Uspokoili się, tylko oczy wszystkich rozbiegały się, poszukując wyjścia z piwnicy. Chłopak tymczasem odrzucił spod ściany parę rupieci i uklękawszy podważył dwie najniższe cegły, wyjął je ze ściany i zanurzył ramię aż po bark. Wyciągnął pęk tłustych szmat

i ze środka tobołka wyłuskał doskonale zakonserwowany pistolet i woreczek zawierający ze sto sztuk amunicji. Wąsaty odebrał to od niego.

- Prowadź teraz do kanału.

Przeszli dwie, równic puste jak pierwsza, piwnice i wyszli na długi korytarz, mający po obu stronach gęsto rozmieszczone drzwi. Za jednymi z tych drzwi była piwniczka, więcej niż do połowy wysokości zasypana gruzem. Widocznie dom trafiony był bombą i od strychu do fundamentów zburzony. Ale nad piwnicą były zwalone mury, bo ani promyk światła nie wydobywał się z ciemnej głębi otworu.

Stanęli bezradnie na małej przestrzeni nie zasypanej gruzem. Naraz ze strony, skąd przyszli, doleciał ich jakiś odgłos. Spojrzeli po sobie.

- Idziemy - rzekł wąsaty i jał wspinać się po osypujących się spod stóp odłamkach. Za nim, nie wiadomo kiedy, wdrapał się młokos. Pod sufitem piwnicy trzeba się było przeczołgać. Po chwili z drugiej strony rumowiska zwrócone zostało ku pozostałym światło latarki. Ruszył za nim pułkownik, sapiąc i pomrukując. Gruz osypywał się pod nim z hałasem. Reszta cisnęła się za nim, bezładnie a zapamiętałe wdrapując się na zwalisko, przeszkadzając sobie wzajemnie w wąskim przejściu.

Przeszli jeszcze jeden korytarzyk, jakieś drzwi, za którymi wąsaty zatrzymał się, oświetlając dużą dziurę, wybitą w ceglanej podłodze. Pochyleni nad otworem patrzyli na czarną i zdawało się gęstą jak smoła wodę, leniwie płynącą kanałem. Ziało stamtąd fetorem zgnilizny i rozkładu. Zbutwiałe jakieś strzępy pływały na marszczącej się drobnymi falami powierzchni. W ciemnej głębi martwo odbijało się żółte światło latarki.

Wąsaty za kręgiem mężczyzn stojących nad kanałem odnalazł młokosa. Podszedł do niego.

- Masz tutaj pistolet - powiedział. - Ja pójdę pierwszy, bo znam przejście. W razie gdyby tamci nadeszli - strzelaj. Musisz nas osłaniać... Gdy wszyscy przejdziemy, zawołamy na ciebie. Dopiero wtedy schodź, nie wcześniej. Stań tam, przy drzwiach, będziesz miał małe pole do obstrzału.

Gdy chłopak wykonał polecenie, wąsaty usiadł na krawędzi kanału, opuścił nogi i z cichym pluskiem zsunął się w wodę. Zanurzył się do pasa.

- Tu jest jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów do głównego kanału. Ja będę stamtąd świecił. Kierujcie się na światło.

Pochylił się i trzymając ręce wyciągnięte przed siebie, a twarz tuż nad powierzchnią cuchnącej wody, szedł pierwszy, a za nim gęsto, następując sobie na pięty, tłoczyli się inni. Zmącona woda buchnęła przeraźliwym smrodem.

Naraz chłopak, zostawiony przy drzwiach, zawołał zduszonym szeptem:

- Cicho! Już idą! Babkę prowadzą ze sobą. Słyszałem, jak kaszle i coś woła. Cicho!...

Pułkownik, który dotychczas pozostawał na górze, skoczył teraz równymi nogami do wody. Za mało się pochylił i uderzył ciemieniem o brzeg sklepienia.

- *Donnerrr*!...* * Tu: cholera.

- Cicho! Babka coś woła!

Odpowiedziały mu dwa pospieszne, jeden za drugim, pluski. Dwóch pozostałych skoczyło prawie jednocześnie, spadając na pochylone plecy pułkownika. Ten nie wytrzymał ciężaru i zwałił się w smrodliwą ciecz, która zalała mu oczy i otwarte do krzyku usta.

Młokosowi przyszło na myśl, że przecież babka nie nawoływałaby pogłosem, idąc z milicją. Owszem, krzyczałaby wtedy jak najgłośniej. Omackiem podsunął się aż piwnicy zasypanej gruzem. Po drugiej stronie zwaliska stała babka. Usłyszał najwyraźniej jej głos:

- *Karl, Karl! Keine Angst... Ich bin allein**.* ** Nie bój się... Jestem sama (niem).

Sprawa wyjaśniła się. Nachtmanna zabrali ze sobą funkcjonariusze PUR i milicji, idący wysiedlać sąsiadów. Tłumaczył się, że wyszedł trochę drzewa na opał z ruin wyciągnąć. Chcieli, żeby im wskazał adresy.

Wracali ociekający wodą, cuchnący...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O słup podtrzymujący werandę stał oparty nowiutki motocykl, a na werandzie w Rafałowym bujaku kołysał się z miną wielce zadowoloną komendant posterunku milicji.

- Widzi pan, jaką maszynę zdobyłem?! - zawołał wskazując na motocykl. - No, jak mi w komendzie nie przyznają, tylko będą chcieli zabrać dla siebie, to jak mi zdrowie miłe, zrzeknę się służby. Nie będę się tłuł rowerem. Panie! co za maszyna! A chodzi jak panna! Zresztą nie po to przyjechałem, aby się pochwalić, chociaż jest czym. Przyjechałem w całkiem innej sprawie, co prawda łączącej się z tą. Znaleźliśmy dzisiaj rano linę, o którą pan mało nie pozbawił się życia. Leżała pod szopą opuszczonej zagrody gajowego, o jakieś pół kilometra od miejsca pańskiego wypadku. W zagrodzie ukrywał się jakiś człowiek, szabrownik, przemytnik, diabli wiedzą co. Może jeszcze co gorszego... Aresztowaliśmy go. Przyznał się na razie do szabrowania. Tę linę to, powiada, zastał już na podwórzu i sam zaniósł pod szopę.

Komendant urwał i popatrzył na Rafała, jakby zastanawiał się nad czymś. Wreszcie zdecydował się i pochyłony konfidencjonalnie zwierzał się ze swych zamysłów.

- Przycisnęliśmy go troszkę i puścił farbę. Klaruje się powoli zagadka tych zdarzeń, jakie tu zachodziły. Wie pan co? - zniżył głos do poufalego szeptu - wie pan co? Tu gdzieś na

terenie leśniczówki albo nawet samego domu musi być ukryty skarb. I to duży skarb! Parę osób wie o tym i dlatego chce was stąd wykurzyć. Wszystkie te strachy, jakie się tu działy, i ten zamach na pana, ten ze strzelaniem i ten z liną - wszystko to po to, aby was wystraszyć. Żebyście na pewien czas wynieśli się z leśniczówki. I w związku z tym mam pewien plan...

- Bardzo jestem ciekawy - Rafał całą postacią zmanifestował zainteresowanie.

- Chciałbym, aby pan pomógł mi przekonać inżyniera. Musicie panowie udać, że zgadzacie się na propozycje tej bandy. O! bo to musi być cała zorganizowana banda! Wyprowadzicie się na parę dni do wsi, a my weźmiemy leśniczówkę pod ścisłą obserwację. I wtedy całą tę ich paczkę nakryjemy. A gra musi być warta świeczki, skoro oni tyle energii i ryzyka w nią wkładają.

- Niewątpliwie tak - przyświadczył Żychoń - ale oni przecież proponowali to już Gruzie, nawet za wynagrodzeniem, a on się nie zgodził. I dlatego widzę pewne trudności w pańskim planie...

- Jakże? Plan jest prosty.

- Genialnie prosty. Ale, widzi pan, i tamci to przewidzą. Czy sądzi pan, że obserwacja leśniczówki przez was będzie dla nich niedostrzegalna? Poza tym domyślają się chyba, że pan o wszystkim wie, i będą wyjątkowo ostrożni, jeśli nic zaniechają w ogóle działania.

- Biorę to pod uwagę. Ale bardziej liczę na to, że ich chciwość poniesie, a obserwacja będzie niedostrzegalna. Mamy swoje sposoby...

- Poczekajmy na Gruzę.

- Ano, musimy. Przyjechałem, bo nie chciałem o tym mówić przez telefon. No i o tym aresztowanym szabrowniku chciałem wam powiedzieć.

- Komendancie! - Rafał wyciągnął papierosy i poczęstował rozmówcę. - A co z tym „moim” listem? Dowiedział się pan, co to mogło mniej więcej być? Mnie on zaciekał ogromnie. Takich listów nic pisze się na wiatr, ot tak sobie. Nawet zastanawiałem się, czy ten list nie ma jakiego związku z wypadkami, jakie tu się ostatnio wydarzyły.

- Według mnie - zawahał się komendant - to całkiem inna sprawa. List dotyczył spraw prywatnych, a ta „freblówka”, to jak mi powiedzieli, mogła być jakaś szkoła dywersyjna, których hitlerowcy na terenie Dolnego Śląska natworzyli mnóstwo pod koniec czterdziestego trzeciego roku. W każdym razie list poszedł do Wrocławia. Tam jest specjalny wydział interesujący się tymi sprawami.

Było już około godziny czwartej, gdy przyjechał Gruza. Komendant wyłuszczył mu swój projekt.

- Ach, ja mam tak wszystkiego dosyć, że chętnie godzę się na pański plan. Wyjadę, gdzie pan chce, gdzie pan każe, zostawiając tę budę na opatrności boskiej i waszej. Może wreszcie dadzą mi spokój...

- A co - zaniepokoił się komendant - znów coś wydarzyło się panu?

- Nie, od wypadku Żychonia nic się nie wydarzyło, ale ja nie mam już nerwów na oczekiwanie nowych historii. Może te dwie doby, które spędził po wypadku we wsi pod opieką panny Topolskiej, przeszły spokojnie tylko dzięki temu, że nocowali tu pańscy ludzie?...

- A ja najbardziej obawiałem się właśnie tych dwóch dni - wtrącił Rafał. - Sądziłem, że dlatego spowodowali wypadek, aby podczas mojej nieobecności i wynikłego zamieszania przeprowadzić swoją akcję. Dlatego prosiłem, abyście przysłali tu swoich ludzi, komendancie. To poskutkowało. Nawet na czas trochę dłuższy.

- No i WOP też czuwał - dodał komendant, nie chcąc sobie i swoim podwładnym przypisywać wyłącznej zasługi. Zawsze cechowała go skromność.

- Kiedy się więc wyprowadzamy? - powrócił do tematu Gruza.

- Nie tak prędko, panie inżynierze. Musimy podniecić ich chciwość. Myślę, że ten skarb ma wielką wartość i tamci palą się, aby go jak najprędzej zdobyć. Z chwil gdy się wyprowadzicie, będą chcieli od razu to wykorzystać i... wpadną w pułapkę. Wszystko musi być przemyślane. Mur beton, że wpadną.

Bardzo zadowolony z siebie komendant przyrzekł, że ustali termin opuszczenia leśniczówki i da o tym znać, po czym prosił o odprowadzenie go do drogi. Tu wskoczył na swojego stalowego bieguna i jak Twardowski próbując podskoków, zwrotów, zademonstrował setkę zalet zdobytej maszyny.

- A wie pan, gdzie go zdobyłem? W piwnicy tego domu, gdzie aresztowaliśmy szabrownika, o którym mówiłem. Tam gdzie tę linę stalową znaleźliśmy.

Już miał się pożegnać, gdy z lasu wynurzył się na drogę Tarłówko. Z daleka kiwał się w ukłonach.

- Dzień dobry, dzień dobry panom. Widzę, że i nasza władza szanowna zawitała tutaj. Kłaniam się panu komendantowi. Tarłówko jestem. Ja tu do tych kamieniołomów skierowany zostałem.

- A, to już wiem! - zawołał komendant uśmiechając się. - Mówili mi o panu. Pan był dzisiaj na posterunku. No i jak, zdobył pan robotników? Rzadko kto chce dziś w skale robić, kiedy jest tyle lżejszej pracy!

- Pomału, pomału wszystko będzie, komendancie. Ja właśnie do pana inżyniera w tej sprawie.

- Ano, to nie przeszkadzam - rzekł komendant. Dał gazu i po chwili tylko ślady kół na miękkiej ziemi z boku asfaltu i zapach spalonej benzyny świadczyły o jego wizycie.

Tarłówko, Rafał i Gruza zawrócili ku domowi. Gdy przechodzili przez hall, zaterkotał telefon. Rafał podjął słuchawkę.

- Inżynier Gruza? Twarz mu się rozpromieniła.

- Nie, Żychoń. Dzień dobry. Śliczne rączki całuję.

- Joanna? - zapytał szeptem Gruza. Rafał skinął głową i pilnie słuchał dalej.

- Jak się pan czuje, panie Rafale?

- Doskonale już. Nawet wczoraj zrobiłem maleńką wycieczkę.

- O, skoro pan już chodzi, to mój projekt odpada... - w głosie jej zadrgały jakby nutki żalu.

- Co za projekt, wolno zapytać?

- Chciałam do panów w niedzielę na bridża się zaprosić.

- Ależ, Joasiu panno! Ja w tej chwili kładę się do łóżka i nie wyjdę aż w niedzielę na pani przyjazd.

- Nie, nie. Skoro pan już wycieczki odbywa... Nie wypada, aby młoda i niewinna panna takiego chorego odwiedzała. Co ludzie powiedzą?

- Wyszedłem tylko do ogrodu na parę chwil. Przecież lekarz zabronił mi chodzić. Prosimy panią obaj z Gruzą „mnóstwo za bardzo”. A co najważniejsze, mamy niespodziankę dla pani... - powiedział to i zaraz przypomniał sobie, że Tarłówko był dzisiaj w Starej Wsi. Na pewno odwiedził tak dawną i bliską znajomą.

- Pewnie to drzewo na ławki szkolne - ucieszyła się Joanna.

- Nie, chociaż i tamto się załatwi, jeżeli tylko pani przyjedzie. Niespodzianka jest całkiem innego rodzaju. Męskiego. Zresztą, jak pani przyjedzie, to zobaczy sama.

- Przyjadę, aby pana zamordować. Ciekawość kobiety chce pan wystawić na trzydniową próbę? To jest więcej, niż znieść może najmężniejsze kobiece serce.

- Ulżę wobec tego „najmężniejszemu” sercu. Jest tu ktoś z pani dawnych stron. Tak, tak, z tych pani ukochanych Malwinek... No, trudno, zdradzę już pani wszystko: pan Tarłówko.

Chwila milczącego zdumienia, a potem rozradowany okrzyk Joanny:

- Jerzy!? Naprawdę Jerzy? Z Barbarą jest?

- Nie wiem. Tu jest sam. To żona?

- Siostra... Panie Rafale, jeżeli on tam jest u panów, niech go pan poprosi do aparatu.

- Dobrze, powiem, ale przyjedzie pani w niedzielę na bridża?

- Jeżeli będzie Jerzy...

- O, to aż podejrzane. Ale oddaję mu słuchawkę, niech pani sam powie. Czekamy w niedzielę. Do widzenia. Panie Tarłówko - Rafał wyciągnął w jego stronę słuchawkę - panna Topolska chce z panem rozmawiać.

Tarłówko jakby z ociąganiem przystąpił do telefonu.

- Halo! Tu Tarłówko, Jerzy Tarłówko, dzień dobry pani, panno Joanno... Nie wiedziałem, czy przypomnisz sobie tak od razu... To z przeziębienia, zawsze się wtedy zmienia... W ogóle mocno się zmieniłem... Tyle przejść... Wojowałem... Tak, chciałbym na stałe... Z Barbarą?...

Rafał z powodów tylko sobie wiadomych wpatrywał się pilnie w twarz gościa. Zdawało mu się, że Tarłówko zdziwił się i zawahał na moment.

- Nie, nie wiem, co się dzieje z Barbarą. Pisała, kiedy jeszcze na froncie byłem... Później leżałem w szpitalu i straciłem z nią kontakt. Dobrze, w niedzielę będę u pana inżyniera Gruzy... Wykluczone, mam bardzo dużo roboty... Nie będę mógł, naprawdę... Do widzenia.

Odwiślał wreszcie słuchawkę jakby z uczuciem ulgi.

- Nie do wiary, jak kobiety potrafią długo rozmawiać przez telefon. Ja rozmowę telefoniczną traktuję jak depeszę. Im mniej słów, tym lepiej. No, i tak się złożyło, że będę u panów w niedzielę na bridżu. Cieszę się zresztą z tego, bo tu człowiek czuje się taki samotny, dopóki nie wrośnie trochę w miejscowe stosunki. I z kim tu utrzymywać znajomości? Mało jeszcze ludzi w tych stronach.

- Trzeba panu było przyjechać tutaj w ubiegłym roku - zaśmiał się Gruza.

- A ja do pana inżyniera z taką sprawą - zagał Tarłówko, kiedy usiedli. - Do pracy w kamieniołomach zaangażowałem kilku ludzi w Starej Wsi. Polaków. A z kolonii robotniczej, gdzie mieszkają dawni pracownicy kamieniołomów, zgłosiło się trzech mężczyzn i kilka kobiet. A cóż ja zdziałam z kobietami w kamieniołomach? To ciężka praca, nie dla kobiet. A u pana inżyniera w lesie zatrudnionych jest kilku dawnych robotników kamieniołomów. To są fachowcy. Otóż ja dałbym panu inżynierowi te kobiety - one nadają się do lżejszych prac w lesie, do korowania, obcinania gałęzi - a wziąłbym tych fachowców do siebie.

Gruza zaoponował. On także woli pracowników - mężczyzn. Zaczęli się spierać i przekonywać wzajemnie. Rafał nie brał w tym udziału. Siedział z boku i patrząc na Tarłówkę, przetrawiał jego niedawną rozmowę z Joanną.

Joanna tak serdecznie, o, zbyt serdecznie odniosła się do wiadomości o Tarłówce, podczas gdy on wykazał dziwną rezerwę i chłód. Dlaczego? Co pomiędzy nimi było? Joanna w każdym razie pamiętała o dawnych bliskich i zażyłych stosunkach i pragnęła je zachować, on zaś był wyraźnie powściągliwy. Nawet mówił do niej z początku per pani, dopiero przypomniała mu widocznie, że są na ty. Komendant wspominał, że Tarłówko był dzisiaj rano w Starej Wsi... I nie odwiedził Joanny. A przecież wiedział, że ona tam mieszka. Co się za tym kryło?

Tarłówko ma dzisiaj około trzydziestki. Przed wojną Joanna miała piętnaście, siedemnaście lat. Czy taki podłotek nie mógł zakochać się w przystojnym (diabła on tam przystojny - ocenił Rafał. - Świński blondyn) dwudziestoparoletnim kawalerze? Może ona kocha się w nim dotychczas, a on pozostaje obojętny i wyraźnie daje jej to do zrozumienia? Jak można być obojętnym w stosunku do najpiękniejszej pod słońcem dziewczyny?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Czuby drzew różowiały, barwione przez zachodzące słońce, i stały nie poruszone najlżejszym nawet powiewem wiatru. Mrok szedł od coraz ciemniejącej ściany lasu. Nad dalekimi garbami szczytów snuły się drobne, lekkie obłoki.

Gruza, wierny swemu gospodarskiemu instynktowi porządku i ładu, zatrzymał się przy płocie i podjawszy leżący kamień przybijał nim jakąś źle trzymającą się sztachetę. Rafał obojętnie przyglądał się maszerującej z lasu gromadce drwali. Szli powoli, trzymając na ramionach piły lub siekiery. Rozmawiali ze sobą, lecz ucichli, spostrzegłszy Rafała i Gruzę. Mijali ich w milczeniu, uchylając czapek.

Rafał patrzył za nimi chwilę i już miał zawrócić ku domowi, gdy opuściwszy spojrzenie na ścieżkę drgnął, jakby ukłuty nagłym przypomnieniem. Ślad! Ten sam ślad! Postąpił dwa, trzy kroki. W gmatwaninie odcisków kilkunastu par obuwia powtarzał się najwyraźniej tamten zapamiętany kształt.

Pobiegł za oddalającym się oddziałem drwali. Wchodzili akurat do leśniczówki. Rafał stanął przy furtce.

- Stop! Stać!

Zatrzymali się zdziwieni. Ustawił ich szeregiem. Kazał wykonać w tył zwrot i zgiąć prawe nogi.

- W porządku, możecie iść do domu. Ty zostaniesz - wskazał młodego człowieka w marynarce wojskowego kroju, lecz przefarbowanej na czarno. Pójdiesz ze mną. Jesteś mi na chwilę potrzebny. Oddaj im piłę. No, a wy idźcie na kolację.

Gruza spojrział zdziwiony na robotnika postępującego obok Rafała. Pierwsze na prawo drzwi z hallu wiodły do gabinetu Gruzy. Rafał wprowadził tam swojego jeńca. W pokoju panował już nocny półmrok i zacierał kontury sprzętów. Rafał zapalił światło i usiadł wygodnie w fotelu za biurkiem. Niemiec tkwił nieporuszenie przy drzwiach.

Nareszcie, nareszcie coś konkretnego! Jakaś nitka, którą można pochwycić. Z plątaniny domysłów i przypuszczeń wyłania się wreszcie DOWÓD. O, już go teraz nie popuści z ręki!

- Chodź bliżej - skinął na stojącego pokornie przy drzwiach robotnika. - Stań sobie tutaj. O, tak, dobrze. Jak się nazywacie?

Oczy zagadniętego rozbiegły się niespokojnie.

- Johann Mossur.

- Co wy robicie?

- Ja? W lesie pracuję... Przy wyrębie.

- Nie teraz, dawniej co robiliście, jaki jest wasz zawód?

- W kamieniołomach pracowałem. Do samej wojny.

- Mieszkasz w pobliżu kamieniołomów? W Steindorf?

- Tak jest. Mieszkałem, teraz to tutaj...

- Taak. Twoja rodzina jeszcze jest tam?

- Jest. Ojciec i matka... I mała siostra...

- Żony nie masz? dzieci?...

Mossur przestąpił z nogi na nogę. Zgniół czapkę, trzymaną oburącz, i odpowiedział z wahaniem:

- Mam. Żonę i synka. Ale ich tu nie ma. Żona zabrała dziecko i poszła, jak się wojska cofały. Jest teraz w Reichu, w amerykańskiej okupacji.

- Służyłeś w wojsku?

- Tak... Nie... - namyślał się krótką chwilę, wreszcie wyrzucił z siebie z jakąś rozpaczliwą determinacją: - Służyłem. Służyłem, ale - zatrzymał się i przełknął głośno ślinę.

- Zdezzerterowałeś?

- Tak, panie. Szedłem spod samego Stalingradu. Aż dotąd. Ale kiedy się nasze wojska stąd cofały - zostałem w domu. Ojciec kazał i matka prosiła, żebym został... Posłuchałem ich. Na swoje nieszczęście...

Rafał milczał chwilę, jakby rozważał w pamięci to, co usłyszał od Mossura, a potem rzucił nieoczekiwane pytanie:

- Dlaczego i na czyje polecenie rozbierałeś kominek w myśliwskim dworcu barona von Stromberga?

Johann Mossur skulił się, zamrugał kilkakrotnie powiekami. Stał się podobny do schwytanego w potrzask zwierzęcia. Szeroko otwartych oczu nie mógł oderwać od ostrego, hipnotyzującego spojrzenia Rafała, który widział, że trafił dobrze.

- No!?! - przynaglił słowem i niemniej wymownym ruchem.

- Powiem. Już wszystko powiem. Ale... - z trudem przychodziło mu się zdecydować. Działy jeszcze jakieś opory, strach...

Rafał podniósł się z fotela. Wyszedł zza biurka i podszedł krok w kierunku Niemca, nie spuszczać z niego wzroku.

- Nic ci się nie stanie. Mów wszystko. Mossur załamał się. Omal nie upadł na kolana.

- Dobrze, powiem. Ale niech mnie pan obroni przed nimi. Bo się będą mścić. Wciągnęli mnie. Powiedzieli, że pojedę do żony, do dziecka... do Reichu. Zapewniali, że nie będę odpowiadał za dezercję...

- Kto?

Ale Johann Mossur już nie zważał na pytania. Jak ciężki, ładowny wóz, który ruszył z miejsca i niełatwo daje się zatrzymać. Walił przed siebie.

- Szedłem aż spod Stalingradu - powtórzył. - Cały odwrót... Ja już miałem dosyć. Kiedy przyszedłem z armią za Odrę, dostałem zwolnienie na kilka dni do domu. Akurat się ludność stąd ewakuowała. Mój ojciec i matka nie chcieli uciekać. Oni mówią po polsku. Ja też... trochę. Mnie ojciec kazał zostać. Mówił, że to już koniec i że zostaniemy tutaj, w Polsce... W Steindorf. I ja zostałem. Ale moja żona uciekła razem z wojskiem i zabrała dziecko. Ja zostałem, ale źle mi tu było... Chciałem jechać do żony, do dziecka. Tęskniłem... Z początku mogłem jechać, łatwiej było. Ale bałem się, że mnie tam aresztują, że będę odpowiadał za dezercję. Tak tu u nas mówili. I żona tak pisała...Ale dla mnie to wszystko jedno. Bo jak za dwa lata będzie wojna i nasi tu przyjdą, to mnie i tak aresztują i zastrzelą za dezercję...

Rafał nie odzywał się. Nie chciał przerywać z takim trudem - widać to było - czynionych zeznań.

- Nie mogłem powiedzieć nikomu tutaj, że chcę jechać do Reichu. Ojciec i matka starali się o papiery polskie. Chcieli tu zostać. Ojciec mówił, że my jesteśmy Polacy i że dziadek nazywał się Mazur... I ja też chciałbym zostać, gdyby tu była żona i dziecko albo żeby można ich było sprowadzić. Ale to niemożliwe... Pytałem się różnych ludzi. I jeden tutaj... sąsiad... powiedział mi, żebym im pomagał, to pojedę do Reichu i nic mi nie będzie...

Oni utworzyli taką organizację... Powiedział mi ten sąsiad, że gdy będę ich słuchał i pomagał, to nawet będę mógł z żoną i dzieckiem wrócić tutaj. Więc ja się zgodziłem... I najpierw to miałem pójść z nim i rozebrać ten kominiek... tam właśnie... u von Stromberga. Tam miały być bardzo...

Cichy metaliczny szczęk zwrócił uwagę Mossura. Spojrzał w okno i utknął, jakby udławił się następnym wyrazem, który miał wypowiedzieć. Zbladł. Twarz wykrzywił mu wyraz przerażenia. Zanim Rafał zdążył odwrócić głowę w stronę okna - padł strzał. Niegłośny, widocznie tamten strzelał z tłumikiem. Mossur skręcił się całym ciałem i powoli osunął na dywan.

Rafał uskoczył pod ścianę. Wyszarpnął z kieszeni rewolwer i pochylił się w stronę okna. Dopiero teraz zauważył, że było nie domknięte. Ale za oknem już nikogo nie było. Na werandzie zadudniły szybkie, ciężkie kroki i zaraz potem trzasnęła gwałtownie zamykana furtka. Krótco zaszczekał pies i zaraz umilkł.

- Cholera, znowu się zaczyna!

Gruza stał w progu i zdumionymi oczami wpatrywał się w leżącego nieruchomo Mossura. Postąpił dwa kroki w głąb pokoju i zatrzymał się. Puszczzone wolno skrzydło drzwi powoli i cicho zamknęło się za nim.

- Co tu? Co tu się stało? Ty strzelałeś do niego? - Powędrował oczami w ślad za spojrzeniem Rafała i dostrzegł w szybie okrągły otwór, promienisto obwiedziony strzałkami pęknięć. Domyślił się wszystkiego.

- Zajmij się nim - Żychoń wskazał ręką leżącego. - Zobacz, co z nim jest. Ja zaraz będę z powrotem.

Przebiegł hall, ostrożnie uchylił drzwi i wyjrzał. Nic. Cisza. Gęstniejący mrok nakrył obejście. Wydało mu się, że gdzieś w gospodarczych zabudowaniach skrzypnęły cicho drzwi. Rafał zeszedł ze stopni werandy i skierował się w stronę jasno oświetlonego okna pomieszczenia dla robotników, pracujących przy wyrębie. King zaszczekał znowu, ale raczej z obowiązku, żeby dać znak, że czuwa. Rafał podszedł i spuścił go z łańcucha. Pies jak szalony zaczął tańczyć i skakać wokół Rafała, a potem puścił się w dziki wyścig sam ze sobą wokół podwórza. A przecież gdyby tu ktoś obcy przebiegał, King niewątpliwie rzuciłby się w jego ślady. Choćby w tym kierunku.

Rafał podszedł do okien. Do połowy wysokości zasłonięte były zazdrostką, która nie pozwalała zajrzeć do wnętrza. Wspiął się więc na jakiś grat leżący pod oknem - skrzynię czy koryto - ale nim zajrzał do wnętrza oświetlonej izby, skrzypnęły drzwi i ktoś wyszedł stamtąd do sieni, z sieni na dwór. Chciał skręcić w prawo i natknął się na Rafała.

- Wszyscy jesteście w domu?
- Ttak... Wszyscy jesteśmy.
- Nikt z was nie wychodził teraz na dwór? Tamten milczał.
- No?... Odpowiadaj!
- Nnie wiem... Ja nie zauważyłem. Byłem w drugiej izbie.

Rafał wszedł do pomieszczenia zajmowanego przez robotników. Rozejrzał się po izbie wypełnionej ludźmi. Czterech siedziało przy stole grając w karty, dwóch stało przy kominiarce pichnąc coś w dużym saganie, z którego unosiła się para. Kilku siedziało na podłodze, zajętych jakimiś pracami; Przeliczył wszystkich. Jedenastu.

- A gdzie jeszcze jeden?

Wszyscy jak na komendę podnieśli się na nogi, usłyszawszy głos Rafała.

- Przecież brakuje jednego.
- Wszyscy jesteśmy - powiedział ten, który przyszedł razem z nim ze dworu.

Z sąsiedniej nie oświetlonej izby wyszedł ten, którego właśnie brakowało. Przecierał ręką oczy i mrużył je, jakby raziło go światło.

- To nasz starszy - objaśnił jeden z graczy.

- Jak to „starszy”?

- No tak, wybraliśmy go na starszego... Zawsze lepiej, jak jest starszy.

- Czy który z was wychodził teraz na dwór? - zwrócił się Rafał do owego starszego. Był to ten sam, z którym wczoraj rozmawiał Tarłówko. Ten sam, którego omal nie przygniotło walące się drzewo.

- Nie wiem. Położyłem się, bo źle się czuję. I zasnąłem. Ale mogę ich zapytać... Oni wiedzą.

- Nie trzeba. Już pytałem. - Żychoń powiódł spojrzeniem po otaczających go ludziach. Stali niby pokorni i obojętni. Ale szła od nich wrogość i nieprzejednana obcość. Byli oddzieleni jakby przezroczystym murem. Nie miał tutaj dłużej co robić. Nikt nie wychodził. Naturalnie żaden inaczej nie odpowie. Byli doskonale zgrani - albo też mówili prawdę. W każdym razie nie warto już było ich wypytywać.

- Szkoda, że żaden z was nie wychodził. Może zauważyłby coś. Przed chwilą...

Uczynił pauzę, a potem rzucił zniemacka:

- Strzału nie słyszeliście?

Skierowali oczy na swego starszego. Ten powoli wycedził:

- Ja spałem...

- Az was? Nikt nie słyszał?

Nie. Byli zajęci. Rozmawiali, sprzeczali się. Ostrzyli pilnikami siekiery. W takim rozgardiaszu nic nie było słycać.

- Bo przed chwilą ktoś strzelał do Mossura. I zabił go. Ten sam obrót wszystkich głów ku starszemu. Ten otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wydawszy tylko nieartykułowany gardlany dźwięk, zamilkł. Rafał jeszcze raz obwiodł spojrzeniem wszystkich i odwrócił się do wyjścia. Zatrzymały go słowa starszego, który odzyskał mowę:

- Przecież Mossur... Pan go wziął ze sobą... I zastrzelił go... ktoś?... - Na zaimek położył taki akcent zdziwienia, że głuchy usłyszałby i zrozumiał aluzję. Rafał zacisnął zęby.

- Tak, kiedy z nim rozmawiałem, ktoś strzelił przez okno z werandy. A wy nie słyszeliście strzału ani szczekania psa!

- Ja spałem... - powtórzył starszy i oblizał zeschnięte wargi. Reszta stała, jakby przyrośnięta do swoich miejsc. Żadnego ruchu, gestu ani słowa. Żychoń wyszedł zamykając za sobą hałaśliwie drzwi. Przystanął na moment pod oknem. Nic. Cisza. Jakby zupełnie nie reagowali na śmierć towarzysza. Mimo woli podziwiał ich wspaniałą tresurę. Nic, ani słówka, dopóki „starszy” się nie odezwie.

Za lasem wstawał księżyc. Miedzianoczerwona tarcza przeświecała przez korony dalekich drzew.

- Rozpoczęła się gra - mruknął do siebie Rafał. - Gra na ostre.

Gdy wszedł do hallu, Gruza wisiał przy słuchawce telefonicznej i coś cierpliwie tłumaczył. Obejrzał się usłyszawszy kroki i zaraz skończył rozmowę.

- Dzwoniłem na milicję i do szpitala. Komendant klnie, co się zmieści.

- A co z Mossurem? Myślałem, że zabity. Upadł na miejscu po strzale.

- Ciężko ranny, jak mi się zdaje. Kula przeszła na wylot klatkę piersiową. Założyłem mu opatrunek i przestał krwawić.

Przeszli do gabinetu Gruzy, gdzie leżał Mossur. Rafał zasłonił okna i podszedł do rannego. Leżał na wznak, twarz miał bladą, ściągniętą bólem i oczy zamknięte. Znać było, że jest nieprzytomny. W dywan, na którym leżał, powoli wsiąkała rozlana wielką plamą krew.

- Jak to się stało? Co było? Dlaczego do niego strzelano i kto strzelał?

- Dużo pytań! - Rafał zagłębił się w wygodny, miękki fotel. Zapalił papierosa. - Ale postaram się odpowiedzieć, na które potrafię. Mówiłem ci już o rozebranych kominku w dworku myśliwskim barona von Stromberga. I o śladach, jakie tam zastałem. Otóż spomiędzy tych śladów jedne - odciski spodów dużych wojskowych butów niemieckich - rzucały się w oczy przez to, że u obcasa prawego buta flek składał się z dwu części, pomiędzy którymi była duża ukośna szpara. Znać było, że nie fachowiec przybijał ten flek. Takie same ślady

zostawiały buty tego... Mossura. Spostrzegłem to, gdy wracali z lasu. Wziąłem go więc do pokoju i chciałem wy badać. Zanim zdążył mi cokolwiek powiedzieć - dosięgła go kula.

- To znaczy, że mógł dużo powiedzieć - mruknął Tomasz. - Ale zanim nastąpił strzał, nic się od niego nie dowiedziałeś?

- Prawie że nic. - Rafał pokrótce streścił zeznania Mossura. - Ale... słuchaj, Tomasz, ile jest tutaj, w leśniczówce, kominków?

- Kominków? Trzy. W salonie, w hallu i tutaj, w gabinecie. Ale nie rozumiem...

- Nic szkodzi. Zrozumiesz. Chodź ze mną do tego salonu. - Żychoń podniósł się z fotela i pociągnął za sobą Gruzę. Salon znajdował się po przeciwnej stronie hallu. Był to duży pokój o trzech oknach, wychodzących na ogród. Umeblowany był dostаточно i co się rzadziej zdarza, ze smakiem. Wielki angielski kominek zajmował prawie połowę ściany. Rafał obejrzał go uważnie. Ręką próbował poszczególnych partii gzymsu, kafli.

- Hm - rzekł półgłosem do siebie. - Będzie masa roboty z rozbieraniem. Chciałbym tylko, abyśmy tamtych uprzedzili.

- Z rozbieraniem? - podchwycił Gruza. - Więc ty myślisz...

- Tak, myślę! Człowieku! Przecież to jasne jak księżyc w pełni. Och, żeby ten komendant jak najprędzej przyjechał!

- Przyjedzie razem z lekarzem - zapewnił Tomasz.

Istotnie po niecałej półgodzinie oczekiwania przed bramą rozległ się natarczywy sygnał klaksonu. Zielony willys wtoczył się na podjazd leśniczówki, a za nim komendant milicji na swoim świeżo zdobytym motorze. Z willysa oprócz lekarza i sanitariusza wysiadło dwóch panów w cywilu, którzy gorliwie i drobiazgowo badali przebieg zajścia.

- Widzicie - ucieszył się komendant, gdy Rafał skończył szczegółową relację o wypadku. - Widzicie! Sprawdza się to, co mówiłem. Tu musi być ukryty jakiś skarb. Teraz już mamy nawet wskazane miejsce, gdzie jest ukryty: w jednym z tych kominków. I my go wydostaniemy. Gdzie tu są te kominki?

- Komendancie!

- Gdzie tu są kominki? - komendant przybrał urzędowy ton i postawę. Poprawił pasa, na którym wisiał ciężki pistolet.

- Są trzy... Tu, w hallu i w dawnym salonie Strombergów.

Rafał zaprowadził go do salonu i komendant aż przystanął z podziwu.

- Ale to machina, panie! Kiedy taką kamienicę rozebrać? No nic, przywiozę jutro ludzi, to migiem pójdzie. Od razu za ten się weźmiemy. Bo w tamtych na pewno skarbu nie

ma. Panie, jak mieli do wyboru taką kamienicę i tamte szafki, to wiadomo, że woleli w kamienicy schować.

- Nie tak ostro, towarzyszu, z tą rozbiórką - odezwał się jeden z przybyłych z doktorem cywilów. - Przyjdzie polecenie, to będziecie rozbierać - nie wcześniej. Do tego czasu musicie leśniczówkę odpowiednio zabezpieczyć.

- Naturalnie, wiadomo - przyświadczył komendant. - Tylko ludzi nie mam, psiakość. Ale zrobi się...

Przeszli do gabinetu, gdzie lekarz kończył właśnie opatrunek rannego. Zakładał ostatnie bandaże.

- Nic mu nie będzie - rzekł podchodząc do przygotowanej miednicy z wodą. - Dostał kulę na wysokości serca, ale że stał ukośnie do linii strzału, strzaskała mu tylko żebro w dwu miejscach i rozorała mięśnie. Wylize się niezadługo. Kula przeszła na wylot, musi tu tkwić gdzieś w ścianie. Zaraz, zaraz... - osuszając ręce ręcznikiem podszedł do miejsca, gdzie poprzednio leżał ranny. - Strzał szedł od okna, raniony stał tutaj, trochę bokiem, tak... Kula musi tam gdzieś tkwić - wskazał kominek. - O, na tej wysokości.

- Jutro ją wyjmimy - zapewnił komendant. - Nic pilnego teraz dłubać.

- Panie doktorze - odezwał się Żychoń. - Czy ten Mossur prędko będzie mógł być badany? Pan rozumie, chodzi mi jeszcze o pewne wyjaśnienia, których nie zdążył mi dać.

- Wyjaśnienia? Hm, gdyby niedługo trwały... Jutro, sądzę. O ile nie przyplącze się gorączka. Rana nic jest niebezpieczna, ale upływ krwi osłabił go mocno.

- A dzisiaj? Nie mógłby pan doprowadzić go do takiego stanu, aby mógł mówić? Niewiele... kilka pytań.

- U siebie, to znaczy na miejscu, w szpitalu, tak. Tutaj w żadnym wypadku.

- To jest niezmiernie ważna sprawa.

- Wszystko jedno. Ja jestem lekarzem i najważniejszą dla mnie sprawą jest zdrowie chorego.

- Obawiam się - Rafał mówił to jakby do siebie - obawiam się, że jutro może być za późno.

- Ech, gorączka z was, obywatelu - rzekł jeden z przybyłych cywilów. - To nie idzie tak prędko jak w sensacyjnych powieściach. Tu rzeczywiście jest jakaś zagadka w tych wszystkich wypadkach, ale jaka? W tym sęk! Trzeba mieć trochę czasu, aby wszystko przemyśleć i uderzyć we właściwym momencie.

- Żeby tylko nie przegapić tego momentu - sarknął Rafał.

Wrócił akurat drugi cywil z milicjantem. Badali obaj robotników-Niemców. Nikt z nich, naturalnie, o niczym nie wiedział. Strzału ani żadnych innych odgłosów nie słyszeli.

- No, czas już na nas. - Komendant, który rozmawiał z Gruzą, zwrócił się teraz do lekarza. - Jedziemy, panie doktorze. Tylko tego kandydata na nieboszczyka umieścimy jakoś w samochodzie. Pomożemy sanitariuszowi...

- Chwileczkę, panie komendancie! - zawołał Żychoń. - Ja dam ludzi. Są tu przecież towarzysze rannego. Ich zawołam. Zależy mi na tym, aby oni właśnie byli. A pana, doktorze, chciałbym prosić, aby pan głośno oświadczył przy wynoszących rannego ludziach, że nie przetrzyma on nocy.

- Jak to, przecież jemu nic nie będzie. Mówiłem, że rana...

- Bardzo zależy mi na tym, aby pan powiedział to, o co proszę.

- Dobrze, powiem. Ale naprawdę nie rozumiem.

- Kiedyś to panu wytłumaczę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Łatwo odnalazł ślad kuli. Tkwiła głęboko w szparze między kaflami, tworzącymi obmurowanie kominka. Rafał rozejrzał się dokoła, poszukując jakiegoś narzędzia, którym mógłby wydostać pocisk. Nic, tu nie było nic odpowiedniego. Przypomniał sobie, że na stoliczku pod telefonem widział duży stalowy cyrkiel o ostro zakończonych nóżkach. Przeszedł tedy do hallu, ale cyrkiel już na stoliku nie było. Udać się do kuchni? Musiałby przejść obok Janowej i obudzić niezmiernie czujnie śpiącą kobiecinę. Nie miał na to najmniejszej ochoty. Skąd jednak wziąć jakieś narzędzie, aby wydłubać kulę spomiędzy kafli?

Cały dom już spał. Po odjeździe lekarza i milicji zjedli pośpiesznie kolację i Gruza poszedł do swojego pokoju, mówiąc, że jest bardzo śpiący.

- Mam! Przecież w kredensie... - Rafał skręcił w mały korytarzyk, prowadzący z hallu do tej części domu, w którym znajdowała się kuchnia z przyległymi klitkami i duży, trzyokienny pokój stołowy. Drzwi skrzypnęły cicho. Rafał znalazł kontakt, nacisnął guziczek i pokój zalało jaskrawe światło. Żaluzje były opuszczone. Od owego pierwszego wieczoru, kiedy to strzelił ktoś do Rafała, Gruza bardzo skrupulatnie przestrzegał zamykania okiennic. Jedno tylko środkowe okno przysłonięte było w trzech czwartych, gdyż żaluzja, opuszczona od zewnątrz, była widocznie zepsuta i nie dochodziła do dolnej ramy okna.

Stojąc przy kredensie, odwrócony tyłem do okna, Rafał spostrzegł w lustrze, wprawionym we wnękę kredensu, jakąś twarz, bielejącą za owym nie przysłoniętym oknem.

Nieprzyjemny dreszcz spłynął mu od nasady czaszki wzdłuż grzbietu, ale w dalszym ciągu spokojnie udawał, że czegoś szuka w kredensie. Wyjął nóż, widelec, talerzyk.

Muszę udawać, że szukam czegoś do jedzenia - myślał pośpiesznie.

Tamten zza okna obserwował go uważnie. Rafał wiedział, że jeden podejrzany ruch z jego strony, dający poznać tamtemu, że jest dostrzeżony, wystarczy, aby otrzymał porcję ołowiu w plecy. Oni - mniejsza z tym, co to są za „oni” - nie żartują. Przed trzema godzinami zaledwie przekonał się o tym Mossur.

Spokój, spokój - nakazywał sam sobie.

Nałożył na talerzyk trochę konserwy z puszki, ukrajał skibkę chleba, wziął nóż, widelec i pozamykawszy dokładnie drzwiczki kredensu, szedł z posiłkiem, którego nie miał zamiaru spożyć, ku drzwiom, mając ciągle wrażenie, że oczy tamtego zza szyby szukają w jego ciele miejsca, gdzieby najskuteczniej wpakować kulę.

Z uczuciem ulgi zgasił światło i zatrzasnął za sobą drzwi. Może silniej, niż było potrzeba. Dreszcz przeżytej emocji jeszcze raz spłynął wzdłuż kręgosłupa i zamarł w palcach u nóg. Poszedł do gabinetu i tam także zgasił światło. Przez krótką chwilę namyślał się, czyby nie iść do sypialni Gruzy, obudzić go i we dwóch zapolować na tamtego podglądacza. Ale zaraz uprzytomnił sobie, iż jest obserwowany i nie może tamtemu nasunąć podejrzania, że wie o tym. A co najważniejsze, nie ma broni, gdyż po wieczerzy, kiedy rozeszli się do swoich pokojów, rozebrał się, a nie mogąc usnąć wskutek podniecenia i nawału myśli, zeszedł w pidżamie na dół, aby wyjąć kulę, która przeszła przez Mossura. A broń zostawił pod poduszką.

Nie, musi najspokojniej iść na górę do swojego pokoju, wziąć pistolet i dopiero... Tamci nie strzelają palcami.

Zgasił światło w hallu i wolno wstępował na schody. Stopnie cicho skrzypiały pod stopami, ale Rafałowi wydawało się, że ich trzask słychać w promieniu co najmniej stu metrów od domu. Dziwne, dotychczas nawet nie wiedział, że te schody skrzypią, a przecież tyle razy na dzień po nich wchodził i schodził.

Dlaczego pies nie szczeka? Gruza tak go zawsze wychwalał za czujność. Obcy ludzie kręcą się dokoła domu, a to bydlę nawet nie piśnie. Co za pies!

Psiakrew! jak te schody skrzypią - pomyślał i zmartwił się, że gdy będzie schodził...

Po co ja to noszę? Trzeba było w gabinecie zostawić! - Przełożył niesione przedmioty do lewej ręki, prawą ujął klamkę i otworzył drzwi do swojego pokoju. Po prawej stronie, tuż przy futrynie, był kontakt. Pokój wypełnił się światłem, a Rafał... zamarł z ręką wyciągniętą

przed siebie. Wysoki, barczysty i czarny osobnik trzymał wielko-kalibrowy pistolet na wysokości piersi Rafała.

- Chodź bliżej, tu! - nieznajomy lewą ręką wskazywał miejsce, gdzie Rafał ma podejść.

Ale Rafał, patrząc bez drgnienia powieki w oczy przybysza, błyskawicznie uprzytomnił sobie, że stoi tuż przy kontakcie i przy nie domkniętych drzwiach... Zwłaszcza kontakt, którego prawie dotykał ręką, ciągnął jego palce jak magnes. Wystarczy jeden nieznaczny ruch dłoni...

- No! - głos nieznajomego stał się szorstki i stanowczy. A jednocześnie iskierka podejrzliwości zaświeciła mu w oczach. - Chodź bli...

Cichy trzask przekręconego kontaktu, ciemność i głuchy, przytłumiony huk strzału. Wszystko to stało się prawie jednocześnie i zaraz potem łoskot silnie zatrzaśniętych drzwi.

Rafał uchwycił poręcz schodów, przerzucił się przez nią i miękko upadł na nogi. Stłuczone kolano zapiekło boleśnie przy skoku. Spod drzwi sypialni Gruzy wąziutkim pasemkiem sączyła się smużka blasku.

Idiota! Po co on świeci? - zżymał się Rafał. Nie chciał wchodzić do oświetlonego pomieszczenia, ale na górze gwałtownie otworzyły się drzwi - nie było wyboru. Nacisnął klamkę i jednym susem znalazł się w sypialni Gruzy, cicho przymykając za sobą drzwi.

- Zgaś światło, Tomasz!

Ale Tomasz nie mógł zgasić światła. Stał obok łóżka boso, w nocnej koszuli i trzymał ręce wysoko podniesione nad głową. Spod koszuli wyglądały chude, czarnym gęstym zarostem pokryte nogi.

O ile bardziej estetyczna jest jednak pidzama - pomyślał Rafał, zanim dobiegł go niegłośny, ale stanowczy okrzyk:

- Ręce do góry! - Czarny otworek rewolwerowej lufy zwrócił się ku niemu.

- Pódź sam, pódź sam! Blizy, blizy! - Mimo pełnej napięcia sytuacji Rafał zapamiętał tę wymowę.

Zrezygnowany podniósł ręce do góry i postąpił parę kroków naprzód. Gruza patrzył na niego z osłupieniem i jakby wyrzutem w oczach. Szepnął:

- Widzisz, nie mówiłem?...

- Milczeć! Późni sobie będziecie godać.

Ktoś wszedł do sypialni i powiedział kilka słów po niemiecku. Rafał poznał głos czarnego jegomościa, który go tak gościnnie powitał na górze.

- Zwiąż ich. Ja przypilnuję. - Czarny zaszedł im od przodu i usiadł sobie wygodnie na taborecie. Wymierzył w ich stronę swoją wielkokalibrową armatę. Ten drugi podszedł do okna, obejrzał sznur od rolety i zerwał go jednym szarpnięciem. Wypróbował moc sznura w rękach, po czym zwrócił się do Rafała i kazał mu wyciągnąć ręce do tyłu.

- Tylko spokojnie! - zagroził. Z wprawą godną zawodowego rzeźmieszka mocno aż do bólu zacisnął sznur na przegubach rąk, związał i skinieniem przywołał Gruzę.

- Razym będzie wam weseli.

Związanych ze sobą dość ciasno przeprowadzili do hallu i pod schodami, od strony korytarzyka, ustawili twarzą do ściany.

- Stójta i ani mru-mru! I nie obzirać się!

Gruza sapał i przestępował z nogi na nogę. Chłodne linoleum ziębiło bosc stopy. Rafał starał się kąciem prawego oka dojrzeć, co się dzieje w hallu, ale pole widzenia miał ograniczone fragmentem schodów i skrzydłem drzwi ściennej szafki, znajdującej się przed wejściem do salonu. Słyszał tylko z prawa za sobą tupot wielu obutych nóg i przyciszone krótkie słowa. Gdzieś z głębi domu dochodził lamentujący kobiecy głos.

To chyba Janowa - pomyślał nie bez słusności, gdyż istotnie poza Janową nie było żeńskiej istoty w tym domu.

- O mój Jezusicku! Zabijają, zamordują człowieka! - wydarła się naraz całkiem z bliska.

Za nimi przechodzili ludzie, szcękalo i pobrzękiwało jakieś żelastwo. Rafał usiłował odwrócić głowę, aby dojrzeć cokolwiek z tego, co się dzieje, ale krótki, stanowczy okrzyk i szturchnięcie między łopatki lufą pistoletu przywołało go do porządku.

Naraz za ścianą odezwało się jedno, drugie i trzecie uderzenie, głuchy stuk upadku czegoś ciężkiego na podłogę i znowu uparte kucie w mur.

- Rozbijają kominek - szepnął Gruza. - W saloniku - dodał zbędne objaśnienie. Okazało się, że nie tylko w saloniku. Niezadługo potem druga partia „nocnych zdunów” zabrała się do rozbiórki kominka także i w hallu. Gruz sypał się teraz bez przerwy. Robota przybrała ostre tempo.

Była ciepła czerwcowa noc, ale Rafał widział, że Tomasz drży od chłodu. W samej koszuli, boso... Ręce silnie skrępowane sznurem zaczynały cierpnąć. W końcach palców odczuwał dotkliwie klucie, jakby roily się w nich pod skórą tysiące mrówek. Ale i to wrażenie wkrótce przeszło. Palce i całe dłonie stały się zupełnie nieczułe i bezwładne, niczym drewniane.

Jak długo to wszystko trwało? Nie umiałyby określić. Minuty wydłużały się niepomieranie, trudno byłoby powiedzieć, czy minął kwadrans, czy tylko pięć minut. Dopiero

później, gdy sobie już na zimno wyliczał i dodawał czas, doszedł do wniosku, że cała akcja nie trwała dłużej nad dwie godziny.

Tymczasem zaś stał twarzą do ściany i chwiał się na osłabionych nogach. Dokuczał mu ból w potłuczonym kolanie. O, gdyby tak mógł przyłożyć mokry, zimny okład! Obok niego Tomasz pocierał stopą o stopę, usiłując je tym sposobem rozgrzać nieco. Mocno zaciskał szczęki, aby nie dzwonić zębami. Dołem korytarzyka pełzał leniwie chłodny przeciąg.

Gładka biała ściana zdawała się puchnąć i nabrzmiwać od ciągłego wpatrywania się w nią. Mieniła się przed zmęczonymi oczami. Wyrastały na niej guzy i narośla, rozlewały się ciemne plamy i znikały po chwili, ustępując jednostajnej, nużącej bieli. Rafał przymknął powieki. Wolał już ciemność.

Od dłuższej chwili nie słychać było uderzeń o mur. Zaprzestali roboty? Gdzie tam! Znów się rozległy. Wolniejsze, jakby ostrożniejsze. I zaraz potem głośniejszy gwar rozmowy, wykrzykniki, ktoś zaśmiał się piskliwym głosem.

Czyżby odnaleźli coś? - pomyślał Rafał. Nie czekał długo na potwierdzenie. - No cóż, inżynierku, szkoda teraz tysiąca dolarów?

A dawaliśmy ciepłą rączką! Trzeba było brać. Sam chciałeś skarbu szukać? Nam przyczyniłeś tylko trochę kłopotu, a siebie wykierowałeś na dudka. - Mówiący to bezdźwięczny drewniany głos wyraźnie rozdzielał każde słowo.

Gruza uczynił ruch, jakby chciał odwrócić się ku mówiącemu.

- Stać spokojnie! W ścianę patrzeć! Nie jestem ciekawy twojego głupiego oblicza. Bo trzeba być głupcem, idiotą, aby pogardzić pieniędzmi, które same do ręki wchodzi. I za co? Za trzy dni pobytu gdziekolwiek, byleby nie tu. Lepiej zresztą, że nie posłuchałeś. Bez tysiąca dolarów mamy to, co chcieliśmy.

Rozległ się tupot wielu nóg. Coś ciężkiego postawiono na podłodze. Towarzyszący temu stukot miał metaliczny podźwięk.

- Chłopcy, związać im jeszcze nogi. Po co mają je sobie nadweręzać w pogoni za nami?

Dwóch ludzi podeszło do Gruzy i Żychonia i szybko, sprawnie omotali im nogi jakimś sznurem, zaciskając go mocno wokół kostek.

- Adieu, panie inżynierze! - ten sam drewniany głos, tylko teraz już bliżej, tuż za plecami. - A ty - Rafał znów poczuł między łopatkami szturchnięcie czymś twardym - wścibski szczeniaku, pamiętaj, abys mi nigdy więcej nie wszedł w drogę. Najlepiej wynieś się z tych stron. To niezdrowe, dla takich jak ty, okolice.

- Myślę - rzekł Rafał - że spotkam cię jeszcze kiedyś. Ale wtedy zaprowadzę do kryminału. Wolność nie jest dla bandytów i rzezimieszków.

Ostatni z wychodzących zgasił światło i cicho zamknął drzwi. Jeszcze tupot kroków na werandzie, jeszcze słaby, głuchy ich odgłos na podjeździe i... cisza. Rafał spojrzał w kierunku okna. Szczelne żaluzje nie przepuszczały z zewnątrz ani promyka światła albo też na dworze panowała jeszcze noc głęboka. Nie. Po dłuższym czasie, gdy oczy przywykły już do ciemności, spostrzegł, że wąską szparą u góry okiennicy sączy się blada smużka brzasku.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Porucznik Hubert Górny z N-tej sekcji był jednym z nielicznych, którzy wierzyli w istnienie „Planu Wilka”. Każda nowa wzmianka o nim, każda najluźniej rzucona uwaga elektryzowała porucznika i nieciła w nim nowy zapas energii w poszukiwaniu problematycznego według innych - Planu.

Od chwili gdy w zeznaniach pierwszych ujętych członków hitlerowskiego podziemia padł termin „Fali Wolf”, porucznik Hubert zapisywał w swym podręcznym notatniku każdy najmniejszy nawet szczegół o nim i dziś rozporządzał dostatecznym materiałem dowodowym, aby móc twierdzić, że plan taki istnieje z wszelką pewnością.

Wszystkie te dane porucznik Hubert Górny gromadził w swoim archiwum, miał tam i wyjątki zeznań, składanych przez aresztowanych, wyjątki odnoszące się do przyszłych akcji podziemia, które mają być planowane i kierowane z central organizacyjnych. Jeden z wysokich oficerów SS zeznał, że dla działalności powojennej na terenach, które miały przypaść Polsce, opracowywany był szczegółowy plan. Kto go opracowywał - nie wiedział, któremu z prowincjonalnych sztabów był powierzony - także nie wiedział. Słyszał o takim planie od kogoś, kto bezpośrednio w tej robocie był zaangażowany.

Istotnie, dotychczasowe działania dywersantów i sabotażystów niemieckich nie wskazywały na to, aby dokonywane były według jednolitego planu - i ten argument wysuwali przede wszystkim sceptycy.

Ale porucznik Hubert Górny, aczkolwiek nie miał stuprocentowych dowodów, był przekonany, że „Plan Wilka” istnieje.

Często w godzinach wolnych od zajęć Hubert wychodził na dalekie zamiejskie spacery albo włóczył się samotnie po mieście, ze szczególnym zainteresowaniem zwiedzając zniszczone przez faszystów dzielnice miasta.

I dziś, kończąc urzędowanie, zastanawiał się, dokąd wyjść. Spojrzał w okno. Zaciągające się chmurami niebo nie wróżyło pogody, nie zachęcało do spaceru. Ostatecznie

posiedzi w domu. Z książką. Akurat wczoraj udało mu się pożyczyć doskonałą powieść sensacyjną.

Cicho zaterkotał telefon.

- Hubert? - usłyszał głos kolegi. - Przyjdź do mnie na chwilę. Z ostatnią pocztą przyszło coś, co cię na pewno zainteresuje. Ja nawet nie wiem, do czego to przypiąć.

Hubert nic namyślając się wiele zbiegł na pierwsze piętro i po chwili trzymał w rękach arkusz listowego papieru, gęsto pokryty nierównym, rozstrzelonym pismem: *Drogi Heini!*...

Porucznik Górny usiadł i przeczytał list po raz drugi.

Taaak. Wracał jeszcze do niektórych fragmentów i odczytywał je na nowo.

- No i co? - zapytał wreszcie kolega, który pobrzękując kluczykami, gotował się do zamknięcia biurka i zakończenia urzędowania. - Zainteresowało cię to? Jutro mogę ci wypożyczyć.

Hubert podniósł oczy znad trzymanej w zaciśniętych palcach kartki.

- Człowieku! Czy ty wiesz, co to jest? Zdajesz sobie z tego sprawę? Jutro! Dziś, teraz ci to zabieram. Idę z tym do starego. Nareszcie mam w ręku pewny, konkretny ślad. Ślad „Planu Wilka”. A skąd to się u ciebie wzięło? - zapytał naraz z leciutkim błyskiem nieufności w oczach. Może to kawał, wyrządzony przez kolegów?

- Z Powiatowego Urzędu w Z. Dzisiejszą pocztą przyszło.

- Naprawdę? Lecę z tym do starego.

- Nie gorączkuj się. Przede wszystkim starego nie ma już od dawna - to raz, nie wciągnąłem pisma, gdzie należy, więc nie mogę ci dać - to dwa, a po trzecie, to zastanów się trochę, bo to nie jest wcale takie pewne, że ono dotyczy twojego wyimaginowanego „Planu”.

Hubert spojrział zezem na kolegę.

- Wyimaginowanego! Człowieku, nad czym się tu zastanawiać. Przecież to jasne. Geismeier, Kaltenbrunner - to ci, którzy tworzyli podziemie, oni mianowali prowincjonalnych szefów organizacji. Niedawno przecie aresztowanych było dwóch takich facetów, którzy na polecenie prowincjonalnych szefów wywiadu opracowywali podczas wojny plany zniszczenia obiektów przemysłowych i komunikacyjnych w niewielkim, ale mocno uprzemysłowionym rejonie. Plany te oddali swoim zleceniodawcom i nie wiedzą do dziś, co się z nimi dzieje. Głupcy twierdzą, że się nic nie dzieje, że po prostu zostały nie wykorzystane, zniszczone... Nieprawda, one poszły dalej - do centralnego opracowania. I jeżeli nie są teraz wykorzystywane, to albo dlatego, że nie nadszedł czas ich wykorzystania, albo po prostu są jeszcze niedostępne dla przywódców podziemia. Może Bormann czy Himmler nie zdążyli powiedzieć, gdzie są zamelinowane.

- Ho ho! aż Himmler.

- A tak. Tu masz najlepszy dowód - Hubert potrząsnął trzymanym w ręku pismem - że pracą tego Heini interesują się najwyższe czynniki. „Genialny memoriał” tego Heini...

- No i widzisz, że jesteś gorączka! - zatriumfował kolega. - Palisz się lecieć do starego, a nawet nie zainteresowałeś się, kto to był ten Heini!

- Zawsze mogę się dowiedzieć - mruknął Hubert. - Nawet na miejscu w Z.

- Masz tu pismo prowadzące, przeczytaj sobie. Baron von Stromberg - zamyślił się krótko Górny.

- Czekaj, czekaj... To nazwisko obilo mi się o uszy. Skądś mi znajome. Aha, ktoś donosił, że pułkownik SS baron von Stromberg wywozi do Nadrenii wszystko, co posiada cennego w tutejszych posiadłościach. Kuli z tego zarzut przeciwko niemu. List został w aktach szefostwa wywiadu ZA 305, tego właśnie, gdzie Stromberg starał się o przerwienie.

Zagłębił się ponownie w pismo prowadzące, lecz już po chwili aż podskoczył na krześle.

- Wiesz, kto znalazł list Stromberga?

- Czytałem... Jakiś Żychoń.

- Jakiś Żychoń! - powtórzył zgryźliwie Górny. - Nie „jakiś”, ale Rafał Żychoń, autor paru doskonałych powieści sensacyjnych wydanych przed wojną. Czytało się je... nie, nie czytało, łykało się te powieści.

- Sensacyjne, kryminalne! - skrzywił się rozmówca Górnego.

- Nie krzyw się. Sam byś je czytał. Ja je lubię. Tonami je kiedyś czytywałem. Nauczyły mnie czytania. Dzięki nim nabrałem zamiłowania do lektury. Nie od razu słucha się symfonii i uwielbia Bacha.

- Może. Ale jeżeli chcesz mieć te pisma w swoim archiwum, to sobie zrób odpisy, i to zaraz, bo ja muszę mieć nareszcie fajrant.

- Dobrze. A jutro walę do szefa. Muszę jechać do tej Starej Wsi. Choćby ze względu na Żychonia. On czuł, że w tym liście coś tkwi. On ma nosa. Inaczej nie pisałby takich powieści, jakie pisał. Ciekawym, co on dzisiaj robi, i to akurat w tamtych stronach?

Po dokonaniu odpisów Hubert poszedł na górę do swojego pokoju. Jeszcze raz zabrał się do przeglądania swego archiwum, wzbogaconego o dwa cenne dokumenty. Gromadził argumenty do jutrzejszej rozmowy z szefem.

*

Promienie słońca, które już dobrze wychyliło się z południa, wpadały przez wysokie okna do szkolnej izby. Godziny popołudniowych lekcji kończyły się i dzieci, czując bliski

dzwonek, nie mogły usiedzieć spokojnie. W otwartych szeroko oknach leniwie falowały bibułkowe firanki, powystrzygane w geometryczne wzory.

Joanna siedziała przy swoim nauczycielskim stoliku i spoglądała na pochylone nad rozłożonymi zeszytami główki dzieci. Niektóre już ukończyły przepisywanie z tablicy zadanych na jutro, a raczej na poniedziałek, rachunków i wierciły się na swoich miejscach, przeszkadzając tym, które jeszcze gryzmoły na pokratkowanym papierze niezgrabne kulfoniki cyfr.

- Dzieci, spokojnie! - upominała z nawyku Joanna, nie zdając sobie sprawy nawet z tego, że wymawia te słowa.

Na ścieżce przed szkołą zaskrzypiał żwir. Spojrzała w okno. Tęgi sołtys, powłócząc lekko nogami, zmierzał ku frontowym drzwiom szkolnego budynku. Zobaczywszy jednak, że lekcja jeszcze trwa, przystanął i zaczął skręcać papierosa. W tej samej chwili wyszedł na taras przed budynkiem młody pomocnik Joanny, kulawy Pawełek Szum igrając.

- Jakby tak tu dał cztery słupki i daszek, to byłby porządny ganek - powiedział sołtys, sadowiąc się na schodkach tarasu. - A tak to diabeł wie, co to jest. Obco wygląda taki budynek bez ganku, nie po polsku.

- Jakby ciocia miała kółka, to byłby tramwaj - odpowiedział Pawełek, który nie lubił sołtysa, bo zdawało mu się, że sołtys umizga się do Joanny i zawsze całuje po rękach.

Pawełek był kulawy. Kiedy Niemcy w czterdziestym trzecim roku zabierali ludzi do Reichu na roboty, Pawełek uciekł z obławy, ale żandarm postrzelił go w nogę i strzaskął kolano. Od tego czasu chodził na zgiętej, sztywnej w kolanie nodze i utykał mocno.

Podczas okupacji Pawełek uczęszczał na tajne komplety, prowadzone przez ojca Joanny i dwu nauczycieli ze zlikwidowanego przez Niemców gimnazjum w Tarnopolu. Matka jego, wdowa po oficjaluście dworskim w Malwinkach, zabijała się pracą, szła w pole do dworu czy do bogatszych gospodarzy, po nocach pracowała na własnym zagonku, który sobie za życia męża kupili z parcelacji części dworskich gruntów - byleby tylko syna wykierować na ludzi, jak mawiała nieraz w rozmowach ze starym Topolskim.

- Żeby to tak został profesorem jak pan - powtarzała z zachwytem.

Zahukanej pracą i nędzą kobiecinie ubogi żywot wiejskiego nauczyciela zdawał się szczytem kariery życiowej dla syna. Toteż kiedy Joanna, po przybyciu do Starej Wsi i objęciu posady kierowniczkii szkoły, zaproponowała, aby Pawełek został nauczycielem, radość i wdzięczność wdowy nie miała granic. Joanna zdobyła gorliwego pomocnika i zdolnego kandydata na pedagoga. Pawełek zaś chodził bezprzytomnie zakochany w swej koleżance i kierownicze. Pilnie uzupełniał swe braki w wykształceniu, jeździł na kursy organizowane dla

nauczycieli o niepełnych kwalifikacjach i z zamięłowaniem rozjaśniał w płowych i czarnych, krótko i długowłosych łepetynach zawile tajniki tabliczki mnożenia. Miał widać wrodzone zdolności pedagogiczne, na jego lekcjach dzieci najuważniej słuchały i choć nigdy nie podnosił głosu, umiał okiełznać największych urwisów i uciszyć najgadatliwsze dziewczynki.

Pawełek nigdy nie spieszył się do domu, nie miał, zdawało się, spraw osobistych, najchętniej sypiałby w szkole. I dzisiaj, aczkolwiek jego godziny dawno się już skończyły, siedział jeszcze w pokoju, szumnie nazwanym kancelarią, a teraz zaś wyszedł, aby dzwonkiem obwieścić koniec lekcji.

- A nic trudnego zrobić ganek - podjął swoją myśl sołtys. - Leśnictwo da drzewo, a ja już postaram się o robociznę i materiał na pokrycie daszku. U mnie jest taka na pół rozwalona komórka, to z niej dachówki w sam raz się nadadzą. Będzie sc można wygodnie i przyjemnie pogadać, jak się do nauczycielki...

Reszta słów sołtysa zniknęła w potężnym dzwonieniu, jakie Pawełek rozpętał. Aż dziwne, jakim sposobem z takiego małego dzwonka dobył tak potężnych dźwięków.

- Pawełek to mógłby nawet w gimnazjum uczyć, tak mocno dzwonić potrafi - rzekł z udanym podziwem sołtys.

Dzieciarnia, jak ptactwo z klatek wypuszczone, ze świergotem i piskaniem sfruwała ze stopni tarasu.

- Podziwiać trzeba punktualność z jaką pan Okuszko przyszedł - powitała sołtysa Joanna, stając obok nich na tarasie.

- Powiedziano na trzecią, to na trzecią! Żeby tylko inni się nie za bardzo spóźnili. Zostawiłem pocztę bez opieki, bo Michalina jakby się nie liczyła.

Michalina była to czternastoletnia córka pana Okuszki, który obok godności sołtysa piastował w Starej Wsi urząd kierownika agencji pocztowej, sam zaś był czterdziestopięcioletnim wdowcem i przewodniczącym koła rodzicielskiego przy szkole - stąd powód do częstego stykania się z Joanną - a że był człowiekiem pełnym galanterii wobec kobiet, starał się zawsze obdarzyć Joannę jakimś komplementem, z czego zakochany Pawełek wywnioskował, że sołtys umizga się do Joanny, i darzył go nieuzasadnioną antypatią.

Członkowie koła wbrew obawom sołtysa zebrali się prawie punktualnie i niemal w komplecie. Na porządku dziennym było zakończenie roku szkolnego, którą to uroczystość chciała Joanna z wielką pompą obchodzić.

Posiedzenie skończyło się szybko i zebrani, uchwalivszy co trzeba, rozeszli się każdy do swoich zajęć.

Przeszedłszy do swojego pokoju, Joanna usiadła przy stole, na którym piętrzył się stos zeszytów z wypracowaniami uczniów. Przejrzała kilka, ale na resztę spojrzała z wyraźną niechęcią. Nie szła jej dzisiaj praca. Wyjątkowo pogodny dzień wabił na dwór i Joanna, nie namyślając się wiele, wyszła na spacer.

Zbocze pagórka, na którego szczycie położona była Stara Wieś, łagodną pochyłością opadało ku południowi w półokrągłą, nieckowatą dolinę. Z łąki pokrywającej dolinę lekki wiatr niósł gęsty, słodkawy zapach wędnących traw. Gdzeniegdzie widać było ludzi roztrzęsających pokosy.

Drożyna, którą szła Joanna, oddzielała grunty chłopskie od gruntów byłego majątku von Strombergów. Pola dworskie leżały odłogiem, wybujały na nich chwasty, przewyższające człowieka. Brak było rąk do pracy, brak koni i narzędzi do uprawy. Wojna minęła już dawno, a ciągle jeszcze porywała ofiary. Gospodarny chłop, Kusek, nie mógł patrzeć, że pod lasem ugoruje szmat tłustego pola. Wyjechał wiosną je zaorać i mina, o którą zawadził lemieszem, rozerwała go w strzępy. Jego sąsiad wybrał się, aby z podworskiej stodoły przywieźć furkę słomy i dźgnął widłami w niewypał zagrzebany w słomie. Niepocieszona wdowa uroczyście pogrzebała tylko dwie nogi, gdyż grube cholewy ochroniły je od rozerwania na drobniejsze części.

Ciężkie pszeniczne kłosa leniwie kłoniły się pod niestałymi podmuchami lekkiego wiatru. Idąc Joanna rozpostartą dłonią gładziła wybujałe źdźbła. Przepływały pomiędzy palcami jak chłodnawe strużki zielonej wody. W pszenicznym łanie gęsto niebiesciły się chabry. Joanna, nazrywawszy sporą ich przygarść, usiadła na drożynie i jęła je splatać. Wnet jednak zaniechała tej czynności i zgarnęła z podółka kwiaty. Wstała i poszła ku wsi.

Coś gnało ją z miejsca na miejsce. Jakiś niepokój, z którego nie umiała zdać sobie sprawy, nurtował ją już od kilku dni. Co to jest? Dlaczego tak się dzieje? Co ją tak odmieniło?

Dlaczego dawna zrównoważona, wesoła i spokojna Joanna teraz, niby dziecko, „śmiech i płacz w jednej torbie nosi”?

Są momenty, kiedy ukochana praca staje się obmierzła i bezcelowa.

Kiedy przechodziła obok poczty, z trudem stłumiła w sobie chęć wstąpienia, aby zatelefonować na leśniczówkę. Zeszła na przeciwległy skraj drogi i odwróciła głowę, żeby nie ulec pokusie.

Co ci to, dziewczyno? - mitygowała samą siebie. - Przecież dopiero wczoraj z nim rozmawiałaś! - Miała wprawdzie pełne prawo dowiedzieć się o zdrowie swego pacjenta, ale czy ten pacjent nie będzie się śmiał ze zbyt wyraźnie i zbyt często okazywanej przez pielęgniarkę troski? Po co zresztą telefonować? Jutro będzie w leśniczówce na bridżu i spędzi

parę godzin z Rafałem. Co się tutaj zapierać! Chodzi jej przecież o to, aby usłyszeć głos Rafała, aby Rafała zobaczyć...

Dobrze że droga była pusta i nikt Joanny nie spotkał, bo ludzie dziwiliby się zapewne, dlaczego poważna kierowniczka szkoły mówi sama do siebie i rumieni się przy tym. Rzeczywiście spłonęła rumieńcem, gdy wyznała przed sobą, że jest zakochana.

W domu oczekiwała ją pomyślna nowina. Starsza kobiecina, wdowa po dawnym dozorczy i woźnym tej szkoły za czasów niemieckich, teraz posługująca Joannie, wręczyła jej wąską kartkę papieru. Joanna z pewnym trudem odcyfrowała niezgrabnie nagryzmołone słowa:

Mam wiadomości o ciotce pani. Będę wracał wieczorem, to wstąpię i opowiem pani. Teraz nie mogę czekać, bo się spieszę - i jakiś zygzak podpisu.

Niemka nie bardzo umiała bliżej objaśnić, kto to był i skąd. Przyszedł zaraz po wyjściu Joanny z domu, a dowiedziawszy się, że nauczycielki nie ma, zostawił to pismo i poszedł mówiąc, że przyjdzie jeszcze. - Czy to pani nauczycielka depeszę dostała? - Kobiecina bała się depesz ogromnie, bo od czasu, gdy ją depeszą powiadomili, że mąż zginął w katastrofie, była przekonana, że telegram przynosi zawiadomienie o śmierci lub jakim nieszczęściu.

Nie, nie o śmierci. Owszem, bardzo ją cieszy ta wiadomość. Dowie się czegoś o ciotce, której poszukuje już od dawna. To jedyna jej krewna w kraju. Chciałaby ją tu sprowadzić do siebie.

Joanna wzięła małą trójzębną motyczkę i wyszła do ogródka przed dom. Po ostatnich deszczach ziemia na grządkach kwiatowych była jakby uklepana i puściły się chwasty, które należało powyrywać spomiędzy kwiatów. Joanna peła i nuciła sobie półgłosem jakąś swoją nie nazwaną melodię. Pełna wewnętrznego uszczęśliwienia, chciałaby nim świat obdzielić.

O, tutaj na tej ławeczce siedział Rafał przed odjazdem... Rafał... Co on teraz porabia? Jednak głupstwo uczyniła nie telefonując z poczty. Niechby tam sobie myślał, co chce. Przynajmniej usłyszałaby jego głos. Jak to źle, że głupie „co sobie pomyśli” powstrzymuje czasem człowieka od najlepszego uczynku. Rafał nie kocha jej? To będzie kochał.

Tyle czasu poszukiwała ciotki - bez skutku. A dziś oto wiadomość o niej. Gdy się czegoś bardzo chce, musi się stać. A Joanna bardzo chce, żeby Rafał się w niej zakochał...

Przez szeroko otwarte okno widziała fragment kancelarii szkoły. W jakimś ponemieckim szkłe, naśladowującym kryształ, czerwienił się pęk maków. Kto je przyniósł? Chyba Pawełek Szumigraj. Siedział przy stole i pilnie wypisywał świadectwa szkolne na

zakończenie roku. Konopiasta czupryna Pawełka kosmykami zwieszała się nad pochylonym czołem.

To przypomniało Joannie, że i ona ma jeszcze całą masę papierkowej roboty. Porzuciła robotę w ogrodzie i poszła do kancelarii. Wypełniała ankiety, kwestionariusze, sprawozdania. Zajęła tym czas aż do zmroku.

Po kolacji zasiadła w swoim pokoju do przeglądania uczniowskich wypracowań. Z początku nasłuchiwała, czy nie rozlegną się kroki człowieka, który miał przynieść wiadomości o ciotce, ale gdy oczekiwanie przedłużało się, pomyślała, że już dzisiaj nie przyjdzie, i oddała się wyłącznie pracy. Naraz usłyszała stukanie w szybę okienną. Podeszła do okna akurat w momencie, gdy ten ktoś za oknem podnosił rękę, aby zastukać po raz drugi. Otworzyła okno.

- Ja do pani o ciotkę... - powiedział tamten z wyraźnym niemieckim akcentem, wymawiając „czotke” zamiast „ciotkę”.

Drzwi frontowe były już zaryglowane, więc Joanna zaproponowała przybyszowi, aby obszedł dom do drzwi od podwórza. Otworzy mu. Ledwie przekręciła klucz w zamku, gdy przybysz stanął na progu. Miał na sobie wytłuszczony kombinezon, z daleka zalatujący smarami. Śpieszył się bardzo. Lekko zadyszany głosem wyjaśnił Joannie, że to nie on zostawił kartkę o ciotce, ale jego szef, szofer, z którym jeździ. On tu jest. Stoją zaraz za zakrętem drogi. Szofer wiezie kilku pasażerów „na łebka” i boi się odejść od maszyny. Prosi, aby pani nauczycielka przyszła. Oni bardzo się śpieszą, bo teraz wieczorem jechać nie jest zbyt bezpiecznie. A jeżeli pani nauczycielka teraz nie może pójść, to on wstąpi kiedy indziej, jak będą tędy przejeżdżać.

- Nie, nie, już idę! - zawołała Joanna.

Wróciła do pokoju i narzuciła na ramiona ciepły serdaczek; zgasła światło i zamknąwszy drzwi, wyszła z człowiekiem w kombinezonie na drogę.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł i noc była ciemna mimo jasnego, wygwieźdzonego nieba. Wieś już spała. W niektórych tylko domach błyszczało jeszcze światło, ale cisza była zupełna. Mocna żarówka umieszczona przed posterunkiem milicji rzucała krąg blasku na asfalt. Liście drzew objęte światłem wyglądały jakby wycięte z glansowanego papieru i zieleń ich miała nienaturalny odcień nasyczonego szmaragdu.

Człowiek idący obok Joanny opowiadał coś półgłosem prędko i niezrozumiale. Nie słuchała go do momentu, gdy doleciały ją słowa: czotka ist krank... Przystanęła.

- Co, chora jest?

- Krank, chora. Mówię: może chora. Nie?

Machnęła ręką i przyśpieszyła kroku. Rzeczywiście, może ciotka jest chora? Przyjechałaby przecież sama, gdyby była zdrowa. Nie dawałaby znać przez przygodnych ludzi. Zresztą zaraz jest zakręt i dowie się wszystkiego.

Minęli pierwszy dom za zakrętem drogi, jeszcze lekki łuk ruin obok jakiegoś dużego domostwa i wyciągnęła się przed nimi prosta i równa wstęga asfaltowej szosy. Daleko i nisko nad horyzontem płonęła spokojnie luna świateł odległego miasta. Ale w najbliższej odległości droga była pusta. Przecież samochód powinien mieć czerwone światelko z tyłu.

- Gdzież wy stoicie? - zapytała z odcieniem niepokoju w głosie.

- O... - człowiek w kombinezonie wyciągnął przed siebie rękę.

Od ruin przydrożnego domu oderwały się dwa cienie. Joanna posłyszała ich kroki i spojrzała w bok, ale nie zdążyła już krzyknąć. Ciężka łapa stojącego obok niej człowieka spadła na jej wargi i zdusiła krzyk, zanim zdążył się narodzić. Szarpnęła się całym ciałem, lecz tamci już doskoczyli, omotali jej głowę jakimś kocem czy płachtą. Usiłowała kopać wokół siebie, ale wnet i nogi miała skrępowane. Leżała bezwładna jak toból.

Uczuła jeszcze, że wtoczyli ją na coś, jakby na nosze, podjęli z ziemi i ponieśli. Jakiś czas odczuwała miarowy kołyszący rytm kroków, potem wrażenia poczęły się mącić, mieszać i straciła przytomność.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rafał długo rozcierał bezwładne, nabrzmiałe palce i dłonie, zimne jak u trupa. Gruza próbował podnieść się i stanąć na nogach, ale nie mógł ustać. Nogi gięły się pod nim, jakby ukręcone ze szmat.

Truda, która przyszedłszy rano do pracy oswobodziła ich, stała na środku hallu i zdziwionymi oczami patrzyła na obraz, jaki miała przed sobą. Z jednej strony pod ścianą siedział Żychoń i Gruza. Obaj tarli, masowali sobie ręce i nogi pozbawione władzy wskutek silnego i długo trwającego skrępowania. Pod przeciwległą ścianą siedziała Janowa i postękiwała.

Drzwi do salonu były szeroko otwarte i droga do nich wyznaczona była ceglanym pyłem, odłamkami cegieł i okruchami zaprawy murarskiej. Wiórkowana, wywoskowana posadzka - дума Janowej - zdeptana i starta, że aż oczy bolały patrzeć.

Powtarzając raz po raz wezwania do swego patrona Janowa wstała i czepiając się sprzętów usiłowała postąpić parę kroków.

Truda podbiegła i ujęła ją silnie pod ramię.

- Dobrze, dobrze. Podtrzymaj mnie, bo upadnę. Idziemy do kuchni. Chodź!

Janowa mówiła tylko po polsku. Truda tylko po niemiecku, ale rozumiały się wyśmienicie.

- Kawy! Kawy! Janowa, dużo mocnej, gorącej kawy! - wołał Rafał.

Truda wróciła z kuchni i podnosiła żaluzje. Światło dzienne pełną falą wpadło do pokoju. Za oknami pieniał się i przelewał słońcem, zielenią i ptasimi pieśniami pogodny czerwcowy dzień. Tym bardziej przykry widok sprawiały zniszczenia spowodowane przez nocnych gości.

- Co to było? - zapytała Truda, wskazując na ruiny kominka.

Rafał krótkim machnięciem ręki zbył pytanie Trudy i podszedł do telefonu. Niema słuchawka nie podawała sygnału centrali. Nie pomagało kręcenie tarczą. Aparat milczał jak zaklęty.

- Spodziewałem się tego - mruknął Rafał, odstępując od telefonu.

- Nikt nie odpowiada? - zapytał Gruza wynurzając się, już ubrany, z korytarzyka.

- Nikt!

- No, za takich idiotów ich nie miałem, aby nie przerwali połączenia. To zrozumiałe, że się zabezpieczyli.

- Trzeba jednak zawiadomić milicję. Wiesz co, Tomasz, może ja bym pojechał? Utrzymam przecież maszynę.

- Nie, nie, mój drogi. Już ja ciebie samego nie puszczę. Zresztą, twoja noga... Nie ma mowy - przeciął krótko kwestię.

- To może razem pojedziemy? Będę pokornitko siedział na tylnym siodełku... Co, Tomciu?

- Zobaczymy. Na razie napijemy się kawy na rozgrzewkę. Znowu dreszcze mnie biorą. Ja chyba odchoruję dzisiejszą noc.

- Jeżeli samą kawą będziesz się rozgrzewał. Tomciu, ty tam gdzieś masz jeszcze trochę tej wiśniówki. Nie krępuj się, przynieś. Skwaśnieje ci. A ja skoczę do kuchni, bo Janowa z tą kawę niemożliwie się guzdrze.

Gdy wrócił, Tomasz stawiał właśnie na stole pękatą karafkę napełnioną rubinowym płynem.

- O to! to! - zatarł ręce Rafał. - „Jaż mówię, serce” - przypomniał sobie Horde Drakiewicza - na przeziębienie nie ma jak kawa, poparta łykiem dobrej wódki. Nic mówię, żeby jednym łykiem. Cóż byłby za sens!

Mimo że Rafał nie mógł uzyskać połączenia, to jednak aparat telefoniczny sprawił, że komendant milicji zjawił się w leśniczówce bardzo szybko. Podobnie jak Żychoń, i

komendant chciał posłużyć się telefonem, aby zapytać, czy co nowego nie zaszło podczas nocy. Nie mógł się dodzwonić, a z poczty powiedziano, że połączenie z leśniczówką przerwane. Nie tracąc czasu, pełen niedobrych przeczuć, zabrawszy ze sobą towarzysza, w ciągu paru minut zajechał na swej „zdobyczej” maszynie.

- To tak, panowie! - zawołał stanąwszy w progu jadalni. - Ludzie martwią się o was, jadą, że o mało karku nie skrećą, a wy sobie od rana przy kieliszku. E, tak się nie godzi. Chyba że ja też...

Gościnnie zaproszony do stołu z zadowoleniem spoglądał na „odpowiedzialnych” rozmiarów kieliszek, napełniony przez Rafała.

- A co to, remont jakiś pan inżynier przeprowadza? - przymrużył chytrze oko. - Na własną rękę szuka pan skarbu? Przecież rozbierać kominków nie wolno, dokąd nie będzie zezwolenia z powiatu.

Usłyszawszy o nocnej wizycie, komendant odstawił od siebie kieliszek, którego zawartości nie zdążył jeszcze wychylić.

- Ou, jeżeli tak, to ja jestem na służbie. Ani kropelki. - Przybrał urzędową minę i ton głosu.

Rafał zwięźle opowiedział mu o przebiegu wypadków tej nocy.

- Z rewolwerami, powiada pan? Z bronią? I zabrali coś ze sobą? Hm...

Wysłał towarzyszącego sobie milicjanta, aby przywiózł do pomocy w poszukiwaniach jeszcze dwóch kolegów, sam zaś przeprowadził jak najbardziej skrupulatne badania obu kominków. W hallu wyjętych było wszystkiego kilkadziesiąt cegieł, ale w salonie piękny kominek rozwalony był prawie do połowy. Z lewej strony, na wysokości paleniska, ziała wielka, nieregularna u góry, a u dołu zachowująca idealnie proste kąty, dziura wybita kilofami głęboko w ścianie.

- A ja mówiłem, że gdzie jak gdzie, ale w tej kamienicy to skarb może być ukryty. Tu właśnie stała ta skrzynka - popukał wskazującym palcem w dolną krawędź otworu. - O, widzicie, panowie, górą wyłamali więcej muru, aby się do niej dostać, tu zaś, u dołu, wysunęła się sama. Spora skrzyneczka... I zabrali ją, dranie. To mnie pociesza, że daleko z nią nie zajdą. Trzeba mieć, panie, takiego nosa jak ja, aby to wszystko przewidzieć - wyprostował się dumnie.

- Co, mianowicie, pan komendant przewidział? - zapytał z odrobiną ironii w głosie Rafał.

- Jak to, co? Wszystko - rozcapierzył palce lewej ręki i zginał je w miarę wyliczania. - To, że tu znajduje się skarb, że ukryty jest w kominku, że będą usiłowali go wydostać...

- I to, że go wydostaną?

- Nie, myślałem, że to my zrobimy - przyznał skromnie. - No cóż, pospieszyli się. Ale nie na długo uda im się ta sztuczka.

Było już dobrze po dziesiątej, gdy przyjechali milicjanci. Jeden z nich podał Rafałowi niewielką paczuszkę, opatrzoną łąkowymi pieczęciami, i list.

- Podał mi to listonosz, abym panu doręczył. Pokwitowałem już.

- Dziękuję - Rafał niecierpliwie rozerwał kopertę. Spodziewał się znaleźć w niej rozwiązanie pewnej zagadki. Zawiódł się.

Do diabła, sądziłem, że medycyna i w tym względzie poszła już naprzód! Może zresztą obejdziemy się bez tego - pomyślał.

Komendant zebrał milicjantów wokół siebie.

- W nocy dokonano tutaj napadu. Nad ranem napastnicy odchodząc zabrali ze sobą skrzynkę wraz ze znajdującymi się w niej... hm... przedmiotami. O, takiej wielkości skrzynkę - ilustrował gestami przypuszczalne rozmiary kasety. - Sądzę, że daleko jej nie zabrali. Niewygodnie chodzić z takim pudłem. Prawdopodobnie rozbili ją tu gdzieś w pobliżu, zawartość wzięli ze sobą, a samą skrzynkę porzucili. Musimy w znacznym promieniu od leśniczówki dokładnie przeszukać teren. Uważajcie na każdy ślad, najmniejszy nawet może przydać się w śledztwie. Na początek weźcie tamten odcinek - wskazał przestrzeń między poletkiem ziemniaczanym i drogą biegnącą w głąb lasu. Rozeszli się.

- Mało ludzi, inżynierze. Trudno będzie dokładnie zbadać teren.

- Może by moich robotników leśnych - zaproponował Gruza.

- Chcesz im dać sposobność do całkowitego zatarcia śladów? - gwałtownie zaprotestował Żychoń.

- Czyżby oni?...

- A pan jest innego zdania, komendancie? Komendant zastanowił się chwilę. Potarł niezdecydowanym ruchem czoło.

- Bo ja wiem... Niczego nie jestem pewny. Nie chcę uprzedzać się z góry do jakiejś myśli, żeby nie naginać do niej faktów. Ale raczej pewny jestem, że dzisiejsze wypadki spowodowane są przez jakąś szajkę zamiejscowych szabrowników w grubszym stylu, którzy tu ściągnęli pod wpływem pogłosek o skarbie, jakie rozeszły się po wypadku z motocyklem. Mówiłem już wam, że przytrzymaliśmy jednego takiego szabrownika, który sam myślał dobrać sobie współników i rozpocząć poszukiwania. To potwierdza moje przypuszczenia.

- Chciałbym, aby tak było - mruknął Rafał.

- A my, obywatele, spisujemy protokół o tych wszystkich wypadkach tysiąca i jednej nocy - komendant lubił czasem zaimponować słuchaczom jakimś powiedzonkiem w wyższym stylu. - Proszę bardzo - okrągłym ruchem ramienia zgarnął z werandy Żychonia i Gruzę.

Poszukiwania trwały długo. Komendant sporządził obszerny, drobiazgowy protokół, podpisali go wszyscy zeznający, nawet Janowa, która usilnie od tej czynności się wymawiała, a rezultatu poszukiwań nie było.

Coraz inną partię lasu przeczesywali uważnie grzebieniem gęstej tyralierki, nie odnajdując najmniejszych nawet śladów, które po opuszczeniu terenu leśniczówki, urywały się na brzegu lasu i ginęły z oczu bezpowrotnie. Las strzegł zazdrośnie tajemnicy. Ludzie bezradnie rozglądali się, daremnie usiłując odszukać w miękkim podścielisku igliwia najdrobniejszej nawet wskazówki co do kierunku, w jakim posuwali się nocni rabusie skarbu. Jakiś Old Schatterhand, Winetou, Sokole Oko czy inny indiański poszukiwacz śladów mógłby tu pomóc. Oni to potrafili... Skrzywiona gałązka, leżące w trawie pióro wronie, ogon wiewiórki czy chrapliwy krzyk orła - wszystko to pomagało im nie tylko odnaleźć przeciwnika, ale nawet zamiary jego określić na trzy dni naprzód z dokładnością do pięciu minut... No, ale to było w Ameryce i... w powieści.

Komendant po zakończeniu formalności protokołowych zabrał Tomasza i Rafała do lasu.

- Musicie nam pomóc. Przecież nie mogli iść z tą skrzynią do... - tu użył wielce dosadnego powiedzenia. - Albo też te niezdary szukają gniazd po drzewach, a nie śladów na ziemi.

Jednocześnie z ich dojściem do drożyny, z lasu jeden po drugim zaczęli wyłaniać się milicjanci idący którymś tam już powrotnym zagonem.

- Obywatelu komendancie - jeden z nich podszedł do zwierzchnika - melduję, że nic nie znaleźliśmy. Przeszukaliśmy - zatoczył spory łuk ramieniem - o, tyle lasu. I nic. Dwie sarny my wypłoszyli. A skrzynki nie ma.

- Do diabła! Stworzenie, które po ziemi chodzi, musi na ziemi zostawiać ślady. A tu nic, psiakrew!

Zanurzyli się w las z powrotem. Komendant, Tomasz i Rafał przedłużyli tyralierkę o prawie sto metrów. Posuwali się wolno, przepatrując uważnie każdy krzaczek.

Rafał zatrzymał się nieco i zapalając papierosa, spojrzał w stronę domu, tęsknie pomyślawszy o obiedzie. Zauważył, że stamtąd ktoś szybko zbliża się ku nim.

- Tarłówko! - wykrzyknął Tomasz, dłonią przysłoniwszy oczy od słońca. - A ten co tu znów chce?

- Nie pamiętasz? Sam go zapraszałeś na bridża.

- Panowie na przechadzkę do lasu? - Tarłówko swoim zwyczajem kiwał się już z daleka w ukłonach. - A ja się wybrałem do panów...

Naraz dojrzał opodal w lesie grupkę milicjantów. Stropił się.

- Może ja nie w porę przyszedłem? Może panowie zajęci?

- Tak, rzeczywiście, troszkę jesteśmy zajęci - bąknął Żychoń.

- Obawiam się, że nic z naszego bridża nie będzie - dodał Gruza.

Tarłówko uklonił się jeszcze dwa razy.

- O, to bardzo przepraszam, bardzo przepraszam. Cieszyłem się, że pannę Topolską zastanę. Bardzo żałuję, bardzo. Przepraszam, a czy... - nachylił się konfidencko do ucha Gruzy - czy znów jakiś wypadek zdarzył się u panów? Bo widzę, że milicja...

Komendant podszedł do zajętych rozmową.

- Pan Tarłówko, zdaje się, prawda? - świdrował przybysza badawczymi oczami. - Poznaliśmy się przecież w tych dniach...

- Rzeczywiście, rzeczywiście - kiwnął się raz i drugi Tarłówko. - Pan ma fenomenalną pamięć, panie komendancie. Istotnie wczoraj przedstawiono mnie panu.

Zapanowało na chwilę niezręczne milczenie.

- Ja może już sobie pójdę? - przerwał je Tarłówko. - Nie chciałbym panom przeszkadzać. A może mógłbym coś pomóc? Dobrze jest władzy przysłużyć się czasem... he he!

- Ano, jedna para oczu więcej - zastanowił się komendant.

- Jestem całkowicie do dyspozycji - Tarłówko zdawał się być uszczęśliwiony.

Objasnili go pokrótce w przedmiocie poszukiwań.

- Ach! Tego panowie szukają? Zdaje się, że naprawdę przydam się panom. Tak - stuknął się w czoło: - Zdaje się, że to była skrzynka! Wyglądała na wielką metalową kasetę... Nie przyglądałem się jej dokładnie, bo to teraz tyle różnego żelastwa wala się wszędzie. Idąc do pana inżyniera, zboczyłem nieco z drogi. Zaraz na skraju zagajnika, jakieś dziesięć metrów od drogi... Pamiętam dokładnie, gdzie to jest.

Udali się za nim całą gromadą. I rzeczywiście w pobliżu drogi, na skraju zagajnika, ciągnącego się od pola leśniczówki ukosem ku drodze, znaleźli przedmiot tylogodzinnych poszukiwań. Była to istotnie wielka stalowa kasetka. Zamek miała rozbity jakimś łomem i pogięty, pognieciony bok.

- Obywatelu komendancie, oto co znalazłem - Wieczorek podał na wyprężonej dłoni błyszczący krążek złotego metalu.

- Ho! Ho! Złota dwudziestodolarówka! Niechybnie z tego skarbu, co był w kasecie. Ale w takim razie poszukajmy jeszcze.

Szukali pilnie, lecz bezskutecznie. Gdy już mieli odchodzić, Tarłówko coś wydłubał z igliwia i podał komendantowi. Był to złoty, dość gruby pierścionek staroświeckiej roboty z kolorowym kamieniem.

- O, to, to! Właśnie! - Komendant zdawał się być na tropie. - Rozbijali kasetę po ciemku i ładowali wszystko do worka, i coś niecoś zgubili przy tym. No, a ja mam potwierdzenie, że tak było, jak przewidywałem.

Tarłówko szedł jak triumfator, czepiając się ramienia komendanta, i basował mu, chwając jego przenikliwość i zdolność przewidywania.

Szkatuła pasowała jak ulał do wyrąbanego w kominku otworu.

- No, a ja mam jeszcze niespodziankę - powiedział komendant, gdy wszyscy zebrali się w hallu. - My tu sobie usiądziemy i opiszemy te wszystkie historyjki: kasetkę, dolarówkę, pierścionek i to też, jak to ładnie pasuje razem do dziury w kominku, a wy, Olejnik, skoczcie z Wieczorkiem na posterunek i przywieźcie tutaj tego szabrownika, zatrzymanego u nas. Tylko migiem się sprawcie! Na jednej nodze! A załóżcie przyczepkę i uważajcie, aby wam nie uciekł!

- Szkoda, naprawdę szkoda, że to wszystko akurat dzisiaj się wydarzyło - biadał Tarłówko. - Cieszyłem się z bridża i z tego, że pannę Topolską zobaczę... Trudno, przełożymy przyjemność na kiedy indziej. A czy panna Topolska wie o przygodzie panów? Może przyjedzie nie wiedząc?

- Tak, wie. Duch święty jej powiedział - odrzekł zgryziony Rafał. Tyle sobie po tym dniu obiecywał.

- Przepraszam - spłoszył się Tarłówko. - Pytałem...

- Zły jestem, panie szanowny, i sercem gryzę, bo serce mnie boli. Miałem do niej telefonować z rana, aby przypomnieć o jej obietnicy. Telefon zepsuty od rana, a jechać sam nie mogę. I obiad przegwizdaliśmy! Patrz pan - postukał palcem w szkiełko zegarka. Czwarta już, a od rana nic w gębie nie miałem. Tomasz, bój się Boga! Pogadaj coś z Janową na temat obiadu.

- A Polak zły, kiedy głodny - zaśmiał się Tarłówko. Tomasz właśnie stanął na progu jadalni i zapraszał do stołu:

- Ano, czym chata bogata...

Ledwo zaczęli jeść, gdy motor zawarczał u podjazdu. Olejnik i Wieczorek przywieźli aresztanta.

Szabrownik, postawiony w hallu, rzucał niepewne spojrzenia dokoła. Nie wiedział, czego od niego chcą, po co go tutaj przywieźli.

- Niech pan inżynier - zwrócił się komendant do Gruzy - każe tu przyjść swoim robotnikom. Wszystkim, ilu ich pan ma skoszarowanych.

Ustawili się przed werandą szeregiem ze starszym na czele. Komendant wyprowadził aresztowanego i postawił przed nimi.

- No, który z nich mówił wam o tym skarbie? Macie tu wszystkich.

Szabrownik bez wahania wyciągnął palec w stronę stojącego na czele szeregu starszego. Tamten zbladł i mimo woli postąpił krok naprzód.

- I nikt więcej? Przypatrzcie się dobrze.

- Jeszcze jeden był przy tym. Ale tu go nie ma. Taki wysoki, bardzo jasny blondyn. Z dużym nosem.

Gruza przysunął się bliżej.

- To Mossur, komendancie, ten, którego w piątek...

- Wiem, wiem - przerwał niecierpliwie. - Słuchajcie, Olejnik, zabierzcie tego - wskazał stojącego obok szabrownika - i wracajcie zaraz.

Pozostałych milicjantów odwołał na stronę i wydał im po cichu jakiś rozkaz.

- Tak jest! - poderwali się służbiście. Komendant przeszedł do gabinetu Gruzy, zabierając ze sobą wskazanego przez szabrownika starszego. Poprosił Rafała i Gruzę, aby byli obecni przy zeznaniach.

- To ja może sobie pójdę, jeżeli nie jestem potrzebny? - podszedł w ukłonach Tarłówko.

- Hm... niech pan jeszcze chwilę zostanie, może pan będzie potrzebny.

Komendant zaproponował Rafałowi, aby spisywał zeznania w języku niemieckim, sam zaś sposobił się do notowania zeznań w wersji polskiej.

- Nie jest to, co prawda, wymagane. Wystarczy protokół tylko w polskim języku. Ale będę miał pewność, że zeznania zapisane zostały dokładnie, a ten - ruchem głowy wskazał stojącego pokornie Niemca - nie będzie mógł zarzucić, że tłumaczenie jest niezgodne z jego zeznaniem. O, bo ja już miałem takie wypadki! Teraz u mnie grunt to dokładność. No, zaczynamy, panowie. Pójdź, tu bliżej! - zawołał do niespokojnie zerkającego na wszystkie strony starszego.

Komendant obejrzał stalówkę pod światło i dziobnął nią w kałamarz. Potem wycelował ją w Niemca.

- Imię? Nazwisko? Urodzony?

I wówczas tamten od razu, bez żadnego oporu, załamał się. Omal nie padł przed biurkiem na kolana. Złożył ręce jak do modlitwy.

- Powiem, wszystko powiem. Nie potrzebujecie mnie o nic pytać. Sam powiem wszystko, co wiem. I tak już teraz nie mam co ukrywać... Wszystko przepadło. Niech pan komendant zapisze dobrze, co powiem. Może się coś przyda, aby złapać tamtych, którzy zabrali skarb barona von Stromberga.

Hans Nelner ześrodkował strzelające na boki oczy w twarzy komendanta, jakby i wzrokiem chciał upewnić go o prawdzie swoich zeznań.

- Niech pan komendant pisze, co powiem...

- Dobrze, dobrze - uspokoił go. - Zapisane będzie wszystko, co powiesz. Tylko nie staraj się wprowadzić nas w błąd.

- Powiem - Nelner podniósł dłoń w górę, złożoną jak do przysięgi - czystą prawdę. Ja też chciałbym, aby pan komendant pochwyił tamtych rabusiów. To złodzieje! Niech im ten skarb nieszczęście przyniesie...

Za oknem rozległ się gwałtowny terkot motoru. Olejnik odjechał wraz z aresztantem. W hallu Tarłówko rozmawiał z kimś półgłosem.

- Byłem gajowym u barona von Stromberga - rozpoczął swe opowiadanie Nelner. - Baron długo się starał, abym nie poszedł na wojnę. Ale w połowie czterdziestego drugiego roku sam został zmobilizowany, a w parę dni po nim i mnie powołano do służby. Baron postarał się, że trafiłem do jego kompanii. Początkowo byliśmy we Francji i Norwegii. Dopiero pod koniec wojny von Stromberg został przerzucony na wschód. Ja byłem dwukrotnie ranny, baron zaś podczas okropnej klęski odwrotu nie był nawet draśnięty, choć się nie oszczędzał... Kiedy przekroczyliśmy Odrę, mówię Górną Odrę, baron dostał na kilka dni urlop do domu. Przyjechał tu wówczas i wyprawił żonę z synkiem pod Monachium, gdzie są rodzice pani baronowej, sam zaś wrócił do pułku. Cofaliśmy się z nim aż do Berlina, gdzie podczas pierwszych dni bitwy o Berlin baron został śmiertelnie ranny. Gdy pewnego dnia wróciłem z wypadu dla odparcia któregoś z kolei szturm, koledzy powiedzieli mi, że baron jest raniony i że wołał mnie kilkakrotnie...

Przyszedłem już właściwie za późno. Baron poznał mnie i chciał rozmawiać, ale śmierć szła prędko. Głos odmawiał mu posłuszeństwa, rwał się co chwilę jak słaba nitka. Tyle tylko zrozumiałem, że baron schował w kominku klejnoty, kosztowności różne i złoto, a także

ważne i cenne papiery. Prosił, abym Wydobył to i oddał jego żonie dla syna... Więcej domyśliłem się z jego opowiadania, niż usłyszałem. Przekrzykując straszliwy huk pocisków i wybuchów tego piekła, jakie się wtedy rozpętało, przekrzykując jego konanie, przyrzekłem baronowi, że spełnię jego polecenie... Umarł w tej piwnicy i w niej został pogrzebany pod gruzami domu, który się zwałił w naszych oczach, ledwo wyszliśmy na ulicę do ostatniego beznadziejnego kontraktaku. Zostaliśmy rozbici...

Udało mi się szczęśliwie uniknąć niewoli. Wróciłem w te strony i teraz dopiero stanąłem przed trudnym zadaniem. Baron powiedział mi, że skarb ukrył w kominku. W którym kominku? Było ich w tutejszych posiadłościach barona von Stromberga kilka, a nawet kilkanaście, bo pani, wychowana w Anglii, nie wyobrażała sobie mieszkania bez kominka i nawet w mieszkaniach wyższej służby pobudowane były kominki. W czasie wojny niektóre z tych mieszkań stały pustką, mógł więc i tam baron ukryć swój skarb. A nawet pewnie tam, dla niepoznaki. Ja wziąłem pod uwagę trzy miejsca: dwór barona w Altendorf, jego dworek myśliwski i tę leśniczówkę. Leśniczówkę dlatego, że tu przebywał brat pana barona, sparaliżowany i od lat tu mieszkający. On nie zamierzał na pewno nigdzie uciekać więc mógł baron oddać mu pod opiekę, choćby bezwiedną, swoje kosztowności i papiery. Niestety, brat pana barona nie przetrzymał wojennych przejść i umarł podobno...

- Podobno?

- Ano, ja nie wiem... Tak mi mówili tutejsi.

- Ty nie jesteś tutejszy?

Nelner łypnął ku Rafałowi spojrzeniem, którego błysku nie mógł ukryć.

- Ja... też. Tylko mnie wtedy nie było tutaj.

- Ten paralityk był takim sfanatyzowanym hitlerowcem, że kiedy już okrążone wojska niemieckie w nieustannych walkach zaczęły się wycofywać z tych stron i młody oficer przyszedł o tym powiedzieć choremu, ten na samo wspomnienie o odwrocie zastrzelił go. Żołnierze niemieccy, świadkowie tego wypadku, podziurawili jak rzeszoto tego półtrupa kulami automatów.

Nelner ruszył ramionami.

- Może i tak było, nie wiem...

- Opowiadajcie dalej - komendant prostował schodzące na boczne ścieżki opowiadanie Nelnera.

- Jak mówiłem, tych kominków, które wziąłem pod uwagę, było osiem. W Altendorf trzy, w dworku myśliwskim dwa i tu, w leśniczówce, trzy. Urządziłem się tak, aby pracować we dworze Altendorf. Dwór - sam pałacyk - był częściowo zburzony. Tylko parter został

nienaruszony. Tam były dwa kominki: w gabinecie barona i w salonie. Trzeci kominek, w buduarze pani, na piętrze, był zniszczony. Nikt się nie interesował rozwalonym i całkowicie ograbionym ze sprzętów, i wszystkiego co przedstawiało wartość, budynkiem. Pracując we dworze, nocami rozbierałem kominki. Jeden, potem drugi. Bez żadnych przeszkód rozebrałem oba. Żaden z nich nie ukrywał skarbu.

Kiedy zostałem przeniesiony do pracy przy wyrębie lasu - sam się do niej zgłosiłem, to było trzy miesiące temu - spostrzegłem, że o zachowanym skarbie barona wie jeszcze ktoś prócz mnie.

- Kiedy i w jaki sposób dowiedzieliście się o tym?

- Może dwa miesiące temu; tak, niecałe dwa miesiące... To było wtedy, gdy pan inżynier kazał nam zebrać poniewierające się na dworze kilofy, oskardy, młoty i inne narzędzia z kamieniołomów, porzucone w obrębie dworku. Złożyliśmy je w hallu. Wtedy zauważyłem, że kominek jest rozebrany...

- W hallu był kominek? - Rafał nie mógł ukryć zdziwienia.

- Tak. W hallu. Na prawo od wejścia.

- Tam stoi jakaś szafa czy kredens z wyrąbanymi drzwiczkami.

- Widocznie później postavili, żeby zamaskować. Nie stał tam wtedy, kiedy ja byłem. Zaraz - usiłował sobie przypomnieć - tak, był, ale stał na środku hallu. Myśmy go postavili pod ścianą, a narzędzia ułożyliśmy na środku. No i wtedy zmiarkowałem, że ktoś jeszcze poszukuje skarbu i wie również tyle co i ja: że skarb znajduje się w którymś z kominków. I też nie wie, jak go wydostać, nie zna dokładnie miejsca, bo po cóż by rozbierał cały kominek.

- Zaraz, chwileczkę - przerwał Rafał. - Mówiliście, że w dworku były dwa kominki, tak?

- Tak, dwa.

- Dobrze. A ten drugi kto rozebrał? Wy?

- Nie. Też tamci. Drugi był w narożnym, dużym po koju. Poszedłem tam i zobaczyłem, że i ten jest rozebrany. Myślałem wtedy, że skarb jest już odkryty i zabrany, ale dopiero gdy zauważyłem, że koło naszej leśniczówki kręcą się jakieś obce typy, zmiarkowałem, że i tam też skarbu nie było. Więc chcą go szukać tutaj...

- Zaraz pobiegliscie do narożnego pokoju zobaczyć, czy drugi kominek jest rozebrany? Jak tam weszliście?

- Jak to: jak? Zwyczajnie. Drzwiami.

- Ten pokój był zamknięty na klucz. A klucza nie było.

- Nie był zamknięty wtedy.

- Więc wy zamknęliście go potem?

Nelner poruszył szyją, jakby uciskał go ciasny kołnierzyk.

- Nie zamykałem. Tylko frontowe drzwi zamknąłem. A klucze oddałem panu inżynierowi. Związane wszystkie razem.

- Tego klucza na witce nie było. Jak więc wytłumaczycie, że ten pokój był zamknięty trzy dni temu, kiedy tam byłem?

- Nie wiem - Nelner przeciągnął dłonią po oczach. - Nie wiem. Może to tamci go zamknęli?

- Po co? Tajemnica nie była już im potrzebna, skoro kominek był rozebrany. Przypomnijcie sobie, może to jednak wy zamknęliście ten pokój?

- Nie, ja go nie zamykałem - powtórzył z uporem. - Na pewno. A klucze oddałem panu inżynierowi.

- Dobrze. Nelner, wy byliście starszym nad wszystkimi tu pracującymi robotnikami, Niemcami, tak? Mieszkacie razem z nimi. Wy wiecie, co każdy z nich i kiedy robi?

- No, tak - odpowiedział wolno i z namysłem. - Zawsze razem byliśmy...

- Może pamiętacie w takim razie, kiedy Johann Mossur reperował sobie buty?

- Co to ma do rzeczy! - zachnął się niecierpliwie komendant.

- Ma, komendancie.

- Nie wiem... - Nelner wodził rybimi oczami po wszystkich obecnych w pokoju, jakby od nich spodziewał się wytłumaczenia, do czego to wszystko zmierza.

- Nie wiecie? A przecież to wy braliście gumę podeszwową od inżyniera Gruzy właśnie na reperację tych butów.

- Tak, ja brałem. To było dwa tygodnie temu.

- Dobrze. Opowiadajcie dalej o tym skarbie w kominku.

Nelner zupełnie widocznie odetchnął, jak pływak, który minął niebezpieczny wir.

- I kiedy zmiarkowałem, że tamci zaczynają kręcić się koło naszej leśniczówki, to nie wiedziałem, co robić. Sam nie rozbioreę tych kominków, tak myślałem. I już miałem opowiedzieć panu inżynierowi o tym wszystkim. Żebyśmy razem szukali tego skarbu... Zawsze bym dla wdowy i dziecka pana barona chociaż część uratował. Ale zanim zdecydowałem się powiedzieć, tamci zabili Mossura. I już potem bałem się, żebym ja czasem nie został w to zamieszany... w to zabójstwo. Albo żeby mnie tamci nie zabili, tak jak Mossura...

- Mossur wiedział o skarbie?

- Tak, proszę pana komendanta. Ja mu trochę powiedziałem.

- Trochę? Ile? Co mu powiedzieliście?

- No, o tym skarbie, że tu jest i że musimy go odszukać.

- Znacie tego człowieka, który wskazał was dzisiaj? To Niemiec?

- Nie wiem. On mówił, że jest Polakiem. Nie znam go-

- Hm... nie znacie go? A dlaczego we wtorek mówiliście mu o baj z Mossurem o skarbie?

- Mówiliśmy, że już znaleziony. Że pan inżynier go znalazł.

- To wiem. Ale dlaczego mówiliście?

- Myślałem, że to jeden z tych, którzy poszukują tego skarbu. Powiedziałem, że już znaleziony, bo sądziłem, że nie będą już go poszukiwać, że się ich w ten sposób pozbędę. Ale oni są mądrzejsi. Nie dali się podejść i skarb zabrali.

Nelner westchnął i skończył swoją opowieść. Złożył ręce na brzuchu, splótłszy dłonie palcami. Przybrał minę i postawę skromnego wiejskiego proboszcza.

Do trzech zliczyć nie umie, biedactwo - pomyślał Rafał.

Zapanowało chwilowe milczenie. Komendant skrzypiał piórem po papierze, zapisując ostatnie słowa. Rafał nie notował zeznań Nelnera. Już po pierwszych paru zdaniach odłożył pióro. Teraz pilnie przyglądał się Nelnerowi, który siedział zadowolony z niewinną miną i spokojnym spojrzeniem, utkwionym w komendanta.

- Ano, dobrze - komendant odłożył pióro i odsunął się nieco z krzesłem od biurka. - Dobrze, pojedziecie z nami.

- Chwileczkę, komendancie - Rafał podniósł się i podszedł do Nelnera. - Ja chciałbym zadać mu parę pytań, jeżeli pan pozwoli.

- Proszę. I ja jestem bardzo ciekawy. Pan go miał tutaj na widoku.

- Słuchaj - Rafał położył dłoń na ramieniu Nelnera - co robiłeś w ubiegłą niedzielę, dokładnie tydzień temu, wieczorem w lesie?

- Nie byłem wieczorem w lesie, panie. Nigdy wieczorem nie wychodzę ani do lasu, ani nigdzie. Mogą to zaświadczyć inni. Zawsze razem jesteśmy.

- Świadczył się Cygan swoimi dziećmi! Dobrze, a jak mogłeś, nie będąc w lesie, strzelać stamtąd do mnie? No, nie chciałeś mnie zabić, o to cię nie oskarżam, ale strzelałeś dwukrotnie w lesie i krzyczałeś. Poznałem twój głos.

Nelner zacisnął ręce mocno, aż kciuki pobielwały.

- Nie wiem, panie. Nie wychodziłem. Inni mogą to zaświadczyć.

- Tak? W porządku - Rafał wyjął z kieszeni duży, bardzo solidny scyzoryk i ważył go na dłoni. - A powiedz mi, czyj to jest nóż i co nim robiłeś ostatnio, zanim ci zaginał?

- Nie wiem, panie - Nelner mówił wolno, oddzielając pauzami słowo od słowa. - To nie mój nóż. Nie wiem, czyj on jest...

- Nie wiesz? A jak to wytłumaczysz, że były na nim odciski właśnie twoich palców, jako ostatniego, który miał go w rękach? I to, że była na nim krew koguta, którego zarżnąłeś w lesie?

Badany nie odpowiadał, siedział z opuszczoną głową i milczał. Komendant wziął z ręki Rafała scyzoryk, przyglądał mu się dłuższą chwilę i położył na biurku przed sobą. Spojrzał na milczącego Nelnera.

- No?

- Dobrze, panie, powiem. Zarżnąłem nim koguta. To mój nóż. Chciałem ugotować rosół. Prawie nigdy mięsa nie mamy. Ale potem zląkłem się i koguta podrzuciłem psu. Że to niby on zagryzł... A koguta i tak dostaniemy, bo przecież pan inżynier takiego jadu nie będzie. I nawet tak się stało... Ale ja nie strzelałem. Ja zabiłem tego koguta jeszcze przed wieczorem.

- Janowa zaś twierdzi, że widziała koguta na grzędzie już dobrze o zmroku, gdy doła krowę i robiły z Trudą wieczorny obrządek.

- Więc jak? - wtrącił się komendant. - Byliście w lesie?

Oczy zeznającego straciły swój poprzedni niewinny i pogodny wyraz. Biegały z przedmiotu na przedmiot, na wszystkie strony, jak oczy osaczonego zwierzęcia, które szuka wyjścia z matni.

- Nie byłem, panie komendancie.

- Gdzie zarżnąłeś tego koguta?

- Za... - namyślał się chwilę, lecz znać było, że to nie jest przypominanie, lecz zastanawianie się nad tym, jak powiedzieć, aby było korzystniej. - Za oborą, na kupie kompostu - powiedział wreszcie.

- A jak wytłumaczysz to, że krew koguta, która była na twoim scyzoryku, znalazła się także w lesie, zaraz na brzegu, rozlana pod drzewem? O, widzisz - Rafał wyjął z kieszeni list w niebieskiej kopercie - w tym liście są wyniki analizy, jaką robił uczoney, który orzekł, że to jest ta sama krew. Umiesz czytać po polsku? Szkoda, mógłbyś sobie przeczytać.

- Nie wiem, panie...

- Dlaczego strzelałeś z lasu do mnie?

- Nie byłem w lesie, panie.

- A gdzie masz broń?

- Nie mam broni, panie.

Widać było, że nic już nie wydobędzie się z Nelnera. Opuścił głowę i z uporem przeczył wszystkiemu. Komendant, zniecierpliwiony, chciał już zakończyć badanie, porządkował papierki.

- Jeszcze chwileczkę cierpliwości - poprosił Rafał. -

Zaraz wrócę...

Poszedł do swego pokoju i wrócił z niewielkim kłębkem sznurka. Za Rafałem wsunął się do gabinetu Tarłówko.

- Ja bardzo panów przepraszam... Panowie sobie gawędzicie, no to bardzo miło, ale ja już, niestety, muszę pójść. Wieczór nadchodzi... Chciałem się pożegnać. Ja chyba nie jestem panu komendantowi potrzebny?

Nie zatrzymywany, zaczął się żegnać i z rozmachu nawet Nelnerowi podał rękę, ale zorientowawszy się, odskoczył jak oparzony.

- O, przepraszam! No, to ja już idę... Panowie są jeszcze zajęci...

- Zaraz skończymy. Niech pan jeszcze poczeka - usiłował zatrzymać go Tomasz. - Napijemy się kawy.

- O, dziękuję bardzo. To może innym razem skorzystam z zaproszenia. Teraz spacerkiem sobie pójdę. Wolę wieczorem nie chodzić, nie znam jeszcze okolicy. - W ukłonach wysunął się z gabinetu.

Rafał podszedł do Nelnera, który siedział zgaszony, apatyczny.

- Kiedy rozbierałeś z Mossurem kominek w dworku myśliwskim?

- Nie byłem tam, panie, jak tylko wtedy, kiedy zbieraliśmy narzędzia.

Rafał przyklęknął przed Nelnerem i przyniesionym sznurkiem wymierzał podeszwę jego buta. Podniósł się.

- W porządku. Tam było kilka śladów. Z tych ślady Mossura i twoje są zidentyfikowane. Pasują jak ulał. A Mossur był tam już po reperacji butów.

- Ja nie byłem, nie wiem. Butów takich mogą być tysiące.

- Dobrze. Von Stromberg był w SS, więc i ty jesteś esesmanem?

Nelner oblizał językiem zeschnięte nagle wargi.

- Baron był w SS?... Może, nie wiem... Baron był w SS, ale służbę odbywał w Wehrmachcie. Ja nie byłem w SS...

- Lepszy gość! - komendant fałszywie zagwizdał kilka taktów jakiejś piosenki i otworzył swoją pakowną teczkę.

- Od kiedy służyłeś u Stromberga? - badał dalej Żychoń.

- Od... od dawna.

- Jako gajowy?

- Tak... gajowy.

- Na której gajówce? Tu są trzy. No?

Ale Hans Nelner nieczuły był na popędzanie. Zacisnął szczęki, aż na twarzy wystąpiły gruzłowate narośla. Ręce, trzymane dotychczas na kolanach, złożył i splótł palcami, aby nie było znać ich drżenia.

- Ja nie byłem na gajówce... Byłem w Altendorfie, we dworze.

- Tutejsi ludzie...

- Tutejsi ludzie mnie nie znają. Ja byłem gajowym u rodziców pani von Stromberg w ich majątku pod Monachium. Stamtąd poszedłem z baronem na wojnę. A tutaj zacząłem pracować od stycznia czterdziestego czwartego roku. Ja... zdezerterowałem z frontu wschodniego... Z wiedzą pana barona... I tutaj zacząłem pracować jako gajowy... Mnie poszukiwało gestapo.

- Aha, to ty walczyłeś z Hitlerem? Przeciwny byłeś faszyzmowi, co?

Nelner niezdecydowanie kiwnął głową. Niby się przyznawał, niby nie.

- Ho ho! Zasłużony człowiek! - Rafał podsunął sobie ciężkie wyściełane krzesło i usiadł naprzeciwko Nelnera. - Panie Nelner, pan przecież jest inteligentny człowiek, z wykształceniem. Pracował pan u teściów Stromberga jako leśniczy, tak? Nie gajowy...

- Nie, nie gajowy... Istotnie, jako leśniczy.

- A gajowym pan był tutaj dopiero, co? Dostał pan takie zaświadczenie od brata barona von Stromberga, od tego paralityka?

Nelner kiwnął głową potwierdzająco.

- Czy on też wiedział, że pan zdezerterował?

- Nie. Jemu baron zakazał mówić.

- Tak się spodziewałem. Wiedziałem, że pan tak odpowie - Rafał był wyraźnie czymś ucieszony. - Doskonale się składa. I co pan robił w Altendorfie jako gajowy?

- Zajmowałem się... lasem. Dużo było spraw, bo lasy von Stromberga są spore... Zajmowałem się lasem ogólnie, całością.

- Lasem... - powtórzył Żychoń. - Hm. A czy - pochylił się ku Nelnerowi i wparł spojrzenie w jego zestrachane oczy - czy nazwisko Hans Linke jest panu znane?

Nelner zerwał się z krzesła, zamachał rękami i krzyknął nie swoim, jakimś piskliwym głosem.

- Nie, nie! Dajcie mi spokój! Nie męczcie mnie dłużej - potem, nagle uspokoił się, usiadł na krześle, objął głowę rękami. Po chwili podniósł na Rafała oczy, z których znikł wszelki wyraz.

- Linke? Tak, znam to nazwisko. Był taki kompozytor.

Rafał zwrócił się do komendanta.

- Dziękuję. Ja już nie mam pytań.

Komendant wezwał milicjantów, oczekujących w hallu. Otworzył swoją pakowną tekę i wyciągnął kajdanki.

- Chłopcy, weźcie tego ptaszka pod swoją opiekę. Aha! Wieczorek, znaleźliście co?

- Nie, obywatelu komendancie. Szukaliśmy wszędzie. Gdy milicjanci wyprowadzili Nelnera, komendant wziął leżący na biurku list w niebieskiej kopercie z nadrukiem Zakładu Medycyny Sądowej.

- Przecież tu piszą, że wyniki analizy będą nadesłane - spojrzał pytająco na Rafała.

- No tak; badanie krwi, aby stwierdzić jej pochodzenie zwierzęce czy ludzkie, trwa najmniej czternaście dni, ale przecież Nelner o tym nie wie.

- To i o odciskach też nie wiedział, że ich nie było - zaśmiał się komendant. - Ale niech mi pan powie, po co on to wszystko robił?

- Co?

- No, te historie z kogutem, krwią, strzelaniem.

- Chcieli mnie wystraszyć. Chcieli mi pokazać, jak to oni umieją załatwiać się z przeciwnikiem. Krew wywiera wielkie wrażenie na ludziach nerwowych. Ale ja nie jestem nerwowy.

- Dobrze że ten Tarłówko przyszedł - odezwał się milczący dotąd Gruza. - Gdyby nie on, to może do tego czasu szukalibyśmy tej szkatułki. Ale swoją drogą, męczący dzień mieliśmy.

- O, męczący, psiakrew! - odsapnął komendant.

- A dlaczego się pan sierdzi? - zapytał Rafał. - Pańskie hipotezy sprawdziły się co do joty.

- Za bardzo wszystko pasuje w tym zegarku. Nic lubię takich piosenek, co się same składają.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Porucznik Hubert Górny nudził się. Dobry urzędnik nie powinien nudzić się w czasie urzędowania. Ale w tym sęk właśnie, że Hubert nie był dobrym urzędnikiem, przynajmniej z punktu widzenia starych, zasuszonych nad aktami biurokratów i ich młodych naśladowców.

Wprawdzie charakter urzędowania Huberta był daleki od biurokratyzmu, niemniej każde urzędowanie wymaga pewnych form, które czasem mogą znudzić najbardziej zdyscyplinowanego urzędnika.

I dziś, siedząc nad jakimś aktem, który powinien być koniecznie na jutro „wygotowany”, porucznik Górny z tęsknotą spoglądał w okno, na zalane słońcem dalekie przestrzenie i rzekę, błyszczącą jak wstążka cynfolii, nalepiona na plastyczną mapę podmiejskiej okolicy. Ponadto miał Hubert dodatkowy powód, aby czuć się dziś znudzonym i pokrzywdzonym - była to mianowicie niedziela i każda chwila spędzona nad nudnym sprawozdaniem skracała czas zasłużonego odpoczynku.

Okno było szeroko otwarte na ogród z trzech stron otaczający budynek, w którym Górny dzisiaj pracował w zastępstwie chorego kolegi. Wysokie drzewa pięły się na wysokość trzeciego piętra, a ich młode, soczystą zielenią nabrzmiałe liście drżały od leciutkich podmuchów wiatru i mieniły się w słońcu. Ptaki tysiącem głosów ćwierkały i świergotały w gęstwinie listowia i te ptasie rozmowy wydały się porucznikowi przyczyną jego niechęci do pracy, którą miał dzisiaj wykonać. Podszedł tedy do okna, aby je zamknąć, lecz wychyliwszy się przez parapet, pozostał tak dłużej, niż zamierzał. Na dole wędły pokosy świeżo ściętej trawy. Jej łagodny i przenikliwy zapach wzbijał się aż tutaj, na wysokość trzeciego piętra.

Porucznik miał przez chwilę nieprzemądną chęć wybiec ze swego pokoju i położyć się na takim pachnącym pokosie w cieniu wielkiego kasztana. Przemógł jednak tę niepoważną chętkę i odszedł od okna, nie zamykając go. Z nienawiścią spojrzął na biały prostokąt papieru, który cierpliwie czekał, aby go wypełnić.

- Psiakrew! Ja tego chyba dzisiaj nie napiszę - stęknął, siadając za biurkiem.

Napisał jednak i wbrew swemu spodziewaniu napisał dobrze. Z poczuciem spełnionego obowiązku oddał pracę, zjadł naprędce przyrządzone obfitsze nieco drugie śniadanie i przebrawszy się w cywilny garnitur wyszedł na swoją od wczoraj planowaną wycieczkę.

Chcąc dostać się do rzeki najkrótszą drogą, należało pójść przez rozległe zwaliska śródmieścia. Cicho tu było i spokojnie. Gdzieniegdzie tylko przemykał się rzadki przechodzień, gdzieniegdzie grupka cywilnych Niemców z białymi przepaskami na rękawach usuwała gruz z jezdni i chodników, pracując w tempie trzy cegły na godzinę.

Upał tu panował nieznośny, choć słońce pochyliło się już z południa. Nagrzane grzyby wydychały duszny, przytęchły żar. Hubert przystanął w cieniu ułamka jakiejś bramy, aby nieco odetchnąć, gdy zauważył, że ulicą, a właściwie ścieżką między ścianami płytkiego

wąwozu gruzów, idzie naprzeciwko tęgi, wysoki mężczyzna. Przez lewe ramię przerzucony miał czarny ceratowy płaszcz, a w prawej dłoni dzierżył wielką teczkę.

Hubert cofnął się o krok, bezwiednie obserwując idącego. Tamten rozglądał się ciekawie na wszystkie strony i zatrzymywał się co chwila, jakby się dziwił ogromowi zniszczeń. Ciężkie to widać były myśli, jakie się z tego patrzenia i podziwu rodziły, bo nieznajomy szedł coraz wolniej, coraz częściej przystawał i coraz baczniej się rozglądał.

Doszedłszy na kilkanaście kroków do Huberta przechodzień zatrzymał się, postawił teczkę na ziemi i wyciągnął z kieszeni chusteczkę. Otarł zaczerwienioną i spoconą twarz, rozejrzał się jeszcze raz dokoła i przysiadł na fragmencie jakiegoś filaru. Odsapnął głośno, jakby z wielkiego zmęczenia. Z górnej kieszeni marynarki-frencza wyjął papierosa i zapalił. Dym rozpląwał się powoli w nieruchomym, nagrzanym powietrzu.

Szabrownik pewno jakiś lub osiedleniec - pomyślał Hubert i już miał opuścić swoją kryjówkę, gdy naraz posłyszał dochodzący skądś spośród ruin słaby gwizd. Nieznajomy podniósł głowę i spojrzał bystro w kierunku” skąd rozległ się gwizd. Po krótkiej chwili sygnał - teraz już Hubert nie wątpił, że to był sygnał - powtórzył się znowu. Kilka taktów jakiejś piosenki. Nieznajomy wstał i odpowiedział takim samym sygnałem.

Wówczas ze szczeliny między gruzami wyszedł młody człowiek, w którym Hubert ku swemu zdziwieniu poznał ogrodnika, koszącego dziś rano trawę w ogrodzie. Ogrodnik zatrzymał się obok nieznajomego.

- Co pan tu robi?

- Szukam dobrej cegły na nowy dom.

Pytanie i odpowiedź padły w języku niemieckim.

- Tu pan dobrej cegły nie znajdzie.

- Słyszałem, że jest dobra cegła w N.

- Samochód będzie o piątej z Friedrichstrasse 25. Nie podnosząc rąk, wymienili hitlerowskie pozdrowienie i rozeszli się w przeciwne strony.

Hubert spojrział na zegarek. Wskazywał dwadzieścia po drugiej. Należało się śpieszyć. Friedrichstrasse leżała w dość odległej dzielnicy willowej, a chciał jeszcze przedtem „zabezpieczyć” ogrodnika, który niewątpliwie może udzielić nieco informacji o swym rozmówcy, który tak pilnie poszukuje „dobrej cegły na nowy dom”.

*

Przy Friedrichstrasse - nie wszystkie ulice Wrocławia miały wówczas już polskie nazwy - pod numerem 25 mieściły się magazyny i składy wielkiej firmy spółdzielczej, prowadzącej ożywiony handel na terenie całego Dolnego Śląska. Hubert zdążył dosłownie w

ostatniej chwili. Wielki Dodge wraz z przyczepą naładowany towarem wyjeżdżał właśnie z bramy. Rozpoczął się zwykły w tych warunkach dialog, w wyniku którego Hubert usadowił się na górze pak, spiętrzonych na przyczepie. Usiadł obok konwojenta, którego łaskę zaskarbił sobie amerykańskim papierosem.

- Dlaczego pan nie w szoferce? Wygodniej tam przecież siedzieć niż tutaj na tych skrzyniach.

Konwojent ruszył ramionami.

- Tam jakiś grubszy szabrownik jedzie. Znajomy, widać, szofera albo mu dobrze zapłacił, bo zaraz mu miejsce obok siebie zrobił. A mnie tu nawet wygodniej. Powietrze, panie, widok. No i towaru łatwiej dopilnować.

Jego troskę o pilnowanie towaru zmorzył niebawem mocny sen, z którego nie budziły go liczne wstrząsy ani głośne rozmowy zabieranych po drodze „łebków”. Hubert, patrząc na jego zdrowy sen, pomyślał, że konwojent musi mieć czyste sumienie albo nie ma pcheł... Sam zresztą zaczął wkrótce podzemywać, droga dłużyła się, nie interesowały go rozmowy prowadzone przez przygodnych współtowarzyszy, dotyczące handlu, szabru i sposobów przewiezienia łupów do Polski Centralnej. Miał pewność, że aż do N. człowiek, którego śledził, nie wysiądzie.

Zapadał już mrok. Niebo, rozjarzone jeszcze na zachodzie zorzą, zawłóczyło się na wschodniej stronie sinym welonem zmierzchu. Minęli jakieś miasteczko. Nisko nad horyzontem występowały garby wzgórz, pokrytych lasem.

Naraz wśród pasażerów podniosły się krzyki. Jeden z nich targał za ramię konwojenta, usiłując go obudzić.

- Panie! Co jest, do cholery? Gdzie wy nas wieziecie? Przecież Z. zostaje na prawo! Gdzie on skręcił?

Konwojent podniósł nieco powiekę znad prawego oka.

- Hę? Co?

- Jak on jedzie? Gdzie nas wiezie? Po co on skręcił?

- Dobrze jadziem...

- „Dobrze jadziem” - powtórzył z przekąsem gruby „łebek”. - Ale gdzie „jadziem”?

Zatrzymaj pan tego swojego szofera. Zwariował, czy co?

Wjechali w ciągnący się po obu stronach drogi las.

- Powinniśmy dojeżdżać do Z. o tej porze. A gdzież ma pan taki las przed Z.? No, niech pan patrzy?

Teraz już i konwojent zmiarkował, że coś nie jest w porządku. Rozbudził się na dobre. Ale i on nie miał możliwości bezpośredniego skomunikowania się z szoferem, siedzieli bowiem w przyczepie, a warkot motoru i hałas pojazdu głużył krzyki.

- Radź pan coś, panie obywatelu - nalegał grubas. - Diabli wiedzą, gdzie zajedziemy!

- Nie ma się co bać - uspokajał konwojent. - Szofer nie zbłądzi. To tutejszy Niemiec, drogę zna jak własną kieszeń.

- Toś pan nas pocieszył! - zawołała tęga, czerwona na twarzy babina, obłożona dokoła tobołami, typowy okaz drobnej szabrowniczki. - Ni ma się co bać, powiada, bo to Niemiec. A jak nas taki szkop zawiezie gdzie w jaką dziurę i wymorduje? Co tam takiemu! O polskich ludzi mu nie chodzi. - Pozgarniała swoje tobołki i usiadła na nich, okrywając je szeroką kiecką, niby kwoka piskłeta skrzydłami. Krzekorzyła dalej, ale mało kto zwracał na nią uwagę.

Wszyscy jednak byli zaniepokojeni. Niecierpliwi próbowali dostać się z przyczepy na samochód, okazało się to jednak niemożliwe.

- No, zróbże pan coś! Mu tu siedzimy bezradni, a tamten jedzie i jedzie. Może naprawdę pobłądził? Trzeba by mu jakoś dać znać...

- Jak będziemy z górki jechali, a on zgasi motor, to trzeba krzyczeć. Teraz nie usłyszy.

- Konwojent nie przejmował się niepokojem pasażerów. Miał usposobienie filozofa ze szkoły stoików.

- He he! Kiedy górka będzie! - zawołała znów babina obłożona tobołami. - A jak górki nie będzie, to mamy tak jechać na koniec świata może, co?

- To się pani powieś - poradził znudzony sporami konwojent rozsierdzonej kobiecie. Ani przeczuwał w swym filozoficznym umyśle gromów, jakie ściągnie na swoją głowę nieostrożnymi słowami. Baba wprawna była w gębie, a posiadany zapasem słówek nie ustępowała najbardziej pyskatej przekupce.

Hubert nie wtrącał się do sporów. Było mu wszystko jedno, dokąd jedzie, byleby nie stracił kontaktu z osobnikiem, którego śledził.

Niespodziewanie zupełnie, choć w myśl życzeń większości pasażerów, szofer zahamował i przystanął. Na moment. Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, wóz znów ruszył. Podniósł się krzyk. Paru mężczyzn wyskoczyło z przyczepy i teraz biegli za samochodem. Byliby zostali na drodze, na szczęście kierowca posłyszał okrzyki i przystanął powtórnie. Hubert z innymi podbiegł. Miejsce obok kierowcy było puste.

Górny był przekonany, że śledzony osobnik musiał tutaj wysiąść. Hubert uskoczył za samochód i pod jego osłoną przebiegł drogę. Przyczał się za pierwszym z brzegu drzewem.

Słyszał, jak szofer tłumaczył się, że musiał dokonać objazdu, bo droga była zamknięta dla ruchu. Pasażerowie zajęli swoje miejsca, wóz ruszył i po chwili Hubert został w lesie sam na nie znanej sobie drodze. Właściwie nie powinien być sam... Gdzież podział się człowiek, którego śledził?

Na drodze było jeszcze dość widno. Od dopalających się czerwonych zórz i miedzianego kręgu księżycy gładka asfaltowa nawierzchnia pobłyskiwała i mieniła się w oddali jak woda. Lasem mrok już ciągnął, rozwłóczył się między pniami młodych sosen i świerków niby dym i piał się coraz wyżej ku w bezruchu trwającym koronom. Była cisza zupełna. Gdzieniegdzie ptak jeszcze zaświergotał sennie.

Hubert, latami partyzantki zżyty z lasem, oczekiwał od niego wskazówki, gdzie ukrywa się, co robi człowiek, który wyskoczył z szoferki samochodu. Po przeciwnej stronie drogi, trochę już w głębi lasu, rozległ się trzask złamanej gałązki, później, nieco na lewo od tego miejsca, wrona poderwała się z drzewa, kracząc płochliwie. Przebiegł drogę i ruszył w kierunku tych odgłosów. Po przejściu kilkudziesięciu kroków natrafił na drożynę leśną, biegnącą ukosem od szosy. Przyśpieszył kroku. Nikogo nie widać. Gdzież się tamten przycisnął? Czyżby zauważył, że jeszcze ktoś oprócz niego został po odejździe samochodu?

Pomiędzy drzewami zamigotał nikły ogień. I zaraz zgasł. Ktoś zapalił zapalniczkę. Hubert posunął się jeszcze kilkadziesiąt kroków. Aha! Ścieżka tutaj skręcała pod kątem prawie prostym i biegła dość stromo pod górę. Na jej tle i ujrzał szybko poruszającą się masywną sylwetkę człowieka w ceratowym płaszczu.

Szedł spiesznie, często potykając się o wystające korzenie, których pełno było na wąziutkiej drożynie, wijącej się między wysokimi drzewami. Znał widocznie drogę lub miał ją objaśnioną dokładnie, bo gdy w pewnym miejscu drożyna rozwidlała się na dwie odnogi, bez wahania skręcił w prawo. Niebawem las prześwitywać począł rzadziwą pobrzeża i po krótkim marszu oczom ich ukazała się obszerna polana.

Hubert przystanął niezdecydowany. Nic mógł ryzykować wyjścia na otwartą przestrzeń, gdzie łatwo zostałby zauważony. Na szczęście człowiek idący przed nim zбочzył w lewo, gdzie wtulony w otaczający go z trzech stron las, stał ciemny, wysoki budynek, pogrążony całkowicie w mroku, pusty na pozór i martwy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gruza, otworzywszy drzwi do stołowego pokoju, stanął na progu zdumiony. Rafał stojąc na krześle dłubał z zapalniczką dziurę w ścianie, aż tynk pryskał na wszystkie strony.

- Co ty tam wyprawiasz?

- Akademię ku czci...

- Zwariowałeś?

- Niezupełnie. Pod sekretem ci się przyznam, że trochę to jestem wariat. Tylko nie mów nikomu.

- Powiem tylko Joasi. Wystarczy?

- Wystarczy, żeby cię zamordować.

- Naprawdę, Rafał, dlaczego psujesz ścianę?

- Co za paskudna niemiecka tandeta! Byłem pewny, że to solidna, murowana ściana, a to marne przepierzenie robione na pruski mur. Dlatego mam więcej dłubaniny.

- Ale po co ty to robisz?

- Musisz tu później jakiś landszaft powiesić, żeby zakryć tę dziurę. No, nareszcie! - Zeskoczył z krzesła, trzymając coś w palcach prawej ręki. Podeszedł do okna, aby dokładniej przyjrzeć się trzymanemu przedmiotowi.

- Dziewiątka. To jedyny możliwy kaliber. Ja innego nie uznaję i przynajmniej na tym punkcie zgadzam się z moim przedmówcą.

- Ach! Wyjmowałeś tę kulę! - zawołał Gruza, widząc rezultat Rafałowych zabiegów.

- Przerażasz mnie swoją domyślnością, Tomciu.

Słońce, mocno już pochylone nad horyzontem, poczerwieniało zachodem, a długie, pierzaste cienie drzew nakrywały zwolna przestrzeń między lasem i obejściem leśniczówki. Szedł pogodny czerwcowy wieczór. Wysokim niebem wędrowały białe chmurki, między którymi blada tarcza księżycy wydawała się małym kolistym obłoczkiem. Tomasz odszedł od okna i usadowił się wygodnie w miękkim, obszernym fotelu.

- Zmęczony się czuję dzisiaj - sapnął.

- Jesteś nie tyle zmęczony, co senny. Ja chyba znowu Janową o kawę poproszę.

- Jak od udoju przyjdzie. Poszły z Trudą do obórki.

- To ja sobie tymczasem jeszcze tamten pocisk wygrzebię. Ten, który Mossura-Mazura miał rozłupać. Ja Nelnerowi udowodnię, że on i do mnie, i do Mossura...

- Mój drogi, dziewiątką nic nie udowodnisz. Dziewiątką możesz strzelać z polskiego Visa, niemieckiego Parabellum, austriackiego Steyera, z pepeszy, ze Stena i z dziesiątka innych armat. A poza tym, co ci za gwałt? Jutro to samo zrobisz.

- Co masz zrobić dzisiaj... - Rafał podniósł kaznodziejsko rękę do góry, zabrał ze sobą dłutko i poszedł do gabinetu Tomasza.

Kula utkwiała w szparze między kaflami. Kafle były starej roboty, kolorowe, wytłaczane w roślinne i zwierzęce wzory. Pocisk przeszedł, skruszywszy rogi dwóch górnych i środek krawędzi dolnego kafla. Rafał dłutkiem sondował głębokość, w jakiej utkwiała kula.

- Cóż, trzeba będzie dwa kafle nieco popsuć. Osadził dłutko pewniej w otworze, nacisnął ukosem na górny kafel, chcąc go podważyć. Ani drgnął. Nacisnął silniej - emalia zaczęła się kruszyć. Szkoda mu było barbarzyńsko niszczyć stare, piękne kafle. Obrócił dłutko i przeniósł nacisk na dolny kafel. Dłutko uchylało się, ulegało. Zwiększył nacisk i ze zdziwieniem zauważył, że dolny kafel, opornie wprawdzie, ale zagłębia się w ścianę, górny natomiast pozostaje niewzruszenie na swoim miejscu. Skutek wprost przeciwny zamierzeniu. Wyjął dłutko i kafel natychmiast powrócił na dawne miejsce.

- Ou, coś tu jest!

Już nie dłutkiem, ale dłonią nacisnął powierzchnię kafla, który jął powoli ustępować pod naciskiem, zagłębiać się w ścianę tworzącą prawe skrzydło kominka. Jednocześnie spośród ciężkich płyt marmurowych, wykładających od podłogi podstawę kominka, jedna odchyłała się, odsłaniając ściankę ze zwykłych czerwonych cegieł.

Ścianka ta widocznie maskowała tylko istniejące poza nią zagłębienie, gdyż przy stukaniu w nią wydawała głuchy odgłos pustej przestrzeni. Rafał próbował wzmocnić nacisk. Nie szło jednak. Ani kafel dalej się nie zagłębiał, ani ścianka nie ustępowała.

- Psiakrew!

Znowu gdzieś tam tkwił ukryty mechanizm, który strzegł sezamu... Rafał cierpliwie próbował wszystkich kafla. Bez skutku. Nie w nich widocznie tkwił sekret. Dopiero pochylając się nad paleniskiem, bo i tam zajrzał wiedziony pasją poszukiwania, zauważył niewielki rygielek. Odsunął go i oporna dotychczas ścianka ustąpiła. W dość głębokiej niszy, którą zakrywała, leżała podłużna puszka metalowa. Rafał ostrożnie ujął ją w dłonie. Była dość ciężka. Widocznie szczelnie wypełniona, bo przy potrząsaniu nic się wewnątrz nie przesunęło, nic nie obijało o ścianki.

Co tam może być w środku? Skarb von Strombergów?! Przecież skarb, w który Rafał zresztą nie wierzył, został rzekomo zabrany poprzedniej nocy! Poza tym jak na tak poszukiwany skarb puszka była za mała, za lekka.

Jak ją otworzyć?

Przykrywka zamykająca puszkę była szczelnie przylutowana do jej ścianek. Nic łatwiejszego jak nożem od konserw odkroić wierzch. Proste i jasne. Potrząsnął triumfalnie puszką.

Damy ci radę!

I wówczas zdało mu się, że posłyszał, jakby wewnątrz coś zabulgotało delikatnie. Przechylał puszkę we wszystkie strony. Naturalnie. Nie ulegało wątpliwości, że wewnątrz był

płyn. Ale jaki płyn? Czy baron von Stromberg tak troskliwie w tajemniczym schowku chował zapas soku grapefruitowego? pomidorowego? Nonsens.

Przyszedł mu na myśl list Hugo Stromberga do sparaliżowanego brata, przebywającego właśnie tu, na tej leśniczówce. „Twój genialny memoriał”... „Zbiorcze opracowania” czegoś, czym interesowały się najwyższe czynniki. Rafał cał po calu oglądał ścianki metalowej puszk. Przy nasadzie wieczka wyczuł dłonią nieznaczną chropowatość. Przyjrzał się dokładnie. Mała kropelka cyny. Na przeciwległej ścianie puszk, przy dnie, zauważył drugą taką samą kropelkę.

- Aha! *Da liegt der Hund begraben!* - ucieszył się. Naturalnie. Najmniejsza nieostrożność przy otwieraniu puszk spowodowałaby zniszczenie zawartości. Rafał miał nieco doświadczenia w tych sprawach.

Podważył szczyrkowiem ową kropeczkę cyny na wieczku, potem tę drugą przy dnie puszk. Odeszły bez trudu. Z otworu przy dnie cieniutką nitczką wypłynęła bezbarwna ciecz, która w zetknięciu z powietrzem zapłonęła jasnym płomieniem. Kilka kropel, jakie wskutek nieuwagi Rafała padły na dywan przed kominkiem, wypaliły dużą czarną dziurę w grubej tkaninie. Rafał spieszenie skierował strużkę płonącej cieczy do paleniska kominka.

Po całkowitym i dokładnym wysączeniu płynu śmiało podważył dłutkiem wieczko puszk. Teraz już nie miał obawy. Po chwili wieczko odskoczyło i Rafał przekonał się, że zgodnie ze swym przewidywaniem, nieostrożne, niewłaściwe otwarcie puszk spowodowałoby oblanie jej zawartości samozapalającym płynem i zniszczenie jej. Pogratulował sobie ostrożności, wyciągając twardo zwinięty rulon papieru.

Plany, schematy, wykresy... Ciasno zapisane drobnym maczkiem literek i cyfr arkusze... I wielki tytułowy napis na pierwszej stronie:

FALL WOLF „Plan Wilka”!

Zmrok już się wsączał do pokoju i zasnuwał sprząty pajęczyną, najgęściej namotaną w kątach i zakamarkach. Rafał przeniósł swą zdobycz na biurko. Zaświecił stojącą lampę i opuścił żaluzje na okna. W ostrym świetle silnej żarówki jaskrawo wystąpiły na bieli papieru czarnym tuszem wykaligrafowane litery:

FALL WOLF

Piekielny plan zniszczenia.

Chodziły o nim wieści, urywkowe wiadomości czerpane z zeznań co wyższych i bardziej wtajemniczonych przywódców hitlerowskiego podziemia, byłych oficerów SS. Nikt jednak nie znał jego rozmiarów, nikt nie potrafił o nim powiedzieć konkretnie. Podczas wojny, kiedy klęska Hitlera stała się już jasna, wywiad faszystowski polecał specjalistom

opracować plany dywersji i zniszczeń poszczególnych obiektów przemysłowych i komunikacyjnych, ale co z nimi się stało - nie umiał nikt powiedzieć.

Żychoń, który działalnością hitlerowskiego podziemia interesował się żywo - nosił się bowiem z zamiarem napisania książki na ten temat - posiadał pewien zasób wiadomości, czerpanych z rozpraw sądowych przeciwko coraz częściej likwidowanym organizacjom podziemnym na Ziemiach Zachodnich, z kontaktów z pracownikami władz bezpieczeństwa; znał też pogłoski o istnieniu „Planu Wilka”. I chociaż te pogłoski odpowiadały jego fantazji twórczej i mogłyby stać się doskonałą kanwą planowanej powieści, jednak nic traktował ich zupełnie serio.

- Rafał! Upominałeś się o kawę, a teraz szukać cię trzeba. - Tomasz ze zdziwieniem przyglądał się rozrzuconym na biurku papierom. Przeniósł wzrok na kominek, poczuwszy przykrą woń spalonej wełny. U podstawy kominka widniała prostokątna dziura...

- I ty już kominki rozwalasz!?

Okrzyk Tomasza przywołał Rafała do przytomności. Oderwał oczy od papierów.

- Rzeczywiście, trzeba to doprowadzić do porządku. - Podeszedł do kominka, zasunął ściankę i opuścił płytę marmurową na swoje miejsce. Kafel automatycznie powrócił do pierwotnego położenia. Gdyby nie wypalona dziura w dywanie, Tomasz byłby pewny, że rozwalony kominek śnił mu się tylko.

Rafał pociągnął Gruzę do biurka.

- Patrz! Widzisz? Wiesz, co to jest? - wskazał rozrzucone papiery. - Plan Wilka! Legendarny Plan Wilka, o którym nawet przywódcy Wehrwolfu nie wiedzieli, czy istnieje naprawdę, czy jest tylko wymyślony „dla pokrzepienia serc” srodze na wojnie zawiedzionego Herrenvolku. Tu jest! Leży przed tobą ze wszystkimi szczegółami opracowany plan zniszczenia życia gospodarczego na terenie naszych odzyskanych ziem. Masz, o! Kopalnie. Przemysł. Energetyka. Komunikacja. Plany. Wykresy... Instrukcje i objaśnienia do każdego karteluska! Rozkładał przed zdumionymi oczami Tomasza pedantycznie spinaczami połączone pliki papierów. Niektórej ujęte były w osobne okładki. Na mapy i plany naniesionej były jakieś algebraiczne znaki.

- Olbrzymia większość tych instrukcji i objaśnień jest zaszyfrowana, ale wystarczy już to, co odczytałem z tych paru fragmentów nie zaszyfrowanego materiału, aby uzmysłowić sobie wagę tych dokumentów i ogrom przewidzianych nimi zniszczeń. Temu, kto opracował ten plan, brakło już widocznie czasu na zaszyfrowanie wszystkiego. Patrz, jak to było pedantycznie przygotowywane: wszędzie ta sama ręka, to samo pismo. Nic dziwnego, że tylko drobne fragmenty tego planu znane były niektórym działaczom podziemia. Setki ludzi

tworzyło poszczególne części - zniszczenie jakiegoś obiektu czy akcję sabotażową w już odbudowanych - a fragmenty te łączył w jedną powiązaną ze sobą całość jeden człowiek, jeden mózg.

- Dobrze, Rafale, ale jakim sposobem?...

- Takim sposobem: chciałem wydobyć kulę, która przeszła przez Mossura. No i zauważyłem ten mechanizm.

Tomasz pokręcił głową.

- Masz szczęście, chłopie! - powiedział z podziwem. Wziął w rękę i obejrzał kilka kartek. - No, ale tym się nie nasycisz. Chodź na kolację, bo Janowa gotowa przyjść z wymyślaniami, a wiesz jaka baba pyskata.

- Oszalałeś, człowieku! Jeść w takiej chwili?

- A cóż będziesz robił, Rafałku? Znalazłeś, to i dobrze, ale kolacja już na stole.

Rafał podszedł do okna i uniósł żaluzję. Na dworze panował jeszcze rzadki mrok.

- Zdążę chyba przed całkowitą ciemnością - powiedział do siebie. Odwrócił się do Gruzy - Tomasz, sytuacja jest naprawdę poważna. Nie chcę ryzykować i trzymać bodaj pięć minut dłużej tu, w domu, tych papierów. Chcę natychmiast jechać. Przygotuj mi motocykl, a ja uporządkuję to wszystko.

- Ale chociaż kolację...

- Zrozum: tu w każdej chwili mogą przyjść tamci, po plan.

- Tyle czasu nikt nie przychodził. Rafał podniósł oczy ku sufitowi.

- Boże Abrahamów, Izaaków i tak dalej!... Więc ty jeszcze nie orientujesz się, że to wszystko, co działo się tutaj dotychczas i szło na rachunek skarbu, który nigdy nie istniał...

- Nie istniał? Nelner dzisiaj zeznawał...

- Nelner kłamał od początku do końca. Pamiętasz list Stromberga do brata? Na pół roku przedtem, zanim wojna przyszła na te tereny, kazał żonie wywozić wszystko co cenniejsze. Od czasu przeczytania tego listu nie wierzyłem w legendę o skarbie, ale też nie przypuszczałem, że za nią kryje się Plan Wilka. A oni tego szukali! O, tego! - wskazał palcem leżące na biurku papiery. - Tomasz, proszę cię, przyprowadź mi motor. Ja to pozbieram do kupy, jak było. Prędkiej, spiesz się. Ciągłe mi się zdaje, że lada chwila jakaś łapa potworna...

*

Uspokoił się nieco dopiero, gdy minął zakręt i wyjechał na prostą drogę wiodącą do Starej Wsi, tak bowiem osiedleńcy przetłumaczywszy jego obcojęzyczne miano nazwali niemiecki Altendorf, do czasu, aż w archiwach odnaleziona zostanie stara słowiańska nazwa osady.

Reflektor ostrą smugą światła ciął mrok wypełzający na drogę z głębokich cieniów lasu. Rafał dodawał gazu. Aby jak najdalej od leśniczówki! Na szczęście po paru minutach tej jazdy las skończył się, a przed oczami jadącego wyrosły zwartą masą zabudowania wsi. Rafał minął parę pierwszych zagród i przyhamował. Odetchnął z głębi piersi. Teraz był prawie pewny, że wygrał wyścig z niebezpieczeństwem.

Silna żarówka, umieszczona nad wejściem do posterunku milicji, jasno oświetlała placyk przed domem i wycinek szosy. Drzwi wejściowe i okiennice zamknięte były na głucho. I gdyby nie płonąca nad frontowymi drzwiami lampa, dom zdawałby się pusty i wymarły. Rafał silnie zakołatał w grube, masywne drzwi. Po dłuższej chwili odezwał się za okiennicą, na prawo od drzwi wchodowych, głos dyżurnego milicjanta:

- Kto tam?

- Poproście, obywatelu, komendanta.

- Nie ma komendanta.

- Jak to, nie ma? Powiedźcie mu, że Żychoń, ten z leśniczówki, przyjechał.

- Wszystko jedno, kto przyjechał, komendanta nie ma i już - odpowiedział głos. -

Rano to będzie.

To pertraktowanie poprzez zamknięte okiennice poirytowało Rafała. Czuł się upokorzony i trochę śmieszny w tej sytuacji.

- Co będę gadał do ściany! Wpuśćcie mnie, obywatelu, do środka. Mam niezmiernie ważną sprawę. Trudno mi na cały świat krzyżeć tutaj, co to za sprawa. Poniesiecie odpowiedzialność...

W tej chwili zaszeleścił na ścieżce żwir pod czyimiś stopami. Obok Rafała wyrósł długi cień. Nie wiadomo skąd nadszedł milicjant i stanął przy Rafale.

- Nie wolno nam, obywatelu, otwierać ani wpuszczać nikogo po zmroku.

- Ale przecież mnie znacie. Nie jestem...

- Choćby i znajomego. Nie wolno. Rozkaz to rozkaz. Powiedźcie, o co chodzi?

Rafał podejrzliwie przyglądał się tak niespodziewanie zmaterializowanemu obok siebie przedstawicielowi władzy. Nie znał tego milicjanta.

- Mam naprawdę pilny i ważny interes. Niech pan zawoła komendanta.

- Powtarzam, że komendanta nie ma.

- Przecież niedawno dopiero wrócił z leśniczówki.

- Pojechał prosto do Z. Może wróci niedługo, może rano. Wieczorek pojechał za nim motocyklem. Może wróć obaj.

- To zatelefonujcie po komendanta. Niech wraca jak najszybciej.

Milicjant ruszył ramionami.

- Żebym to ja wiedział, gdzie komendant! Może w szpitalu, może w Komendzie Powiatowej, może jeszcze gdzie indziej. A wróci pewnie dopiero po sekcji.

- Po jakiej sekcji?

- Zwłok.

- Co, Mossur?...

- Żeby to Mossur! Ten drugi, któregośmy dzisiaj z leśniczówki...

Rafał aż podał się naprzód z wielkiego zdziwienia.

- Nelner? Kiedy? Wypadek?

- Cyjankali.

- Jak to? Cy-jan-ka-li!... Nie, to przechodzi wszelkie pojęcie! To jest... to jest... - Rafał na próżno szukał słowa, które by najdosadniej określiło jego oburzenie. Cyjankali? Może się tylko czym odurzył?

- Tak doktor powiedział.

- Był?

- Jakże! Zaraz my telefonowali. Przyjechał samochodem i zabrali. Komendant też myślał, że Nelner tylko się odurzył, bo w zaciśniętej ręce trzymał małą, wąską karteczkę z napisem: *Zażyj. Ze szpitala uwolnimy cię. Z więzienia nie.* Kartka napisana była ołówkiem.

- Aha! Taką miał kartkę. Szybko idą. Nie mają czasu do stracenia.

Milicjant pochylił się ku Rafałowi.

- Słucham?

- Ach! To nieważne... Ilu was jest na posterunku w tej chwili? Tam w środku, wewnątrz budynku?

- A na co to obywatelowi wiedzieć? - nutki podejrzliwości zadrgały w głosie milicjanta. - Ja jestem na pewno.

- Więc mnie nie wpuscicie, obywatele, na posterunek?

- Taki jest rozkaz. Nikogo. Chyba jak komendant przyjedzie.

- Trudno, jak jest taki rozkaz... Jak już mówiłem, mam ważną i pilną sprawę. Telefonujcie do komendanta, gdzie tylko przypuszczacie, że może być. Niech przyjeżdża jak najprędzej... Ale mówcie w swoim imieniu, nie wspominajcie o mnie. Powiedźcie, że nowe wiadomości w sprawie skarbu, że leśniczówka w niebezpieczeństwie... Postarajcie się.

- Postaramy się, postaramy - zapewniał milicjant, aby pozbyć się natręta. - A gdzie mamy was szukać, gdy komendant przyjedzie?

- Będę... Nic, ja się sam zgłoszę. Przyjdę za godzinę, może już przyjedzie.

W budynku szkolnym panowała już ciemność. Rafał postął przed wejściem frontowym, potem obszedł budynek dokoła. Cicho i ciemno. Zatrzymał się obok furtki, przetrawiając serdeczny zawód. Miał już wyjść na ulicę, gdy przyszło mu na myśl, że właściwie nie ma dokąd pójść. Na posterunek go nie wpuszczą, we wsi nie znał nikogo. Noc była ciepła wprawdzie, nie mógł jej jednak przesiedzieć na szkolnym dziedzińcu.

Puszka, którą trzymał pod pachą, paliła go żywym ogniem. Co z nią zrobić, gdzie ją podziąć? Nasunęła mu się pewna myśl. Zastanowił się nad nią. Tak, tak będzie najlepiej... Papiery zostawi u Joanny, a sam pojedzie do Z. Oto jedyne, co może w tym wypadku zrobić, nie narażając cennych dokumentów. Zostawić je na posterunku milicji? Tam przede wszystkim będą ich szukać, jeżeli zorientują się, że zostały zabrane z kominka. A to może nastąpić w każdej chwili. Nikt nie pomyśli, że zostawił te papiery pod opieką kobiety. Mogą napaść na posterunek, mogą nawet zdobyć go, ale gdy przekonają się, że na posterunku nie ma papierów, pewni będą, że zabrał je ze sobą do Z.

Zastukał delikatnie w okno sypialnego pokoiku Joanny. Cisza. Zapukał mocniej. Nikt się nie odezwał. Czyżby zasnęła tak silnie z samego wieczora? Może wyszła gdzieś do sąsiadów? Czekać, aż przyjdzie?

Na ulicy zaczęły czyjeś kroki. Rafał przykucnął, przylgnął do krzaczka bzu rosnącego pod oknem. Ktoś przeszedł powoli, powłócząc nogami.

Rafał podszedł do drzwi od strony podwórza. W kuchence sypiała stara kobiecina, pomocnica domowa Joanny. Stracił sporo czasu, zanim babina usłyszała, poznała go i zdecydowała się wpuścić do sieni.

- Obudźcie panią nauczycielkę! - zawołał kobiecie do ucha. Wiedział, że nie dosłyszy, chociaż z tym się wstydliwie ukrywała. - Powiedzcie, że muszę się z nią widzieć.

Podniosła na niego zaniepokojone oczy.

- Pani nauczycielki nie ma - powiedziała stojąc w progu. Zagradała wejście do kuchenki.

- Wyszła? Nie powiedziała, do kogo idzie? Może do Pawelka?

- Wyjechała.

- Wy... jechała?

- Wyjechała - potwierdziła skinieniem głowy. Rafał bezceremonialnie odsunął kobiecinę z progu i wszedł do kuchenki.

- Kiedy wyjechała? Dokąd? Na jak długo?

- Nie wiem - W nocy widocznie... Do ciotki pojechała. Depeszę dostała, zdaje się.

- Do ciotki?... - Rafał aż przysiadł na jakimś taboreciku. - Do ciotki? A może tu jest gdzie ta depesza?

- Pewno nie ma, zabrała chyba ze sobą.

- Kłamstwo! - Rafał zerwał się. - Kłamstwo! Joanna nie wiedziała o ciotce. Nie mogła wyjechać, przecież to koniec roku!

- Nie wiem, panie, tak mi powiedziała, że dostała wiadomość od ciotki.

Wszedł do pokoju Joanny, zatraskując idącej za nim kobiecie drzwi przed nosem. Rozejrzał się. Wszystko tu było na pierwszy rzut oka w największym porządku. Na stole rozłożone zeszyty z wypracowaniami dzieci, obok jakby tylko co odłożony ołówek, nie zakryty kałamarz. W sypialni wszystko na swoim miejscu, łóżko zaścielone, gładko nakryte narzutką.

Rafał puszkę z papierami wcisnął między ściankę łóżka i poduszkę. Wyrównał narzutkę.

Dopiero teraz zauważył, że na krześle obok łóżka stała torebka Joanny. Zajrzał do szafy. Płaszcz Joanny wisiał na swoim miejscu. Ten wyjazd był ogromnie podejrzany. Do ciotki? Opowiadała mu dość szczegółowo o swoich stosunkach rodzinnych. Była właściwie sama. Miała wprawdzie ciotkę, siostrę matki, o której nie wiedziała, czy i gdzie żyje. Opowiadała mu także o bracie, który w czterdziestym roku przedarł się na Węgry. Niedawno otrzymała od niego wiadomość, że jest w Anglii i stara się o wyjazd do kraju. Może kobiecina pokręciła z depeszą? Może to ten brat?

Rafał przeszedł do kuchni. Niemka siedziała na łóżku i złożywszy splecione ręce na kolana, zdawała się modlić. Poruszała bezdźwięcznie wargami.

- Pani nauczycielka mówiła, że do ciotki jedzie?

- Nie wiem. Przed wieczorem dostała wiadomość o tej ciotce, tak mi mówiła. Tę wiadomość to jakiś człowiek przyniósł i powiedział, że jeszcze wieczorem przyjdzie.

- Przyszedł?

- Nie wiem. Spałam. Tylko rano pani nauczycielki już nic było i drzwi nie były zamknięte na klucz.

- Listonosz przyniósł tę depeszę? Ten, co zawsze listy przynosi?

- Nie - zaprzeczyła energicznie. - Jakiś obcy.

W porządku. Znaczy, że się zgadza. Od pierwszej chwili, gdy dowiedział się, że Joanna nie ma, powziął niejasne podejrzenie, w którym się coraz bardziej utwierdzał. Aby się upewnić, podjął jeszcze jedną próbę.

*

Kierownik agencji pocztowej i w jednej osobie sołtys Starej Wsi ryglował już drzwi domostwa, gdy ktoś w nie silnie zakłatał.

- Co tam? Zamyka się już!

- Otwórz pan jeszcze na moment - zawołał przez drzwi Rafał. I zaklął w duchu na myśl, że już drugą pilną sprawę załatwia przez zamknięte drzwi. - Mam ważny interes. W sprawie panny Topolskiej, nauczycielki, przychodzę.

Sołtys uchylił judasza i przyjrzał się spóźnionemu interesantowi. W owych czasach nie otwierało się chętnie po zapadnięciu zmroku. Ale sołtys poznał Rafała. Odemknął drzwi i uchylił jedno skrzydło.

- No, wejdz pan. A co to takiego pilnego? Sołtys spojrzał nieco zdziwionym wzrokiem.

- Mógłby mi pan powiedzieć, jaką depezę otrzymała wczoraj panna Topolska?

- Nie, bo to jest tajemnica urzędowa - sołtys zrobił ważną minę. - Ale panna Topolska żadnej depezy nie otrzymała. Ani dzisiaj, ani wczoraj, ani onegdaj. Miała tylko trzy listy z Inspektoratu Szkolnego.

- Pewny pan jest? Niech pan przejrzy dokładnie.

- Nie byłbym pewny tego, co się w moim urzędzie dzieje? Może pan wierzyć, że jak ja powiem - to mur. Ale przecie nauczycielka sama najlepiej wie.

- Panny Topolskiej nie ma. W nocy podobno wyjechała. Otrzymała jakąś depezę... i dlatego przyszedłem do pana.

Sołtys pokiwał głową. Nie wiadomo - współczuł czy podkpiwał.

- Uhm... Takie sprawy! Wyjechała? Ano, panie, różnie się ludziom składa. Przyjedzie, przyjedzie, niech się pan nie martwi.

Rafał podejrzliwie spojrzał na sołtysa. Chłop miał w oczach iskierki humoru.

- Panie! - podszedł ku niemu o krok - pan coś wie. Tu może o życie ludzkie chodzi. Wie pan, jakie niespokojne są czasy.

Sołtys podrapał się w głowę.

- Ano, jeżeli pan tak się dopytuje... Mnie to tam nie obchodzi, ale zawsze... sołtys jestem i niektóre rzeczy wiem... Nie każdemu mówię - sołtys cedził słowa, kluczył, zachodził z różnych stron i widać było, że nie bardzo chętnie chce mówić.

- Mów pan prędzej i wyraźniej jak i co, na litość boską! Powtarzam panu, tu może o życie ludzkie chodzi!

Pół ironiczne, pół figlarne ogniki zniknęły z oczu sołtysa.

- Na pańską odpowiedzialność, jeżeli tak pan mówi...

Bo to, rozumie pan, nie wszystko i nie wszystkim można mówić... Więc... nasz stróż nocny mówił, że wczoraj wieczorem... tak, dobrze mówię, wieczorem, mogła być godzina jedenasta, może po jedenastej parę minut, ktoś zapukał do okna nauczycielki. Pogadali przez szybę, potem ona otworzyła okno i w końcu tamten poszedł do drzwi od podwórza. Zakazałem stróżowi o tym rozpowiadać. Może to tam jej panięskie sprawy... Szczególnie, co się dotyczy miłości, trzeba być delikatnym. Wdowiec, panie, jestem, to w tych rzeczach...

- Panna Topolska nie ma spraw, które musiałaby ukrywać - Rafał stwierdził to autorytatywnym tonem, a pochwyciwszy przelotny, niby to zdumiony błysk oczu sołtysa, z lekka się zarumienił.

Stróż nocny, odszukany przez Rafała, potwierdził, że widział, jak ktoś pukał w okno nauczycielki. Nauczycielka otworzyła okno i rozmawiała z nim krótką chwilę, potem otworzyła drzwi od podwórza. Słysząc było jak skrzypnęły.

- Nie zauważyliście, kto to był? Jak wyglądał? Stróż niezdecydowanie przestępował z nogi na nogę.

- Ćma była... Ale tak mi się widziało... juzem mówił o tym sołtysowi, jakby podobny był do tego inżyniera, co w lesie siedzi. Leśniczego niby...

- Inżyniera Gruzy?

- Tak mi się widziało.

- A później widzieliście, jak wychodzili razem?

- Popóźni tom nie widział... Zaraz poszedłem drogą ku posterunkowi, aż do końca wsi. I nic nie słyszałem. Nawet psy nie szczekały.

- I dziś nie szczekają, diabelskie pokurcze! Ani jeden się nie odezwał, a przecież szedłem prawie przez całą wieś. Więc wczoraj szliście tędy, tą drogą? Czy to jedyna droga do stacji kolejowej?

- Niby tak...

Rafał wrócił na schodki szkolnego budynku. Usiadł na stopniu. Na niebie od zachodu gęsto zbierały się chmury. Zanosilo się na deszcz. Podmuchy wiatru, lekkie i niestałe, przeciągały nad ziemią.

Joanna została uprowadzona podstępem, to było niemal pewne. Sama wpuściła sprawcę uprowadzenia do domu, nigdzie żadnych śladów walki czy oporu...

Ale komu, na Boga, mogło zależeć na jej uprowadzeniu? Dla kogo niebezpieczna była Joanna?

Nic dziwnego, że dzisiaj na bridża nie przyszła - pomyślał i naraz aż uniósł się na równe nogi. Jak błyskawica zajaśniała mu pewna myśl.

Myśl była jak olśnienie. Teraz dopiero wiązało się wszystko ze sobą. Jedno zdarzenie tłumaczyło drugie. Teraz dopiero wszystko: Plan Wilka, śmierć Nelnera, cyjankali i uprowadzenie Joanny - wiązało się w jasny, logiczny łańcuch przyczyn i skutków. Ten rebus, nad którym biedził się od tyłu dni, nareszcie zaczynał wychodzić.

Ale jednocześnie odczytanie go nappełniło Rafała śmiertelnym lękiem. Lękiem o los Joanny. Sytuacja wymagała natychmiastowego działania. Gra stawała się ostra i brutalna. Jakimi kartami rozporządza przeciwnik?

Teraz są z pewnością w leśniczówce i rozbierają ostatni, jaki im pozostał, nie zbadany kominek. Jeżeli nie znajdą poszukiwanego Planu, to czy domyśla się, dlaczego on, Rafał, z takim pośpiechem wyjechał na noc? Na pewno był pod ścisłą obserwacją... Być może są przekonani, że Plan złożył na posterunku milicji. Czy pokuszą się o napad na posterunek, którego zdobycie nie wydaje się takie trudne?

Tutaj trzeba im powikłać ślady.

Przystanął na chwilę przed posterunkiem. Komendant jeszcze nie wrócił. Napisał kilka słów na kartce i podał milicjantowi.

- To dla komendanta. Dajcie mu, jak tylko przyjedzie. Niech robi wszystko, aby mi pomóc, i jak najszybciej. Może go zresztą spotkam, bo jadę do Z.

- Aha! I powiedzcie komendantowi, że nauczycielka została uprowadzona. Jeżeli nie wróć do rana, to niech nas szuka w jednym miejscu. Tylko niech szuka prędko.

- A skąd pan wie, że nauczycielka...

Ale Rafał już nie odpowiedział. Wskoczył na motor i ruszył pełnym gazem. Minąwszy wieś, ściszył motor i zawrócił. Zaraz za skrzyżowaniem, niedaleko ruin zburzonego podczas wojny domu, biegła wąska, bita drożyna. Prowadziła do wsi, którą niemiecki jeszcze drogowskaz nazywał: Steindorf. Nie dochodząc do samej wsi, droga skręcała w lewo i biegła dość stromo pod górę, na której szczycie znajdowały się kamieniołomy. Po obu stronach drogi stał ciemny i milczący świerkowy las.

Rafał zgasił światło. Jechał wolno i cicho. Nie dojeżdżając do szczytu pagórka, zatrzymał się, maszynę wprowadził w gąszcz przydrożnych krzewów, po czym wyszedł na drogę. Rozejrzał się. Tu gdzieś biegła ścieżka.

Podchodząc do wielkiego i ciemnego domu, na pół ukrytego w cieniu wyniosłych drzew, posłyszał ciche skrzypnięcie furtki. Przycisnął się za kępą leszczyny. Dwóch ludzi wyszło na drogę i powoli przeszło obok niego. Rozmawiali półgłosem. Sylwetka i głos jednego z nich wydały się Rafałowi ponad wszelką wątpliwość znajome. Pozwolił im oddalić

się znacznie, zanim ruszył za nimi. W pewnej chwili Rafał ze zdziwieniem zauważył, że pomiędzy nim i tamtymi dwoma wyrósł na drodze trzeci cień i ostrożnie posuwał się za nimi.

Przyjaciół czy wróg? - Niedługo wypadło mu czekać na odpowiedź. Pierwsze cienie dochodziły do skraju lasu. Dalej drożyna biegła przez odkrytą polanę. Trzeci cień zbliżał się do wylotu drożyny, gdy nagle z obu jej stron zabrzmiały dwa szybko po sobie następujące niegłośnie okrzyki i zamajaczyły dwie sylwetki ludzkie.

- *Halt! Halt!*

Rafał uskoczył w bok, między krzewy podszycia.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tęgi, o czerwonej, kwadratowej twarzy człowiek w ceratowym płaszczu z paskiem obciskającym go w talii zakołatał w drzwi pogrążonego w mroku domostwa. Zakołatał pewną ręką, jeśli tak można powiedzieć, rozkazująco. Trzy uderzenia krótkie, dwa długie i znów trzy krótkie. Po chwili powtórzył je. Za drzwiami nikt się nie poruszył, nie zapytał o nic, a jednak ktoś czuwał, bo po dwukrotnie powtórzonym pukaniu mocne dębowe drzwi cicho, bez najmniejszego zgrzytu, otworzyły się.

Człowiek w ceratowym płaszczu wszedł do wysokiego, skąpo oświetlonego hallu. Cienie licznie wiszących rogów jelenich i dziczych łbów tworzyły na ścianach gmatwaninę splątanych linii, jakby fantastyczną mapę.

- Kapitan?

Otwierający drzwi wyprężył się jak na paradzie..

- Jest na górze, panie pułkownika. Zaraz zamelduję, że pan pułkownik...

Przybyły przerwał mu ruchem ręki.

- Nie trzeba. Zaprowadź mnie do niego.

- Tak jest, panie pułkownika.

Równie cicho, jak i przy otwieraniu, zamknął drzwi. Zasunął dokładnie rygiel. Włączył kontakty elektryczne.

- Proszę, panie pułkownika, idziemy.

Człowiek nazywany pułkownikiem szedł ciężkim, twardym krokiem po wąskich krętych schodach, wiodących na pierwsze piętro. Stopnie trzeszczały, skrzypiały pod jego stąpanieniami, podczas gdy idący przed nim wspinał się cicho i sprężyste jak kot. W korytarzu na tle białych malowanych ścian ciemniały prostokąty trojga drzwi. Stanęli przed drugimi z kolei. Pułkownik zapukał i nie czekając na wezwanie wszedł. Od biurka, oświetlonego stojącą na nim lampą z dużym zielonym kloszem, oderwał się gwałtownie

młody mężczyzna w butach z cholewami i spodniach do konnej jazdy. Proste, długie jasnoblonde włosy strząsnął z czoła energicznym ruchem głowy.

- Mówiłem ci - zaczął popędliwie, gniewnym głosem, ale spostrzegłszy jeszcze kogoś w pokoju, urwał i wytyczył oczy. Przyćmione kloszem światło nader skąpo docierało do drzwi.

- Panie kapitanie, melduję, że pan pułkownik - przerwał mu w połowie zdania trzaskiem ściągniętych obcasów. Ramię, jakby sprężyną podrzucone, wystrzeliło do góry powitalnym gestem, małpującym rzymskich gladiatorów.

- *Heil!*

Człowiek w ceratowym płaszczu zwrócił się do przewodnika.

- Możesz odejść, Hans.

Ordynans cicho i - sprężyste znikł za drzwiami. Jego wojskowe, odmierzane na tempa ruchy czyniły trochę śmieszne wrażenie przy cywilnym, oberwanym ubraniu.

Pułkownik podszedł do biurka, spojrzął na rozłożone papiery, przegarnął je palcami i przeniósł spojrzenie na ciągle wyprężonego w postawie na baczność gospodarza. Wyciągnął ku niemu dłoń, którą tamten uściśnął, raz jeszcze stuknąwszy obcasami.

- Panie pułkowniku! Kapitan...

- No, już dobrze - przerwał tamten - w porządku, kapitanie. Usiądźmy. Jestem piekielnie zmęczony. Zrobiłem dziś kawał drogi w niezbyt wygodnych warunkach.

Osunął się znużonym ruchem w miękki, wygodny klubowiec, pozbawiony wierzchniego skórzanego pokrycia. Wyciągnął przed siebie nogi. Wypoczywał.

- Co tu słyszać? Ostatnie meldunki były nawet alarmujące. A pan wie, jaką wagę przykładamy do tutejszego punktu.

Kapitan zajął swoje miejsce przy biurku.

- Ostatnie meldunki, panie pułkowniku, pisałem zorientowany w sytuacji, która była bardzo ciężka i niebezpieczna. Nie tylko, że dalecy byliśmy od osiągnięcia najważniejszego w tej chwili celu, ale lada chwila groziło zdekonspirowanie całej miejscowej komórki. Kierownictwo było nieudolne, to prawda, lecz także zaistniał cały szereg przyczyn, o których jeszcze będę mówił. Zginęło dwóch naszych ludzi. Trzeba ich było poświęcić, aby nie dopuścić do wsypy.

Pułkownik zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko, dużymi haustami. Dym grubymi, białawosinymi skrętami wpływał leniwie pod zielony klosz lampy. Trochę wypukłe, rybie oczy pułkownika uważnie śledziły wędrówkę pasm dymu.

- Którzy to? - zapytał flegmatycznie.

- Mossur...

- Ten? - pułkownik objawił żywsze zainteresowanie.

- Chciał zdradzić.

- Przecież był całkowicie w naszych rękach... Dezerter! Żona i dziecko pod okupacją amerykańską, a on za wszelką cenę chciał się do nich dostać. Wiedział, że mu nie przebaczymy zdrady.

- Tak, ale nie wiem, jakim sposobem został zdemaskowany. Jest tu taki pies, który ma za dobry węch. Ale ja mu ten nos utracę! Wziął Mossura na spytki, a Mossur załamał się i zaczął sypać...

- Odezwała się w nim ta świńska krew słowiańska! - pułkownik z pasją wydmuchnął kłąb dymu. - Na nich nigdy nie możemy liczyć.

- Szczęściem Nelner, który podsłuchiwał pod oknem, zastrzelił go w chwili, gdy miał wypowiedzieć decydujące słowa.

- A drugi?

- Właśnie Nelner. Pułkownik uniósł wysoko brwi.

- Komendant?

- Komendant. Były komendant. Usunąłem go z dowództwa na mocy moich pełnomocnictw. Był nieudolny. Prowadził całą akcję niezdecydowanie i dopuścił do zbytniego rozgłosu. Został aresztowany i doskonale się tłumaczył, wziął bardzo dobrą linię obrony. Ale... wolałem się zabezpieczyć. Trup już nie zrobi niespodzianki.

- Hm, tak... Trupy przeważnie milczą - skwitował pułkownik wiadomość o śmierci jednego z najbardziej oddanych sobie podwładnych.

- No, a najważniejsza sprawa?

- Robiłem, co mogłem, panie pułkowniku, ale... - kapitan rozłożył bezradnie ręce. - Najpierw musiałem uporządkować sprawy, które groziły zniszczeniem miejscowej komórki i wykryciem. Teraz jestem bezpieczny. No i mam tu pewną pozycję.

- Najważniejszą i najpilniejszą sprawą, dla której pan tu został przysłany, było wydobyć Planu. Trzeba to było mieć na uwadze. Miejscowa komórka mogła być dla tej sprawy poświęcona.

- No, a przerzut ludzi? Przecież tu jest wyjątkowo dogodna pozycja dla przerzutów, bliska granica, meliny...

- To będzie kto inny załatwiał. Najpilniejszy jest Plan. Po to tu przyjechałem.

- Skoro tak... Sądzę, że parę dni...

- Parę dni?! Ja jutro muszę być z nim w drodze.

- Niemożliwe. Przykro mi...

- Pańskie przykrości są pańską prywatną sprawą - pułkownik szorstkim ruchem zgniótł niedopałek w popielniczce.

- ...że muszę panu pułkownikowi przeciwstawić moje racje - kończył przerwane zdanie kapitan. Znam miejscowe stosunki, które...

- Znam je nie gorzej od pana, kapitanie.

- Tak jest. Wiem. Ale chociaż na parę dni trzeba odwlec...

- Dziś musimy załatwić. Mam wyraźne instrukcje. Nie wolno mi zmienić rozkazu. A teraz, kapitanie, jak przedstawia się sama sprawa?

- Ze wszystkich możliwych kominków, w których Plan mógł być ukryty, pozostały nie zbadane jeszcze dwa, a właściwie półtora, bo połowę ostatniej nocy rozebraliśmy.

- Ubiegłej nocy?

- Tak. Trzeba było ograniczyć się tylko do połowy kominka, zarówno ze względu na czas, jak i dla zamaskowania właściwego celu poszukiwań. Po nieudanych akcjach Nelnera, kiedy rzuciło się w oczy rozbieranie kominków we wszystkich domach barona von Stromberga, zaczęto przebąkiwać w okolicy, że chodzi tu o ukryty skarb. To było nam z jednej strony na rękę ze względu na maskowanie istotnego celu poszukiwań, ale i niebezpieczne o tyle, że pojawili się konkurenci do wydobywania skarbu. Nelner główną uwagę zwrócił na leśniczówkę, która była stałym miejscem pobytu barona Heinricha von Stromberga, gdyż tam spodziewał się znaleźć jakąś wskazówkę co do miejsca ukrycia Planu. Poszukiwania rozpoczął od wydobywania zwłok barona i drobiazgowego zbadania garnituru nieboszczyka. Nic nie znalazłszy, jął przeszukiwać dom, to jest papiery, meble, obrazy... Bez rezultatu.

Kiedyś podczas pobytu w Altendorf baron von Stromberg wskazał Nelnerowi kominek w tamtejszym dworze, mówiąc, że każdy z kominków w dobrach Strombergów posiada tajemną skrytkę, godną powierzenia największej tajemnicy, tak bowiem jest zrecznie zamaskowana, że nie znający sekretu jej otwarcia musiałby cały kominek kafel po kaflu, cegła po cegle rozebrać, aby natrafić na skrytkę.

Pułkownik, który z obojętnością słuchał dotąd opowiadania kapitana, ożywił się nieco. Uśmiechnął się z pobłażaniem. Miło jest czasem opowiedzieć podwładnemu anegdotkę z życia swojej sfery. Przerwał:

- Tak, znam tę historię. Wzbożony dziadek von Stromberga, jakiś masarz czy handlarz nierogacizną, otrzymał szlachectwo i tytuł od cesarza austriackiego, a że chciał się ożenić wysoko, aby splendor świeżo uszlachconego rodu podnieść, nie znalazłszy kandydatki w Niemczech, ożenił się z leciwą córką jakiegoś mocno podupadłego lorda. Sentymentalna

stara panna przywiozła z Anglii zamiłowanie do tajemniczych historii i niewygasła miłość do jakiegoś towarzysza młodzieńczych zabaw. W rozwalającym się zamczysku rodziców był rodowy duch, straszący regularnie o północy, i pełno było tajemniczych schowków i skrytek. Ducha nie mogła przewieźć do Niemiec, ale skaczącemu przed nią na dwóch łapkach mężowi kazała w budowanych przez niego budynkach stawiać, na wzór angielski, kominki. Dla zadowolenia swej potrzeby tajemniczości dopilnowała już sama, aby w każdym kominku znalazła się sekretna skrytka, której położenie i sposób otwarcia знаła ona jedna. Przechowywała w tych skrytkach listy miłosne pozostawionego w Anglii wielbiciela, korespondencję bowiem prowadzili aż do jego śmierci w późnej starości. Pod koniec życia Strombergowa zamieszkała w leśniczówce, która właściwie, choć tak nazywana, mieszkaniem leśniczego nigdy nie była, ten bowiem miał mieszkanie w budynkach administracji dóbr. Przed śmiercią babka pokazała wszystkie skrytki swojemu ulubieńcowi, Heinrichowi von Stromberg, i zobowiązała go do spalenia korespondencji i pamiątek miłosnych.

- Ach, to ciekawe! - wtrącił kapitan, kiedy czerwonolicy pułkownik zawiesił głos. - Tak więc Nelner, poszukując Planu, zaczął rozbierać kominki. W domach opuszczonych nie przedstawiało to żadnej trudności, lecz Nelner stał się niezdecydowany, kiedy doszło do leśniczówki. Zaproponował...

- To wiem - przerwał pułkownik. - Co dalej?

- Po nieudanych akcjach Nelnera zdecydowałem się upozorować odnalezienie skrzyni brylantów, złota i dolarów, aby się pozbyć konkurentów do „skarbu”. Stało się to ubiegłej nocy. Odkrycie i zabranie rzekomego skarbu rozeszło się po okolicy z szybkością radiowej depeszy i niezmiernie podekscytowało opinię miejscową. Myślę więc, że fakt odnalezienia skarbu uspokoi stronę przeciwną, a nam pozwoli odczekać kilka dni i osiągnąć nasz cel. Mnie zaś pozwoli na rozprawienie się z tym psem, którego leśniczy sprowadził sobie do pomocy. Ten wie więcej, niż mogłem się spodziewać. Przekonało mnie o tym wstępne przesłuchanie Nelnera. Dlatego sędzę, że należy odczekać, wyprawa dzisiaj byłaby zbyt ryzykowna. Są podnieceni, mogą czuwać, zwłaszcza że śmierć Nelnera będzie dla nich niezrozumiała. A gdyby wyprawa się nie udała - tamci przestaną wierzyć w bajeczkę o skarbie. Rozbieranie kominka także wymaga większej ilości ludzi niż mam ich pod ręką w tej chwili.

- Nie potrzeba rozbierać. Kapitan uśmiechnął się powątpiewająco.

- Nie wiemy przecież, w której części kominka...

- Wiemy, dokładnie wiemy.

- Dlaczegoż więc do tego czasu?

- Hugo von Stromberg odzyskuje pamięć. Przed moim wyjazdem przypomniał sobie dokładnie, w którym kominku jest ukryty Plan, i objaśnił mi mechanizm otwierający skrytkę, a także sposób wydobycia z puszek papierów tak, aby nie uległy zniszczeniu.

- To geniusz ten von Stromberg. Jak on wszystko przewidział!

- Heinrich - tak. Bo Hugo to żywy portret swego dziadka, pospolity umysł.

- A jak się miewa nasz baron von Stromberg?

- No, na łonie rodziny!... To jednak była dobra myśl, aby przetransportować go do żony i dziecka. Odzyskuje powoli pamięć i władzę w rękach. A już zdawało się, że nic z niego nie będzie. Kamerdyner przydzielony przez Himmlera do boku Stromberga miał czuwać i jak tylko Plan będzie gotowy ostatecznie, przekazać go we właściwe ręce. I w tym wypadku w kominku miała być wiadomość, komu i kiedy został przekazany, za jakim hasłem można go będzie wydostać i tak dalej. Niestety, na tydzień przed śmiercią von Stromberga kamerdyner znikł gdzieś bez śladu. Był w centrali w Berlinie, meldował, że plan jest na ukończeniu, ale z Berlina już tu nie wrócił. I do tego czasu nie wiadomo, co się z nim stało. No, ale kapitanie, jestem głodny jak pies. Każ przygotować jaką kolację.

- Tak jest, panie pułkowniku! Ale ja żywię się głównie konserwami, które pozostały w bunkrze. Taką kolacją mogę pana przyjąć.

- Dobrze, byle prędej. A broń, jak się przechowała?

- Doskonale. Wczoraj przeglądałem. Na całe przedpołudnie miałem roboty. Wszystkie w takim stanie, jakby dopiero co z fabryki wyszła. - Kapitan wstał i uchyliwszy drzwi, wydał polecenie feldfeblowi w oberwanym ubraniu.

- A melinit?

- Bez zarzutu. To jedno umiał robić Nelner - konserwować.

- Sprawdzę po kolacji.

Pułkownik wstał z fotela i założywszy ręce do tyłu chodził niecierpliwie po wąskim pokoju. Mówił więcej do siebie niż do kapitana:

- Musimy się spieszyć. Pewne grupy ludzi w Ameryce i w Anglii były zawsze, nawet podczas wojny, po naszej stronie, rozumiały nasze cele i pomagały nam. I teraz rządy zachodnie biorą kurs proniemiecki, pomagają nam rozwijać nasz niemiecki nacjonalizm. Szykuje się krucjata antykomunistyczna. Już dziś nieoficjalnie, a w najbliższej przyszłości i oficjalnie wypowiedzą się za rewizją tymczasowych granic wschodnich. Rozumieją, że nie chcąc samym sobie gotować zguby, muszą iść z nami. Naród niemiecki uległ chwilowo, ale zachował swoje ideały i gotowość walki w ich obronie. Dlatego musimy wzmocnić działalność

naszych organizacji tu na wschodzie, aby udowodnić naszym potencjalnym sojusznikom, że żyjemy i walczymy. Aby im pomóc, musimy działać dokładnie, planowo... Mamy taki plan!

- Plan Wilka - szepnął kapitan z uniesieniem, patrząc jak zahipnotyzowany w czerwoną i jak mu się zdawało, natchnioną twarz pułkownika.

- Plan Wilka - powtórzył pułkownik, przystając przed biurkiem. - Wszystko jedno. To jest plan wilka, i lisa, i żmii... Dość że przewidział on i uwzględnił wszystko. Każda fabryka, każda kopalnia, most, droga - mają tam swoją kartę, plan i gruntownie omówiony sposób zniszczenia.

Okrążył biurko, zatrzymał się i wyciągniętym palcem godził w pierś kapitana.

- Dlatego potrzebny nam jest ten Plan. Potrzebny natychmiast. Bez niego skazani bylibyśmy na improwizację, na nieudolną, wrywkową robotę.

- Tak jest, panie pułkowniku, ja to rozumiem...

- Dlatego po uzyskaniu Planu wzmoże się nasza działalność na tych terenach. A pana, kapitanie, czeka nowe zadanie.

- Jestem gotów!

- Pana zadaniem będzie nawiązanie kontaktu i współpracy z polskim podziemiem na tych terenach. W najbliższych dniach zgłosi się do pana łącznik z tamtej strony. Instrukcje do umowy dziś panu zostawię.

Wszedł feldfelbel w cywilu i postawił na stole dymiące otwarte puszkami z konserwami; kolacja przypominała pułkownikowi nie tak dawne jeszcze posiłki spożywane na postojach wśród ciągłych odwrotów.

Gdy wyszli z domu, była już noc. Od zachodu chmury leniwie wspinały się na wygwieżdżony klosz nieba. Kiedy droga zanurzyła się w las, pułkownik, przystanąwszy, szepnął kapitanowi:

- Ktoś idzie za nami. Zauważyłem go już od tamtych drzew przy domu. Poczekajmy. Zbliży się, czy pójdzie w bok?

Kapitan wyciągnął papierosa i zapalił, pozorując zatrzymanie się.

- Zdaje się, że wiem, kto to. Pewnie ten wszędobylski, ciekawy szpicel, przez którego straciliśmy dwóch naszych ludzi. O, żeby to on był! Chodźmy. U wylotu drogi są nasi ludzie. Zlikwiduj go.

Drożyna wnet pojaśniała, wybiegając na otwartą przestrzeń, od poświaty gwiazd i białej, wysokiej skały, szerokim czołem zwracającej się ku lasowi. Na skraju lasu kapitan, przechodząc, rzucił szeptem kilka słów w gęste krzewy leszczyny. Nie otrzymał odpowiedzi, ale był pewien, że rozkaz zostanie wykonany. Pułkownik szedł pierwszy wolnym, miarowym

krokiem. Jego ciężka, ogromnie barczysta sylwetka, nieledwie kwadratowa, bryłą granatowoczarne cienia odcinała się od białawej powierzchni drogi.

Kapitan po kilku krokach zrównał się z nim i pewien czas szli w milczeniu, ale nasłuchiwali pilnie, aż odezwały się za nimi dwa przytłumione, jednobrzmiące okrzyki.

*

Hubert Górny posłusznie podniósł ramiona w górę. Wymowa dwóch czarnych otworków w długich lufach Parabellum była aż nadto przekonywająca. Zrewidowali go z wprawą zawodowych rzeźmieszków. Pistolet, portfel, scyzoryk i różne drobne przedmioty błyskawicznie zmieniły właściciela. Ciemne bryły śledzonych przez niego ludzi rozplynęły się w oddaleniu. Mgliste zarysy potężnej skały panującej nad wąską drogą były ostatnim kształtem, jaki Hubert dojrzał. Bez protestu i cierpliwie zniósł, gdy zawiązali mu oczy jakąś brudną prawdopodobnie szmatą - cuchnęła niewypowiedzianie czymś nieokreślonym, lecz dostatecznie wstrętnym. Przesłaniała mu nie tylko oczy, ale i nos, tak że oddychał z trudem.

Ktoś go ujął pod ramię. Ktoś inny pchnął lufą pistoletu w zębra.

- Marsz!

Nie mając nic lepszego do roboty, Hubert liczył kroki. Po piętnastu skręcili w lewo. Znowu raz, dwa, trzy... - liczył aż do dwustu. Pod stopami trzeszczał żwir, podeszwa uderzała o ostre kamienie. Hubert wywnioskował stąd, że skręcili na jakąś mało uczęszczaną dróżkę, wypłukaną z piasku przez deszcze. Teraz znów zakręcił w prawo. Zeszli widocznie na wąską ścieżkę, bo zmienili szyk marszu. Zbiry wzięli go między siebie i szli dalej gęsiego. Ścieżka pięła się stromo pod górę. Potykając się o wyniosłości i zapadliny wyboistej dróżki, Hubert stracił rachubę kroków. Zaraz jednak zatrzymali się przed jakąś ścianą. Jeden z tych, którzy go prowadzili, odszedł parę kroków w prawo. Nie oddalił się zbytnio. Wyraźnie słychać było jego przyciszony szept.

- Po co to zamykali za sobą? Niepotrzebna robota.

- Nie narzekaj - zganił go drugi, stojący przy Hubercie. - Jest prąd. Gorzej było, gdy musiałeś przyłożyć się swoją siłą.

Rozległ się zgrzyt jakby jakiegoś mechanizmu. Wionęło skądś chłodne, piwniczne powietrze. Znowu jeden z drabów wziął Huberta za rękę.

- Chodź za mną.

Weszli w jakiś wąski korytarz. Hubert po prawej i lewej ręce wyczuwał ściany. Umyślnie skręcił w lewo. Otarł się ramieniem o szorstką powierzchnię. Udając potknięcie przesunął się w prawo. Znowu taka sama ściana. Korytarz nie był szeroki. Może półtora metra.

Po niedługim marszu przystanęli. Drab trzymający Huberta za rękę jął opuszczać się w dół.

- Uważaj. Będziemy schodzić.

Hubert, szurając podeszwą buta, natrafił na otwór w kamiennej podłodze. Ostrożnie opuszczał nogę. Pod stopą wyczuł szczebel drabiny. Naliczył ich dwanaście. Szcebli nie drabin.

Poprowadzili go teraz kilkadziesiąt kroków w tym samym kierunku, w jakim posuwali się poprzednio. Potem przez wąskie drzwi wpełchnęli go do jakiegoś pomieszczenia, tu nie znany mu dotychczas głos zawołał:

- Jesteś, bratku? Dobrze. Pogadamy. Zdjąć mu ten welon.

Silna żarówka, wmontowana w kamienny pułap, jaskrawym światłem zalewała niską, lecz dość rozległą, podziemną celę. Hubert zacisnął powieki oślepiony jaskrawym blaskiem. Gdy je otworzył, ujrzał obok siebie młodego mężczyznę w długich butach i spodniach do konnej jazdy. Nieco dalej przy niewielkim stole siedział człowiek w ceratowym płaszczu.

- To nie ten, którego się spodziewałem - rzekł z pewnym rozczarowaniem ten w butach.

- Wszystko jedno. Załatwić, jak powiedziałem. - Człowiek w ceratowym płaszczu musnął niechętnym spojrzeniem stojącego pod ścianą jeńca. Było to jedno z tych spojrzeń, które widzą całego człowieka, omijając tylko jego Oczy. Spojrzenie oprawcy, który boi się oczu ofiary.

Młody jegomość w butach z cholewami zwrócił się do Huberta:

- Skąd ty jesteś? Jak się nazywasz?

Pytania rzucone były po niemiecku. Hubert udał, że nie rozumie tego języka. Zrobił wielkie oczy.

- Nie rozumiem po niemiecku. Proszę mówić po polsku.

Człowiek w ceratowym płaszczu wstał i podszedł bliżej, przypatrując się pilnie więźniowi. Widać było, że usiłuje sobie coś przypomnieć.

- Ja go skądś znam! Zaraz, zaraz... Aha! - Twarz mu spochmurniała nagle. - Tyle razy przekonywałem się, że nie mogę bardziej ufać oczom niż słuchowi. To ty - zwrócił się do więźnia - wsiadłeś do samochodu we Wrocławiu?

Hubert pokręcił głową na znak, że nie rozumie. Facet w butach z cholewami przetłumaczył pytanie.

- Panowie! Nigdzie nie wsiadałem do samochodu. Dzisiaj ani wczoraj samochodem nie jechałem. Jestem uczciwy obywatel. Przed paroma dniami sprowadziłem się do Z. Tam

mieszkam. Chciałem iść do Starej Wsi krótszą drogą i zabłądziłem. Jeżeli przeszedłem granicę - to nieumyślnie. Nie jestem żaden przemytnik. Proszę sprawdzić w Z. Przecież rzeki nie przechodziłem.

Porucznik Górny postanowił zagrać naiwnego. Ale zaraz z pierwszych słów człowieka w ceratowym płaszczu przekonał się, że gra nie chwyciła.

- To szpicel, który mnie śledzi od samego Wrocławia. Zrewidować go dokładnie. Bardzo dokładnie. I zlikwidować. Aby śladu nie zostało.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Słowiki w gąszczu pobliskiej leszczyny zanosiły się trelami. Najpierw rozpoczął jakiś główny widać zapiewająco, potem przyłączył się drugi i trzeci i pojedynczo na zmianę lub chóralnie ślały w spokojne, trochę parne jak przed deszczem powietrze kłaskania, ciurkoty i pogwizdy, składające się na kunszt śpiewaczy słowiczego narodu.

Tomasz z uśmiechem odłożył książkę i zgasił lampę. Od otwartego szeroko okna szło pachnące lasem i nagrzaną ziemią powietrze. Firanki w oknie wydymały się od podmuchów lekkiego wiatru, wtedy wpływał do pokoju poszum wysokich drzew. Wstał z łóżka i niechętnie, ociągając się, zamknął okiennice. Z jaką przyjemnością spałby przy nie zamkniętych oknach. Na taki luksus nie mógł sobie jeszcze pozwolić, pamiętny ostatnich wypadków.

Już zasypiając posłyszał w pokoju nad swoją sypialnią ciche stapania. Jakby ktoś chodził w obuwii o miękkiej podeszwie.

Rafał powrócił - pomyślał leniwie, ale po chwili uniósł głowę nad poduszką. Przyciszone, jakby czające się kroki, powtórzyły się. Stan przyjemnego przedsennego oszołomienia przysł momentalnie.

To nie Rafał. Nie słychać było motoru, nikt mu nie otwierał drzwi. Wreszcie, przyszedłby do mnie niewątpliwie - myślał Tomasz. Wstał znowu z łóżka. A może Truda zabłądziła do pokoju Rafała? Stąpienia powtórzyły się znowu. Nie, ktoś obcy się czaił. Chłodne dotknięcie szorstkiej kolby rewolweru dodało mu pewności siebie.

Na korytarzu było cicho i pusto. Tomasz postawił nogę na pierwszym stopniu schodów wiodących na górę, lecz wnet ją cofnął. Drzwi pokoju Rafała uchylały się, skrzypiąc lekko. Ktoś wyszedł z nich na korytarzyk i jął wolno, zsuwając się raczej po poręczu, schodzić w dół. Tomasz zrobił dwa kroki w tył i wcisnął się w niszę utworzoną między dużym, stojącym zegarem i oszkloną szafką z trofeami myśliwskimi. Tamte kroki zbliżały się powoli, stopień za stopniem - niżej, niżej...

W hallu panowała ciemność zupełna. Zapuszczone okiennice nie przepuszczały najmniejszego promyczka światła.

Kroki schodzącego ucichły. Stał już na dole, u stóp schodów i Tomasz słyszał jego dość głośny, sapiący oddech na prawo od siebie. Zarzęgotały w pudełku zapalki. Intruz potarł zapalkę i migotliwy błysk wydobył z ciemności bryły sprzętów, kładąc na ścianach i podłodze dziwaczne ruchome cienie. Obcy przeszedł obok Tomasza, osłaniając dłonią światło zapalki. Teraz widać było, dlaczego stąpał tak cicho - był boso. Doszedł do środka hallu i skręcił ku drzwiom.

Tomasz przemknął o krok za jego plecami. W tym momencie zapalka zgasła. Ale Tomasz już wyczuł pod palcami guziczek kontaktu.

- Ręce do góry!

Intruz w półobrocie zamarł. Wolno, jakby z namysłem, uniosł ramiona nad głową. Tomasz podszedł ku niemu, nie posiadając się ze zdumienia. Poznał w nim jednego ze swoich robotników leśnych, i to jednego z najmniej podejrzanych.

- Co ty tu robisz, Karl?

Niemiec wykonał nieokreślony ruch głową i barkami.

- Czego tu szukasz? No, gadaj!

- Drzwi... - rozpoczął Karl i urwał. Spojrzał ponad głowę Tomasza i w jego oczach otwartych szeroko ze strachu zalśnił żywszy błysk. Tomasz odwrócił głowę w ślad za jego spojrzeniem.

- He he he! Teraz ty rączki do góry! Nas tu jest trochę więcej. Rzuć broń!

Na schodach, w połowie ich wysokości, stał ten sam oberwaniec, który wczoraj wieczorem w sypialni Tomasza trzymał ich obu z Rafałem pod lufą rewolweru. Teraz spoza jego pleców wyglądały jeszcze dwie obrośnięte gęby i matową czernią groziły wysunięte naprzód automaty.

Trudno było dyskutować w tych warunkach. Tomasz rozwarł palce i rewolwer z przygłuszonym przez chodnik stukiem upadł u jego stóp.

Karl podbiegł, podniósł broń, z wprawą prestidigitatora przerzucił pistolet z ręki do ręki i schował go do kieszeni. Tomasz podziwiał intuicję i ostrożność Rafała. Gdyby tak odłożył swój wyjazd do jutra!...

- Znowu po skarb? Nie mogliście to już hurtem zabrać wszystko wczoraj?

- Przyszli my dzisiaj podziękować... - zaczął oberwaniec i umilkł, bo nagle ktoś silnie zakolatał w drzwi i zaraz niecierpliwie powtórzył stukanie.

Boże! Pewno Rafał - przemknęło Tomaszowi przez głowę. Miał krzyknąć, aby ostrzec przyjaciela, gdy naraz oberwaniec sfrunął ze schodów i stanął przy Tomaszu.

- Otwórz drzwi, Karl. Prędkiej! Pułkownik czeka. Już się nie maskowali. Szli na pewnego. Albo stawiali wszystko na jedną kartę. Dwóch drabów o wyglądzie marynarzy z łodzi podwodnej wracającej po długim rejsie stanęło przy drzwiach. Karl otworzył je na całą szerokość.

Wszedł wysoki, tęgi mężczyzna o nadmiernie rozrośniętych barach, które zdawały się rozsadać opięty frencz. Czerwona twarz przybysza była nieruchoma i zła. Jego oczy prześliznęły się obojętnie po sylwetce Tomasza.

- Ten drugi gdzie?

- Herr... - oberwaniec trzasnął obcasami, jakby chciał meldować. Pułkownik przerwał mu szorstkim gestem.

- Wyjechał o zmroku. Nie wiem dokąd, ale nie wrócił jeszcze. Mówiłem już... - recytował Karl od drzwi.

- Dobrze - pułkownik zwrócił się do oberwańca:

- Pilnuj go, Hans - wskazał oczami Tomasza. - Zawołam, gdy będziesz mi potrzebny. Chodźcie ze mną - powiedział do dwóch drabów przy drzwiach.

Człowiek o czerwonej, kwadratowej twarzy i złych oczach buldoga skierował się na prawo i wszedł do gabinetu Tomasza, zamykając za sobą drzwi.

Tomasz stał pod ścianą tuż przy zegarze. O krok od schodów. Od półotwartych drzwi wejściowych przez hall szedł ciąg chłodnego powietrza i płynął pod górę. Widocznie okno w korytarzu na pięterku nie było zamknięte. Hans stojąc naprzeciw Tomaszowi przyglądał mu się, jakby jakiemuś eksponatowi na wystawie, i cicho świstał przez zęby melodię jakiegoś parademarsza. Karl stał obok i tępo patrzył przed siebie. W jego rybach, wyłupiastych i bez wyrazu oczach nie było widać żadnego wrażenia, żadnej myśli.

Naraz z gabinetu Gruzy rozległ się ryk jak gdyby ugodzonego śmiertelnie zwierza. Hans drgnął niby podcięty batem.

- Pilnuj go - wskazał Karlowi Tomasza i biegiem wpadł do gabinetu.

Pułkownik stał oparty o kominek i ręką przyciskał lewą pierś. Był blady i oddychając otwierał usta jak ryba wyrzucona na piasek.

- Tak jest, panie pułkowniku, jestem!

- Hans, nie ma! Nie ma!... Wszystko przepadło... wszystko... - nie mógł mówić, lecz ręką wskazywał dolną część kominka, gdzie widniał duży, prostokątny otwór.

- Co teraz? co teraz?... - powtarzał przerywanym głosem. Zdawało się, że lada chwila upadnie. Hans, przerażony, podbiegł i chciał go podtrzymać, doprowadzić do krzesła, gdy naraz pułkownik odepchnął się całym ciałem od kominka, zrobił parę drobnych kroków i stanął pewnie na nogach. Twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej, aż białka szeroko otwartych oczu nabiegły mu krwią. Wpadł z gabinetu, zatrząskując za sobą drzwi, że omal nie wyleciały z futryn.

- Ty psie! - Gruza zachwiał się od wymierzonego niespodziewanie silnego policzka. Skurczył się w sobie i zeszywniał w odruchu samoobrony. Znał dobrze to uczucie wewnętrznej sztywności i naprężenia wobec niespodziewanego ciosu, na który nie można odpowiedzieć ciosem. Poznał je w niemieckich więzieniach i obozie. Jediną obroną w tych warunkach była bierność. Rezultat walki był przecieź jasny i z góry przesądzony.

- Ty psie! - ryczał pułkownik. - Gdzie są papiery z kominka? Kiedy je wydostaliście? Kto wam zdradził kryjówkę?

Tomasz mimo bólu i oszołomienia, spowodowanego niespodziewanym ciosem, doznał uczucia zadowolenia, ucieszył się, że Rafał tak na czas zdążył ulotnić się z domu razem z papierami. Nie potrafił widocznie ukryć tego uczucia albo nie myślał o ukrywaniu go i pułkownik zauważył błysk zadowolenia w jego oczach. Zmienił od razu taktykę.

- Karl, podaj krzesło!

Usiadł wygodnie w trzcinowym fotelu. Brakło mu tylko szpicruty i butów do konnej jazdy, aby pozować do portretu junkra.

Gruza stał pod ścianą, ręce, długo trzymane nad głową, drżały już ze zmęczenia. Pułkownik wparł w niego swoje przekrwione, złe oczy. Próbował się uśmiechnąć.

- Słuchaj... ty nie jesteś taki głupi... W kominku, w skrytce, była puszka z rodzinnymi papierami baronów von Stromberg. Kiedy ją wydostaliście? Powiedz... To nie żaden skarb, jak sądzicie. Wam z tego nic nie przyjdzie, a dla nas to cenne pamiątki.

Gruza milczał. Powoli opuszczał ramiona. Nikt na to nie zareagował.

- No więc jak? - przynaglał delikatnie pułkownik, choć widać było, ile go wysiłku ta delikatność kosztowała.

- Nie chce pan mówić? W zdenerwowaniu uderzyłem pana... To się zdarza nawet mniej popędliwym ode mnie ludziom. Więc kiedy wydobyliście tę puszkę?

Gruza patrzył mu drwiąco w oczy i milczał. Miał dziwną, nie wytłumaczoną chęć zagwizdać kilka taktów *O, mein lieber Augustin*. Usta same układały się w ciup. Ledwo się powstrzymał.

- Nie chcesz mówić? Ja cię nauczę wymowy! Ja ci otworzę usta. Hans!

- Nie wiem o żadnej puszcze, nie wiem o papierach rodzinnych Strombergów.

- Nie wiesz? Nic nie wiesz? Dobrze się namyśl. Ja te papiery mieć muszę, rozumiesz? Nie zawaham się przed niczym. Dla was nie stanowią one żadnej wartości, a dla mnie to fortuna. Testamenty, prawa spadkowe, umowy... rozumiesz? Oddaj je dobrowolnie... Nagrodę wypłacę.

- Duża też nagroda za te... testamenty?

- Duża... Każdą cenę wypłacę... Rozumną cenę.

- Szkoda, że nic nie wiem o tych papierach. Ale będę szukał. Dam ci znać, jak je odnajdę.

- Ty! - warknął pułkownik. - Daję ci pięć minut czasu do namysłu.

- A potem?

- Odpowiesz. Wydasz nam tę puszkę albo zginiesz. Rozumiesz? Śmierć...

- Jak w kiepskim melodramacie złodziejskim: pieniądze albo życie! Ale ty otrzymałeś niewłaściwą rolę. Nie graj kusiciela. Lepiej ci w roli zimnego mordercy. Bardziej twarzowa dla ciebie...

- Odechce ci się dowcipów, ty!... - czerwonołocy zmełł w ustach soczyste przekleństwo.

Oberwaniec nazwany Hansem wyszedł z gabinetu i stanął przed pułkownikiem. Podał mu kartkę papieru zapisaną szczerze drobnym pismem gotyckim, znakami algebraicznymi, cyframi i geometrycznymi figurami.

- W dywanie przed kominkiem jest wypalona dziura. Wy-pa-lo-na! A to - potrząsnął kartką - znalazłem pod biurkiem. Myślę, że zainteresuje pana pułkownika. Nie wszystko mogłem przeczytać, ale... - urwał ostrzeżony błyskiem oczu zwierzchnika, który spojrzawszy na kartkę, zerwał się z krzesła.

- *Donnerrr...* - potoczyło się jak grzmot. W dwóch skokach wpadł do gabinetu. Rzeczywiście przed paleniskiem kominka widniała w grubym dywanie wielka dziura o czarnych, spalonych brzegach.

Jak mogłem jej przedtem nie zauważyć? - pomyślał. Przyklęknął i pochylił się nad zniszczonym dywanem. Jego powonienie uderzył ostry swąd spalenizny i swoisty zapach płynu samozapalającego. Nawet parkiet pod dywanem miał zwęgloną powierzchnię.

- Otwierał puszkę, pies! Zniszczył papiery! - podniósł głowę i bezradnie patrzył na stojącego przy biurku Hansa. W tej klęczącej pozycji, oparty na dłoniach, przypominał buldoga, i to, ze względu na żalną minę, buldoga obitego kijem. - Zniszczył papiery... Zniszczył Plan... - powtarzał żałośnie.

- Ośmielam się zauważyć, panie pułkowniku - ton Hansa ani odrobinę nie był wojskowy i gdyby pułkownik słyszał go w innej chwili, na pewno mocno by go zastanowił. - Ośmielam się zauważyć, że gdyby tamte papiery uległy zniszczeniu, to i ta kartka, która przecież, jak mi się zdaje, należała do nich, byłaby zniszczona. Tymczasem nie znać na niej najmniejszego nawet uszkodzenia.

Pułkownik wstał z klęczek. Postąpił trzy kroki w stronę Hansa i zatrzymał się. Uderzył dłonią w oparcie fotela.

- Czyli... czyli Plan jest tutaj - wskazał na biurko. - Dobrze. Poszukajmy.

Wywracali na nice szufladę za szufladą, półkę za półką...

- Nie ma - rozłożył ręce pułkownik. - Musieli to gdzieś ukryć... Ale gdzie? Czy oni wiedzą, co to jest? Przecież to niemożliwe, aby wiedzieli... To był szyfr.

- A jeżeli wiedzą? Nie wszystko było zaszyfrowane. Zresztą... i szyfry się odczytuje.

- Tego nie mogli... To był specjalny szyfr do Planu. Wykluczone! No, ja już z niego wydobędę, gdzie oni to ukryli! Ten pies będzie mi śpiewał!

Gruza wpół przymknąwszy powieki rozważał sytuację. Wartownicy przy drzwiach szeptem prowadzili rozmowę. Karl stał blisko, ale jego wyłupiaste, wodniste oczy nie zdradzały żadnego zainteresowania więźniem. Tomasz na oko odmierzył odległości. Karl stał w zasięgu ramienia, do pierwszego stopnia schodów był zaledwie krok. W trzech susach mógł osiągnąć górę. Skok z okna korytarzyka na pięterku nie groził niebezpieczeństwem, naturalnie o ile dom nie jest obstawiony. Tomasz powziął decyzję.

- Wszystko jedno! - grzmiał pułkownik. - Wiedzą, czy nie wiedzą, jeżeli tylko Plan nie jest zniszczony, ja im go z gardła wyciągnę!

- Może ten pojechał właśnie z papierami? To by świadczyło, że wiedzą, co to jest. Gdyby tak było...

Nie dokończył. W hallu odezwał się urwany w połowie krzyk, zadudniły po schodach spieszne kroki i zaraz potem huknął strzał.

Wypadli z Hansem do hallu. Karl leżał u stóp zegara, w dłoni trzymał jeszcze dymiący pistolet. Obaj wartownicy nastroszyli się przy drzwiach, jakby oczekując na atak.

- Za dom, pod okno z tamtej strony - krzyknął w ich kierunku Hans, sam zaś rzucił się na schody, wyszarpnąwszy z kieszeni rewolwer.

Pułkownik podbiegł do Karla i kopniakiem postawił go na nogi.

- Ty przeklęty psie! Pozwoliłeś mu uciec! Ja ci!... Karl oparł się o zegar i dyszał ciężko. Pełne nienawiści spojrzenie utkwiał w pułkowniku, który drząc z wściekłości

wyciągnął ku niemu rozcapierzone, zakrzywione w szpony palce, jakby go chciał rozerwać nimi na strzępy.

- Ja cię!... - chrypiał, dławiąc się złością, ale spostrzegłszy, że Karl powoli, jakby namyślając się, kieruje lufę Parabellum w jego pierś, zmitygował się. Umilkł.

Wokół domu tętniły głucho kroki biegnących w pościgu ludzi. Gdzieś z lewa automat zaniósł się krótką, urwaną serią i umilkł raptownie, jak pies, któremu obroża znienacka ściśnie gardło. Odgłosy pościgu oddalały się.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rafał posuwał się omackiem. Pod palcami czuł chropowatą, nierówną i chłodną, sprawiającą wrażenie wilgotnej, powierzchnię ściany skalnego korytarza. Pułapu nie mógł dosięgnąć, choć kilkakrotnie próbował. Widocznie korytarz był wysoki. Za wysoki, jak na tego rodzaju podziemne budowle. Nigdzie zakrętu ani załamań. Prosty, lekko pod górę biegnący tunel zdawał się ciągnąć bez końca. Rafał naliczył sześćdziesiąt kroków.

Pod stopami chrzęścił drobny żwir czy piasek na twardym podłożu skalnym. Po kilku krokach przystanął i obejrzał się. Właściwie nie miał po co się oglądać. Taka sama ciemność była za nim jak i przed nim. Absolutna, nieprzenikliwa czerń.

Ciemność i cisza była tak zupełna, że gdyby nie własny, trochę przyśpieszony z podniecenia oddech i mocny rytm głośno bijącego serca, Rafał nie obroniłby się wrażeniu, że znajduje się po drugiej stronie Styksu. Ale gdzież przewodnik, a właściwie przewodnicy, którzy go tu przywiedli? Gdzież podziąło się pięciu ludzi, którzy kilkanaście minut temu weszli w te podziemia? Poszli dalej? Jak daleko więc ciągnie się ten korytarz? Czy się kończy?

Powietrze było tu czyste i świeże, bez tej zatęchłej wilgoci, jaka zwykle panuje w lochach i zamkniętych piwnicach. Korytarz miał widocznie dobrą wentylację, był często nawiedzany, a może nawet wietrzony. W żadnym razie nie sprawiał wrażenia opuszczonego.

Oparł się plecami o chłodną ścianę skalnego korytarza i namyślał się chwilę. Nie miał żadnych wątpliwości, że Joanna znajduje się tutaj, we wnętrzu tej skały. Wnętrzu milczącym i chłodnym jak grób. Postąpił jeszcze kilkanaście kroków, lecz dziwny, niewytłumaczony niepokój kazał mu się zatrzymać. Nasłuchiwał chwilę. Cisza aż dzwoniła w uszach. Nie mącił jej najśłabszy nawet dźwięk.

Rafał nie bacząc na niebezpieczeństwo zdradzenia swej obecności potarł zapalną. Wydało mu się, że trzask zapalającej się główki echem odbił się od skalistych ścian. Nikły blask położył mu się u stóp żółtym, migotliwym kręgiem. Podniósł ramię z płonąca zapalną i rozejrzał się, wyężając wzrok. O kilka kroków dalej korytarz kończył się prostopadłą,

poszczerbioną skałą. Koniec? Podszedł do owej skały, zamykającej przejście, tak blisko, że omal nie oparł się o nią piersiami. Syknął z bólu, kiedy dopalające się drewno zapalki oparzyło mu palce. Nie było najmniejszej wątpliwości: korytarz nieodwołalnie kończył się tą ścianą.

Po drodze nie było żadnego zakrętu. Jednolita ściana. Nigdzie nie wyczuł otworu ani też drzwi, które by dotykaniem mógł odróżnić, a przecież cały czas nie odrywał palców obu rąk od ścian korytarza.

Gdzież podzieli się w takim razie ludzie, których widział tu wchodzących? Musi gdzieś istnieć droga, którą wydostali się z tego korytarza. Nie rozplynęli się przecież w powietrzu, nie wsiąknęli w te skały... A może jakieś umocowane w ścianie stopnie wiodą do górnych kondygnacji? Palce mogły prześliznąć się między stopniami.

Był to próżny żal, jednakże Rafał żałował, że nie ma ze sobą latarki elektrycznej.

Ruszył w powrotną drogę. Szedł niezmiernie powoli i rozsuniętymi palcami obu dłoni obmacywał cal za cal powierzchnię lewej ściany korytarza. Po jednej lub po drugiej stronie musi przecież istnieć jakiś otwór, którym przeszli tamci. Mogli jeszcze, co prawda, przejść w dół lub w górę.

Naraz zatrzymał się i przyłgnął do chłodnej ściany. O kilkanaście kroków przed nim z cichym zgrzytem podniósł się wycinek podłogi i w ciemność korytarza wsączyła się wążutka smużka światła. Rafał cofnął się o kilka kroków i płasko przyległ do podłogi. Smuga światła rozszerzyła się przy akompaniamencie zgrzytów, aż unoszona kłapa zatrzymała się w pozycji prostopadłej do podłogi korytarza.

Jednocześnie na tle unoszonej kłapy widać było ramię, obnażone do łokcia, żylaste i silne. Rafał sprężył się w sobie do skoku, ale powstrzymały go głosy dobiegające z dołu. Rozmawiali głośno, lecz fatalna akustyka korytarza mieszała rozmowę w jeden skłębiony bełkot, z którego tylko pojedyncze słowa były zrozumiałe. Wreszcie w otworze ukazała się głowa. Sprawiało to wrażenie, że wydobywa się z włazu łodzi podwodnej. Wrażenie to potęgował jeszcze dawno nie golony zarost na twarzy wychodzącego. Zatrzymał się jeszcze nad krawędzią otworu i pochylony słuchał pilnie.

- *Jawoll* - zaskrzeczał wreszcie, szurgnąwszy obcasami. Opuścił wolno kłapę i szurając w ciemności podkutymi butami, zaświecił latarkę. Jaskrawo rozblęsnął w ciemności strumień światła. Rafał zatrzymał się zaledwie parę kroków od Niemca, który nogami zacierał ślady powstałe wskutek otwarcia kłapy. Nagarniał żwir i piasek, po czym odwrócił się i ruszył ku wyjściu. Światło latarki omiało kremowoszare ściany korytarza, aż zatrzymało się na moment na poprzecznym bloku skalnym, zamykającym wyjście.

Rafał wykorzystując to, że tamten szedł zupełnie swobodnie, głośno stawiając podkute buciory, które łoskotem napelniały skalny korytarz, sunął spiesznie za nim. Zamierzał go dopaść z tyłu i... Tuż przed końcem korytarza latarka została zgaszona. Nim Rafał zdążył dobiec, prostokątny otwór wyjściowy zajaśniał słabą poświatą nocy, zgarbiona sylwetka zamajaczyła na tle białawej skały i ciężki kamienny blok z głuchym stukiem zaskoczył na swoje miejsce. Poprzez grubą skałę nie słychać było nawet kroków odchodzącego.

W korytarzu znów zapanowała cisza. Rafał zawrócił. Świecąc zapalkami odnalazł prostokąt kłapy niedbale za maskowany nagarniętym żwirem. Nasunęła się nowa trudność. Klapę otwierał jakiś ukryty mechanizm. Z zewnątrz nie było widać żadnego znaku. A jednak musi on istnieć! Zapalki się kończyły. W pudełku zostało kilka sztuk zaledwie, które Rafał oszczędzał na dosłownie czarną godzinę. Omackiem wodząc palcami po ścianie, po podłodze w pobliżu kłapy, usiłował odnaleźć jakąś część mechanizmu, otwierającego właz. Czubki palców miał obolałe, pościerane omal że do krwi wskutek szorowania nimi po szorstkiej powierzchni skały. I zwykle tak bywa, że tam, gdzie spodziewamy się skomplikowanych urządzeń, przemysłnych sposobów i sztuczek, znajdujemy najczęściej proste i prymitywne. W chwili gdy Rafał zniechęcony daremnymi wysiłkami był bliski zaniechania dalszych prób, natrafił na niewielki okrągły otwór w podłodze. Otwór ów zasypany był piaskiem. Doskonale kolisty jego kształt świadczył, że był dziełem rąk ludzkich. Po usunięciu piasku Rafał natrafił na najzwyklejsze żelazne kółko, do którego przymocowana była cienka stalowa linka. Uchwycił ją i silnie pociągnął ku górze.

- Nareszcie jestem w domu! - zawołał do siebie, widząc, że spod unoszącej się kłapy wydobywa się pasemko światła.

Drabinka żelazna, taka, jakich używa się we włazach łodzi podwodnych, wiodła w dół. Nie zamykał za sobą kłapy, aby nie odcinać sobie drogi ewentualnego odwrotu. Stał u stóp drabinki i rozejrzał się. U pułapu skalnego korytarza płonęła żarówka. Korytarz był równie wąski, lecz o wiele niższy od tego na górze. Po prawej jego stronie było dwoje, po lewej - jedno tylko drzwi. Dalej korytarz załamywał się pod prostym kątem na prawo i stamtąd, spoza zakrętu, dobiegał jakiś głos.

Podszedł kilka kroków w kierunku owego głosu. Nasłuchiwał. Ten ktoś modlił się chyba jednostajnym, równym basem albo prowadził beznamiętny, spokojny monolog. Słów nie można było jeszcze rozróżnić.

Za załamaniem korytarz biegł dalej prosto i koniec jego ginął w mroku, nie było tu bowiem światła. Zaraz przy rogu, po prawej stronie, były drzwi. Nie domknięte. Zza nich

właśnie dochodził ów głos ponury i jednostajny. Rafał teraz doskonale odróżniał słowa. Skóra mu ścierpła. Jeszcze bardziej niż głos ponura była treść tego monologu.

Obłąkaniec! - wstrząsnął się Rafał. - Tutaj? Niemożliwe - pomyślał, lecz zreflektował się zaraz. Tak niedawno jeszcze iluż takich obłąkańców decydowało o życiu lub śmierci tysięcy ludzi! A raczej tylko o śmierci...

- Tak, bratku - dudnił monotony, głęboki bas. - Nie będę się z tobą tyle trudził co z innymi. Nie bój się, gładziutko pójdziesz sobie do Abramka na piwo. Ma być gładko, to będzie gładko. I bez poruty. Powiedział szef, aby nikt nie poznał, to nikt nie pozna. Możesz sobie swoje pacierze odmówić - mnie to nie przeszkadza. Ludzki człowiek jestem. Ale tobie też nie pomoże. Nie ciskaj się, bratku, nie ma co. Jak ci śmierć pisana, to cię nie minie. A tobie pisana. Ja to bym wolał przez komin cię przepuścić. To byłoby naprawdę bez poruty. Tak jak szef kazał, może ktoś twoje śmierdzące cielsko znaleźć. A przez komin to się popiołek rozwieje i spokój. Swoją drogą muszę tak jakoś urządzić, żeby cię związanego nie rzucić, boby zmiarkować mogli, że to było morderstwo. Głupie słowo: morderstwo! Bo ja to dla zysku robię, żeby mi ktoś morderstwem w oczy świecił. Befehl ist Befehl. Jak ktoś niepotrzebny, to go się likwiduje... Nie bój się, Fryc od tego specjalista. Parę lat praktyki w najlepszych zakładach!

Rafał nacisnął drzwi. Uchylały się cicho i bez oporu.

- Nie bój się, spuszczę cię gładko z góry. Ani nie poczujesz, kiedy główką o dno stukniesz. Tu jest ze sto metrów w dół. Nie będziesz się męczył. Od razu. Nie jestem taki, żebym chciał ludzkiej męki. Zawsze byłem ludzki, miłosierny człowiek... Ino się sam nie męcz. Nie ciskaj się, bo cię przygłuszę.

Wyższa nieco od korytarza, dość obszerna izba czyniła wrażenie schronu przeciwlotniczego. Pod ścianą na lewo na niskiej prycy ktoś leżał; widać było tylko jego nogi obute w długie buty z cholewami. Resztę postaci leżącego zasłaniał, plecami odwrócony do Rafała, właściciel ponurego basu. Pochylał się nad leżącym i mamrotał swój makabryczny monolog.

- Najlepiej to by ci było w kark strzelić... albo jeszcze lepiej: do gazu. Czysta robota - monotony głos zadrgał nutką entuzjazmu. - Czysta robota! Ani rany, ani krwi. Szef powiedział, że ma być gładko - to będzie gładko. Muszę cię tylko przygłuszyć.

Rafał zacisnął palce na rękojeści pistoletu i pochylił się. Ale obyło się bez jego interwencji. Leżący podkurczył błyskawicznie nogi i pchnął nimi z całej mocy w pierś pochylonego nad sobą człowieka. Tamten nie spodziewał się ciosu. Krzyknął krótko,

charkotliwie, wyprostował się i runął na wznak jak długi tuż pod nogi Rafała i uderzył głową o kant półotwartych drzwi.

- *Knock out!* - zawołał Rafał wchodząc do celi. - Najzupełniej prawidłowy k.o. Znam się trochę na tym. Poleży po tej pieszczocie dłuższą chwilę bez prawa głosu. No, nagadał się przedtem...

Hubert Górny - on to bowiem leżał na pryczy - trochę niezdarnie, gdyż ręce miał związane, uniósł się na łokciu i usiadł, opierając się plecami o ścianę. Patrzył na Rafała ze zdziwieniem i niedowierzaniem w oczach.

- Daj pan rączki, panie kolego. Przetniemy te węzły. Uważasz pan: nie więzy, lecz węzły. Raz w życiu chcę być niby Aleksander Macedoński.

- Kto pan jest? - Hubert z niedowierzaniem spoglądał na swe uwolnione z pęt ręce. Poruszał ścierpniętymi palcami.

- Taki tutaj jeden... Wschodzę, gdzie mnie nie posieją. Zresztą to nieważne. To pewno jeden z tych - kiwnął głową w stronę ciągle jeszcze nieprzytomnego draba - którzy pana przykaraulili tam w lesie, co?

- Tak. - Hubert wyciągnął rękę do Żychonia. - Dziękuję panu.

- Nie ma za co. Każdy by na moim miejscu... itd. Tak się mówi w podobnych wypadkach, prawda? Zgrabnie się pan załatwił z tym katem. Pogratulować.

- Jak się pan tutaj dostał? Czy pana też?...

- Mnie nie. A dostałem się drzwiami, jeżeli tak można powiedzieć. Głównym wejściem. Tym samym zresztą co i pan, tylko bez asysty. Ale mam gorsze zmartwienie: Jak stąd wyjść? *A propos* wyjść: nie widział pan tutaj kobiety?

- Kobiety? - Hubert nie potrafił ukryć zdziwienia. - Jest tutaj kobieta?

- Tak. Młoda i ładna. Właśnie jej szukam. Możemy szukać razem, jeżeli pan zechce mi pomóc.

- Jak najchętniej. Z całego serca panu pomogę. - Porucznik Górny poczuł nie wiadomo skąd przyływ zaufania do tego sympatycznego narwańca. Instynktem poczuł, że to cenny sprzymierzeniec. - Jestem Hubert Górny. Mówię na wypadek, gdyby tylko jeden z nas wy dostał się stąd.

- Nazywam się Rafał Żychoń, jeżeli pan koniecznie chce wiedzieć. Ale co to nam pomoże?

- Niemożliwe... - Hubert, zaskoczony niespodzianką, odezwał się nie bardzo sensownie.

- Tak mama i tata twierdzili zawsze. Ale mogli się mylić.

- Przepraszam, ja nie dlatego... To pan jest autorem „Przygody Jana Wilgi”, pan napisał „Za lasy”? Znam pana wszystkie powieści...

Rafał roześmiał się.

- Oto najoryginalniejsze, jakie mógłbym wymyślić, spotkanie autora z czytelnikami. Liczba mnoga jest tu naturalnie dowolnością literacką.

- Poza tym to pan odnalazł list Stromberga do brata? Ten list mnie tutaj sprowadził.

- Bardzo żałuję - mruknął Rafał. - Zawsze mam kiepskie pomysły...

- To był dobry pomysł. Poszukamy razem tej młodej i ładnej kobiety.

Leżący pod drzwiami drab jęknął i poruszył się. Przyskoczyli doń obaj.

- Nudzisz się, pomocie katowski? Czekaj, synu diabła i czarownicy, zaraz cię jakoś zabezpieczę. Po co masz niepotrzebnie ekspensować swoje siły. - Rafał omotał mu rękę sznurem, którym poprzednio związany był Hubert.

- O, moja głowa! - stęknął półprzytomnie drab.

- Twoja głowa, twoja. Nie obawiaj się, nikt ci jej nie zabierze. Ona prawnie należy się katu.

Oprych uniósł ociężałe powieki, ale ujrzawszy pochylonego nad sobą swego niedawnego więźnia i jakąś jeszcze nieznaną postać, czym prędzej je zamknął. Rafał jednakże dostrzegł błysk przytomności w oczach tkliwego oprawcy. Trącił go lufą pistoletu w podbródek.

- No, Fryc, wstawaj!

Ten, nie próbując już żadnych sztuczek, wstał posłusznie i z wilczą pokorą stanął na wskazanym miejscu. Rafał podsunął mu pistolet pod nos.

- A teraz krótko i bez wykrętów. Gadaj: gdzie tu jest uwięziona kobieta, którą ubiegłej nocy uprowadziliście?

Fryc przestąpił niezdecydowanie z nogi na nogę. Najchętniej podrapałby się w głowę, ale miał związane ręce. Podejrzliwie spoglądał na rewolwer. Otworzył usta, ale wnet je zamknął, nie wymówiwszy słowa. Rafał nie dał mu jednak czasu do namysłu.

- Gadaj, bo... - wykonał ruch bardziej wymowny niż słowa.

- Nnie wiem... Nie wiem o żadnej kobiecie. Ja tutaj jestem dzień i noc. Nie wychodzę stąd wcale.

- Nie wiesz? No, skoro nie wiesz, to mi nie jesteś potrzebny. Jak pan myśli - zwrócił się do Górnego - jeżeli nie wie, to zlikwidować, co?

Hubert z całą powagą skinął głową przyzwalająco.

- Marsz! - Żychoń pchnął Fryca w kierunku drzwi. Ten postąpił parę kroków bezwolnie i niezdarnie jak sparaliżowany, lecz przy drzwiach zatrzymał się zdecydowanie. Spojrzał na Rafała badawczo, ale wyczytawszy w jego oczach twarde postanowienie zaczął gorączkowo przekonywać:

- Nie wiem, panie. Naprawdę nie wiem. Może w bunkrze... Ja tam nie chodzę... Tak przypuszczam tylko, że tam może być... Tak myślę.

- Dobrze, że tak myślisz. Zaprowadź nas do tego bunkra.

- Tam nie wolno - Fryc niepewne, latające spojrzenie przenosił z Rafała na Huberta, z Huberta na Rafała. Nie wiedział, który z nich jest ważniejszy, któremu się tłumaczyć.

- No, ja ci pozwalam...

- Ale tam miny... Miny są założone. Rafał ruszył ramionami nie przekonany.

- Musisz je omijać albo wylecisz w powietrze. A nie próbuj uciekać, radzę ci. Bo jeszcze rychlej niż od miny przeniesiesz się na tamten świat.

- Zaraz - zawołał Hubert. - Jest lepsza rada. - Podszedł do Fryca i odpiął mu pas z munduru, a raczej z czegoś, co przypominało dawny mundur. Przełożył mu ten pas między związanymi do tyłu rękami.

- Lepiej i pewniej będzie prowadzić go na smyczy. Nie ucieknie.

Wyszli z celi i skierowali się ku drabinie, wiodącej do górnego korytarza. Hubert zatrzymał się na widok trojga drzwi widniejących po obu stronach. Ujął za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.

- Co tam jest za tymi drzwiami?

- Nic, puste pokoje. Prycze tylko i worki ze słomą.

- Otwórz te drzwi! Nie możemy iść dalej - objaśniał Żychonia - nie wiedząc, co zostawiamy za sobą.

- Klucze pozostały tam, w tej celi, gdzie byliśmy.

Dwie niewielkie izdebki istotnie były puste i przesiąknięte odorem butwiejącej słomy. Trzeciej nie można było otworzyć żadnym z kluczy, posiadanych przez Fryca. Miały widocznie odmienny zamek albo też sekretny sposób otwierania.

- To jest pokój kapitana - objaśniał już nie pytany Fryc. - Ale tam też nic nie ma.

- Aha. Dobrze. A gdzie są rzeczy, które mi odebraliście?

Zawrócił jeszcze raz do celi Fryca. W szufladzie niewielkiego stolika pod ścianą - gdy Huberta tam wprowadzono, siedział przy nim człowiek, nazywany pułkownikiem - znalazły się wszystkie rzeczy, które mu odebrano.

- Teraz damy radę. Mam taki wytrych, który podobno jest uniwersalny. Wypróbuję go dzisiaj.

Wytrych istotnie okazał się przydatny. W pokoiku, umeblowanym wprawdzie odmiennie niż poprzednio widziane, bo zawierającym biurko, fotel i wygodny tapczan, nie było nic godnego uwagi. Hubert jednakże zainteresował się biurkiem. Podczas gdy dokładnie przepatrywał jego szuflady, Rafał niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, nagłony pragnieniem jak najszybszego uwolnienia Joanny. Najchętniej zostawiłby tu Huberta i Fryca, a sam pobiegłby do owego bunkra.

W prawej górnej szufladzie biurka oczom ich ukazał się aparat telefoniczny. Przewody z cienkich, izolowanych drutów biegły dyskretnie wokół ścian i ginęły w skalistym suficie pokoju. Nad biurkiem z lewej strony wisiał dawno już nieaktualny portret, a nieco dalej typowy niemiecki landszaft oleodrukowy. Hubert spojrzał na ckliwy krajobraz z nimfami i jakiś instynkt śledczy kazał mu podnieść ramę obrazu.

- Fii fiuuu - gwizdnął przeciągle. W kamiennej niszy pod obrazem umieszczone były dzwonki elektryczne i splątana sieć drutów.

- Cała aparatura alarmowa! Skąd idą te druty? Fryc uciekł spojrzeniem w bok. Całą nadzieję, jaką miał jeszcze, pokładał właśnie w tych drutach. Teraz przepadło.

- No! - przynaglił Hubert.

- Z bunkra i...

- I?... Bo ja cię nauczę wymowy! Fryc przełknął ślinę.

- Z górnego korytarza i z mieszkania szefa. Hubert z triumfującą miną zwrócił się do Rafała.

- No, widzi pan, o ile mądrzejsi jesteśmy? Teraz jadziem, panie Zielonka, do tego bunkra. Tu już nie ma nic ciekawego.

Kiedy znaleźli się w górnym korytarzu, Fryc ruszył nie ku wyjściu, lecz w przeciwną stronę, tam, gdzie Rafał sądził, że korytarz kończy się ślełą ścianą, nierówną i poszczerbioną, pełną pęknięć i szczelin. Fryc zatrzymał się i nogą, bo ręce miał przecież związane, wskazał duży głąz w lewym rogu u dołu ściany.

- Tutaj, ten kamień trzeba wypchnąć, on wyjdzie... Rafał odsunął Fryca, który nogą usiłował nacisnąć głąz, i sam pchnął go we wskazanym miejscu. Rzeczywiście spory wycinek skały drgnął i powoli ustępował po linii owych pęknięć, zdawałoby się naturalnych, w głąb, zostawiając dość duży otwór, aby pomieścić człowieka. Jeszcze jedno, jeszcze dwa pchnięcia mocniejsze... Z otworu napłynął strumień ciepłego, pachnącego lasem powietrza i poszum niedalekich drzew. Rafał wyprostował się.

- Co tam jest za tą ścianą? Bunkier?

- Nie, droga do bunkra. Niebezpieczna, bo nad przepaścią, ale bez min.

Żychoń porozumiał się wzrokiem z Hubertem.

- Ja pójdę pierwszy, tego trubadura weźmiemy w środek a pan ostatni.

Znaleźli się w jakiejś trójściennej pieczarze, niewielkiej i o sklepieniu nie zakrywającym całkowicie występu tworzącego podłogę. Była na tyle wysoka, że można było swobodnie w niej stać. Na tle ciemnego, zasnutego chmurami nieba, widać było w niewielkiej odległości dwa ostre, gołe szczyty. Rafał wychylił się i wyjrzał z pieczary. Po lewej stronie do prostopadłego zbocza przyczepione były, a raczej wystawały z niego, pojedyncze, poszczerbione głązy, tworzące jakby stopnie, które wiodły stromo pod górę. Spojrzał w dół. Gęsta, nieprzenikniona ciemność zalewała niewiadome dno przepaści. Na wyciągniętą rękę Rafała spadły pierwsze krople dżdżu. W świetle elektrycznej latarki, odebranej Frycowi, dostrzegł, że na wysokości około dwu metrów poszczególne stopnie-głązy łączą się ze sobą, tworząc jednolity występ, stanowiący widocznie ową drogę do bunkra.

- No cóż, idziemy? Puściłbym Fryca przodem, ale mu nie dowierzam.

- Słusznie - zgodził się Hubert. - Ręce trzeba mu jednak rozwiązać. Nie utrzyma się na tych głązach bez pomocy rąk.

Mieli tylko jedną latarkę i Rafał, który szedł pierwszy, oświetlał drogę sobie i postępującym za nim obu ludziom. Rzadkie, duże krople deszczu, dostawszy się w krąg światła, rozbłyskiwały jak świętojańskie robaczki.

Bunkier był wewnątrz wybetonowany, podzielony na przegrody grubymi murowanymi ścianami, wyposażony w elektryczne światło. Otwory wietrzników świadczyły, że zadbano o należytą wentylację. Rafał naglony pragnieniem jak najszybszego odnalezienia Joanny nawet nie zwrócił uwagi na podłużne drewniane i metalowe skrzynie, ustawione pod ścianami komory, w której się znaleźli. Hubert jednakże podszedł do jednej z nich i uniósł nie zamknięte wieko. Gestem ręki przywołał Rafała.

- Zaopatrzyli się, co? Arsenał!

W skrzyni leżały równiutko poukładane, grubo nawazelinowane, matową czernią zalegające jej wnętrze automaty. W drugiej to samo. W trzeciej i czwartej były zwykłe, długie karabiny. Osobną skrzynię zajmował karabin maszynowy. Krótkie metalowe jaszczki wypełnione były amunicją po brzegi. Bogactwo!

- Spodziewałem się czegoś podobnego - zaczął Żychoń.

Hubert podniósł nań zdziwiony wzrok.

- Jak to, spodziewał się pan? I przyszedł pan tutaj sam? Nie zapewniwszy sobie pomocy?

- Później to panu wytłumaczę... Ale, panie, na miłość boską! Śpieszmy się. Odnajdźmy ją. To jest w tej chwili najważniejsze. - Chwycił Górnego za ramię i kurczowo je ścisnął.

Fryc stał opodal w środku komory z głową nisko opuszczoną i wzrokiem nieruchomo utkwionym w podłogę. Górny podszedł do niego.

- Czy w innych komorach jest także broń?

- Nie wiem... ja tu nie chodzę... Może i broń... Tu jedynie szef chodzi i jeszcze jeden...

- Ilu was tutaj jest wszystkich? Tu, na dole, w mieszkaniu szefa i jeszcze gdzie indziej? Wszystkich, rozumiesz?

- Nie wiem. Ja tylko... na dole jestem...

- Zdaje się, że muszę ci po twojemu wyjaśnić, to mnie zrozumiesz. - Hubert podsunął do oczu Fryca lufę pistoletu.

- Nie wiem, panie, ilu wszystkich. Ja... Tu ze mną... w podziemiu jest dwu jeszcze i w domu szefa jeden. Z szefem jest nas pięciu stale. Inni to przychodzą, jak jest potrzeba. Nie wiem skąd ani ilu.

- Teraz byłeś tam na dole sam. Gdzie reszta?

- Poszli gdzieś... Może już wrócili... - wydało się Hubertowi, że w źrenicach Fryca zatlił się jakiś błysk.

- Gdzie poszli?

- Naprawdę nie wiem. Może do leśniczówki, bo...

- Bo?

- Z przyzwyczajenia już tam chodzą - wtrącił Rafał. - Panie! pan przyrzekł mi odszukać więzioną tutaj kobietę, a tymczasem ucina pan sobie rozmówki. Fryc, otwórz te drzwi!

Dwoje drzwi prowadziło do dalszych komór. Były zamknięte. Za jednymi z nich ukryta była Joanna.

Klucz był niepotrzebny. U góry, nad futryną zamaskowany wielkim gwoździem, ukryty był rygiel. Zewnętrzne rygle już poprzednio Rafał był podsuwiał. Drzwi skrzypiąc lekko otworzyły się na oścież.

- Jo... - szepnął Rafał. Zaciśnął rękę na futrynie.

Siedziała skulona na wąskim zydłu pod przeciwległą ścianą, okryta jakimś szarym płaszczem. Nie podniosła głowy na zgrzyt otwieranych drzwi ani błysk światła. Drgnęła, gdy Rafał dotknął łagodnie jej ramienia.

- To ja jestem - powiedział cicho.

Oderwała rękę od twarzy. Rozszerzone od grozy, pociemniałe oczy utkwiała w stojącym przy drzwiach Frycu. Twarz miała bladą i spieczoną od gorączki usta. Bezwiednym ruchem odgarnęła włosy z czoła.

- Dobrze. Wyjadę. Ale rok szkolny muszę zakończyć.

- Nigdzie nie trzeba wyjeżdżać. To ja jestem - powtórzył Rafał. - Proszę się nie bać. Już wszystko jest dobrze.

Obróciła na niego ciągle jeszcze nieprzytomne oczy. Nie poznawała go.

- Rafał! - krzyknęła nagle. W pierwszym odruchu radości, nie myśląc nawet, co czyni, zarzuciła mu rękę na szyję. Przyłgnęła doń mocno całym ciałem, jakby się wtulić chciała w niego, schować.

- Rafał! Rafał! - powtarzała z twarzą mocno przywartą do jego piersi.

Hubert tymczasem pociągnął za sobą Fryca do sąsiedniej komory, tej, z której tu przyszli. Tam były jeszcze jedne drzwi. Chciał sprawdzić, co się za nimi kryje.

Joanna powoli oprzytomniała. Odchyliła głowę i podniosła na Rafała oczy. I teraz dopiero zdała sobie sprawę z tego, że ramionami obejmuje jego szyję. Opuściła je czym prędzej. Splonęła łuną mocnego rumieńca.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie mogłam się opanować. - I zaraz dodała z cechującą ją zawsze otwartością:

- Nie myślałam zresztą wcale o opanowaniu. Było to zupełnie odruchowe.

- Dlatego szczere - podchwycił Rafał.

- Pewnie, że szczere - potwierdziła przekornie. - Każdemu bym tak podziękowała. W takiej sytuacji...

- Tak? Dlaczego to pani nie rzuciła się na szyję temu drugiemu?

- Pan stał bliżej...

- Wolałbym to sobie inaczej tłumaczyć - mruknął zawiedziony. Nim zdążyła odpowiedzieć, wszedł Hubert prowadząc za sobą Fryca.

- Wie pan, co tam jest? Paręset kilo melinitu, granaty, pancerna fausty!... Istna zbrojownia, bandycki arsenał! Takie gniazdo!... Słuchaj - zwrócił się do Fryca - tylko nie próbuj mi kłamać albo twierdzić, że nie wiesz. Daleko jest do tej leśniczówki? Po co oni tam poszli?

- Niedaleko - wtrącił się powtórnie Rafał. - Około dwóch kilometrów, a na przełaj, przez las i tego nawet nie ma. Szukają Planu Wilka...

Hubert drgnął, otworzył usta i zamknął je, nie wypowiedziawszy słowa. Chwilę patrzył na Rafała wytrzeszczonymi oczami, potem skoczył ku niemu i chwycił go za ramię.

- Cooo? Co pan powiedział? Niech pan to powtórzy!

- Szukają Planu Wilka. Cóż w tym tak dziwnego?

- I pan to tak spokojnie? Pan wie, co to jest Plan Wilka? Nie starał się pan, aby temu zapobiec?

- Trochę wiem. I starałem się zapobiec.

Nagły krzyk Joanny przerwał dialog. Rozległ się głuchy stuk zatrzaśniętych drzwi i zgrzyt zasuwanego z tamtej strony rygla. Fryc wykorzystał moment ich nieuwagi.

Hubert rzucił się do drzwi. Na próżno. Ani drgnęły. Bełkot, śmiech i głośne prędkie słowa huczały za stalową płytą. Rafał podbiegł i pchnął zasuwę z tej strony. Przynajmniej byli spokojni, że tamten się tutaj nie przedostanie.

- To moja wina - jęczał Hubert. - Nie związałem mu rąk. A tam przecież granaty i broń...

Pobladł i rękami chwycił się desperacko za głowę. To on Frycowi rozwiązał ręce i nic pamiętał potem, aby je skrępować powtórnie.

Sytuacja była naprawdę groźna. Za cienką przegrodą drzwi miotał się ponury szaleniec.

Naraz światło zgasło i zaraz potem rozległ się głuchy, przytłumiony łoskot, od którego drgnęły betonowe ściany bunkra. Rafał zaświecił latarkę i troje ludzi skupiło się wokół krążka żółtego blasku.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tarlówko wjechał w półokrąg ostrego światła przed posterunkiem milicji w Starej Wsi. Oparł rower o siatkę okalającą placyk przed budynkiem i zadyszany ścierał pot, obficie sperlony na czole. Przyśpieszony oddech świadczył dowodnie o tempie, w jakim nowomianowany kierownik kamieniołomów odbywał podróż.

Drzwi jednak były zawarte na glucho i z wewnątrz nie dochodził żaden znak życia. Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza. Po krótkim wahaniu podszedł do drzwi i zakołatał w nie pięścią.

Wewnątrz jednak ktoś czuwał. Bo jak powiada Szekspir: „ktoś musi czuwać, aby ktoś mógł spać”. Surowy i niezadowolony głos rozległ się za zielono malowanymi okiennicami:

- Co tam? Kto się tam dobija?

- Na leśniczówkę ktoś napad urządził... Strzały słyszałem. Chciałem o tym zameldować... Tam trzeba im pomóc! - śpiewał po kresowemu Tarłówko.

Głos za okiennicą umilkł. Zaskrzypiały gdzieś drzwi wewnątrz domu. Z lewej strony rozległ się przyciszony mlask kroków i obok Tarłówki stanął młody milicjant. Przyglądał się badawczo przybyszowi.

- Aa, to pan! - zawołał, gdy Tarłówko odwrócił się w jego stronę. Poznał w nim szczęśliwego znalazcę skrzynki. - Mówicie, obywatelu, że napad na leśniczówkę? Był tu jeden z leśniczówki, Żychoń...

- Żychoń tu był? - wykrzyknął zdziwiony Tarłówko. - A może jest tu jeszcze? Tam jego przyjaciel w niebezpieczeństwie!

- Jemu się bardzo śpieszyło do komendanta. Pojechał za nim do Z.

- Pojechał do Z.? No widzicie! - najwyższe zdumienie i nuta potępienia zabrzmiały w głosie Tarłówki. - Taki gwałt był mu jechać do Z! A tam na przyjaciela jego napadli! A może on wiedział, że będzie napad, i uciekł? Może on nie pojechał do Z.? Takie mi podejrzenie po głowie chodzi...

- Pojechał, pojechał - uspokajał go milicjant. - Zresztą, list do komendanta zostawił, na wypadek, gdyby się rozminęli.

- List zostawił? No, proszę! I pewno w tym liście pisze do komendanta, że będzie ten napad... On coś wiedział! Panie... - Tarłówko przeszedł na ton konfidencjonalny - a nie można by przeczytać tego listu?

- Listu do komendanta?!

- To nic, to nic - tłumaczył Tarłówko, chwyciwszy przedstawiciela władzy za guzik przy mundurze. - Ale komendanta nie ma... A list jest urzędowy. Są tam może ważne sprawy... Pan bierze na siebie wielką odpowiedzialność, obywatelu milicjancie, nie chcąc przeczytać tego listu.

- Pismo jest do komendanta - powtórzył z uporem milicjant.

- Jak pan chce - rezygnował Tarłówko. - Jak pan chce, ale ja bym na pana miejscu przeczytał ten list.

Młody milicjant ruszył ramionami.

- A jak to z tym napadem? - zapytał nagle. - Był obywatel tam, w leśniczówce, czy jak?

- Nie, nie byłem, przejeżdżałem. Chciałem właśnie do nich jechać, kiedy usłyszałem strzały... Z rewolweru i z automatu serię... Nie skręcałem już tam. Prosto tutaj przyjechałem zameldować.

- Ee, jak z automatu, to może WOP? - zastanawiał się milicjant. - Szabrownicy mogliby mieć tylko rewolwery. Muszę jednak telefonować do Z. i powiedzieć komendantowi o pańskim doniesieniu.

- I niech pan powie, żeby tego Żychonia przytrzymali, jeżeli się tam pojawi. On mi się wydaje podejrzany. Ta jego ucieczka z leśniczówki przed napadem...

- A wy ciągle: uciekł i uciekł! Miał interes do komendanta, to przyjechał.

- A ten Żychoń nic więcej nie zostawił, tylko kartkę? Milicjant spojrzał zdziwiony.

- Powiedziałem, że kartkę, to kartkę... A co to was obchodzi? - spojrzał podejrzliwie. - Coś się pan za bardzo dopytuje o tego Żychonia i jego sprawy.

- Bo on mi się jakiś podejrzany wydaje. A jak pan będzie telefonował do komendanta, to niech pan powie, że ja meldowałem o tych strzałach na leśniczówce. I w protokole proszę zaznaczyć...

Tarłówko pozostał sam. Właściwie nie miał już tutaj co robić. Ci, którzy mieli przyjść za nim, spóźniają się albo stchórzyli haniebnie. Zaczeka jeszcze chwilę... Dostrzegł ławeczkę, kryjącą się w głębokim cieniu gęsto ulistwionego kasztana. Przysiadł na niej. Taka doskonała okazja przepadła! Można było opanować posterunek w chwili, gdy ten żółtodziób wychodził ha dwór. Ilu ich tam może być w środku? Co Żychoń napisał na tej kartce, którą zostawił dla komendanta? Czyżby ryzykował po nocy jazdę z Planem do Z.?

W tej chwili usłyszał psyknięcie dochodzące z przeciwnej strony drogi. Podszedł ostrożnie do gęstego żywopłotu. Zaszumiały liście i poruszyły się drobne gałązki. Świszczący oddech rwał słowa:

- Jesteśmy... kapitanie. Karl i Teufel poszli z tamtej strony, już tam są. Tu jest nas trzech... Co robić?

- Przejdźcie wszyscy na tamtą stronę. Postaram się wywołać milicjanta jeszcze raz. Gdy będzie wychodził, opanujecie drzwi.

Tarłówko wrócił na ławeczkę. Z głębi domu dochodziły głośno wymawiane słowa rozmowy telefonicznej, lecz tak zniekształcone, że zrozumieć ich nie mógł, mimo że pilnie nasłuchiwał. Gdzieś w sąsiedniej zagrodzie zaszczekał pies krótko i urywanie.

Ciekawy jestem, czy komendant powróci z Żychoniem - myślał Tarłówko. - Przyjmiemy ich odpowiednio. Dowiem się z tej rozmowy...

Niebo od północnego zachodu zaciągało się wolno płynącymi chmurami. Gwiazdy słabo przebłyskiwały przez zwałniane, coraz gęstsze obłoki. Powietrze stawało się parne i duszne.

Naraz w ciszy zabrzmiał odległy sygnał samochodu, słaby - mógł być złudzeniem, ale Tarłówko nastawił uszu. Dźwięk zabrzmiał i ucichł nie powtarzając się. Dłuższą chwilę nie było nic słyhać, aż z jakimś podmuchem wiatru przyplynał cichy, zmatowany odległością pomruk motoru. Znowu nie było nic słyhać, aż naraz już niedaleko od wsi rozbrzmiał wyraźny warkot silnika.

Tarłówko, który spodziewał się, że to może komendant i Żychoń wracają na motocyklach, zorientował się teraz, że to nie motocyklowe motory. Zerwał się z ławki, zadreptał niezdecydowanie w miejscu, lecz po chwili usiadł znów, zdając się na bieg wypadków.

Wielki, kryty ciężarowy wóz zajechał przed posterunek. Z szoferki wyskoczył komendant i jeszcze ktoś w długiej czarnej pelerynie. Przeszli szybko przez placyk do frontowych drzwi, które, ledwie zastukano w nie, otworzyły się szeroko. Spod płóciennej budy głowy żołnierzy w hełmach wychylały się i chowały jak sprężynowe zabawki. Z wewnątrz dochodził żywy gwar przyciszonych głosów.

Na posterunku zapłonęły wszystkie światła. Przez otwory okiennic spłynęły smugi blasku. Słyhać było ruch i krzątanie. Na betonowy podest przed wejściowymi drzwiami wyszedł komendant i rozejrzał się. Tarłówko wstał z ławki i wyszedł z cienia na światło.

- A, jest pan jeszcze! - zawołał komendant. W głosie jego zabrzmiało zdziwienie i ulga. - Dobrze, proszę, niech pan wejdzie.

Nie zdążyli przekroczyć progu, gdy zatrzymał ich rozgwar wśród żołnierzy. Dwóch zeskoczyło z samochodu. Drogą, już w kręgu światła, posuwała się dziwaczna figura, jakich od przeszło roku nie widywało się na tych drogach. Zmęczony, słaniający się na nogach mężczyzna w pasiaku szedł powoli, człapiąc obutymi w podarte papucie stopami.

- Cóż to znowu? - mruknął do siebie komendant.

Człowiek w pasiaku stanął i przyglądał się chwilę żołnierzom. Stał akurat w cieniu kasztana. Powiedział coś cicho do żołnierzy stojących obok samochodu. Jeden z nich wziął go pod rękę i wprowadził za ogrodzenie z siatki.

- Inżynier Gruza! - wykrzyknął komendant, nie posiadając się ze zdumienia. Rzekomy pasiak okazał się pidżamą. Na lewym rękawie czerniała wielka plama. Gruza chwiał się na nogach i otwartymi ustami chwytał łapczywie powietrze. Włosy, zlepione potem, opadały w kosmykach na czoło. Odgarnął je powolnym ruchem prawej ręki. Lewa zwisała bezwładnie wzdłuż ciała.

- Na miłość boską! Pan ranny? - komendant zbiegł ze schodków i troskliwie objął ramieniem Gruzę.

- Napad... na leśniczówkę... Uciekłem... - Gruza chrypiał ze zmęczenia.

Wprowadzili go do kancelarii posterunku. Jeden z milicjantów zajął się opatrunkiem. Rana nie była groźna. Kula przeszła przez mięśnie nad stawem łokciowym, nie naruszając kości. Gruza rozglądał się wśród krzątających się ludzi. Obcy człowiek w mundurze i długiej pelerynie siedział przy stole i niezdecydowanie obracał w rękach jakąś kartkę. Po chwili samotnej kontemplacji przywołał do siebie komendanta. Obaj pochylili się nad owym karteluszkiem.

- Gdzie Żychoń? - zapytał Gruza. - On przecież tu miał być.

- Był, ale nie zastał komendanta, i pojechał do Z. Musieli się minąć.

- Co to jest, u diabła, szyfr czy łamigłówka? - komendant podsunął Gruzie pod oczy kartkę, nad której odczytaniem biedził się przed chwilą.

Kurzawa interesuje się sąsiadem panny Topolskiej. Przeszukać legowisko siostrzyczki miłosierdzia. Inżynier Gruza objaśni, czego szukać.

Rafał Żychoń

Tarłówo, pochylony przez ramię Gruzy, przylgnął oczami do trzymanej przez niego kartki. Komendant również nachylił się nad Tomaszem, a wsparłszy rękę na poręczu krzesła, zasłonił Tarłówo część tekstu.

- Kurzawa... Kurzawa, to on sam, Żychoń. Kurzawa to jego pseudonim z czasów okupacji, z partyzantki... Reszta nie wiem, co znaczy...

- Pan nas ma przecie objaśnić. Siostra miłosierdzia...

- Siostrzyczka - poprawił jegomość w pelerynie, wychodząc zza balasek, którymi kancelaria podzielona była na dwie części.

- Mam, wiem, wiem! - Gruza podniósł palec w górę jak kaznodzieja. - Wiem, co znaczy siostrzyczka miłosierdzia, ale który to sąsiad może Rafała interesować, to nie mam pojęcia.

- Zdaje się, że już pada. Muszę zabezpieczyć rower. - Tarłówo wyszedł z kancelarii i stanął chwilę na betonowym podejściu, potem wolno wprowadził rower w cień kasztanu.

- Ale siostrzyczka miłosierdzia to jest panna Topolska! On ją tak nazywał, jako że go pielęgnowała po tym zamachu na drodze. A sąsiad?...

- Wieczorek! - zawołał komendant do jednego ze swoich podwładnych. - Idźcie do nauczycielki, tylko...

- Nauczycielki nie ma.

- Teraz, w nocy nie ma? I skąd ty o tym wiesz?

- Właśnie miałem panu komendantowi o tym zameldować... Ten pan... Żychoń, oddając list do obywatela komendanta, mówił, że nauczycielki nie ma, że wczorajszej nocy została uprowadzona.

- U-pro-wa-dzo-na?

- Tak mówił...

Jegomość w pelerynie podszedł, do rozmawiających.

- Komendancie, za długo już tego postojtu tutaj. Jedziemy!

- Ale słyszeliście przecież: nauczycielkę z mieszkania uprowadzili...

- Bardziej się w tej chwili obawiam o los porucznika Górnego.

- Jedziemy. Już jedziemy. Ale co zrobić z tymi sąsiadami nauczycielki. Należałoby przytrzymać ich do naszego przyjazdu...

- Zostawić dwóch ludzi na obserwacji - zdecydował właściciel peleryny. - Ludzi mamy dość... Jedźmy, komendancie.

- Już wsiadamy. - Komendant wydał swoim ludziom zostającym na posterunku rozkazy, a potem zwrócił się do Gruzy:

- Inżynierze, podwieźć was do leśniczówki, czy tutaj zostanieie? Lepiej byłoby zostać...

- Jadę z wami.

- Dobrze, tylko w tym pasiaku, to tak jakoś...

- Macie moją pelerynę, obywatelu inżynierze - ofiarował się przybysz z Z. - Gorąco w tym jak diabli...

- Panie Tarłówko! Panie Tarłówko! - wołał półgłosem komendant. Ale Tarłówki nie było nigdzie. Jeden z żołnierzy widział go odjeżdżającego na rowerze.

- Stary idiota ze mnie! - wymyślał sobie komendant. - Chciałem go wziąć za przewodnika, przecież to na jego terenie...

- Mam! Mam! - Gruza wyciągnął rękę spod peleryny i powiewał kartką Rafała. - Jeszcze chwileczkę uwagi.

- Co pan tam znowu ma? - skrzywił się komendant.

- Wie pan, kto to ten sąsiad panny Topolskiej? Właśnie Tarłówko. Że mi to wcześniej na myśl nie przyszło! Kiedy on jeszcze był tutaj... On interesuje Żychonia i chyba Żychoń do niego tam pojechał do kamieniołomów.

Komendant, porucznik z Z. - gdy zdjął z siebie mundur, widać było gwiazdki na naramiennikach - paru milicjantów, wszyscy skupili się wokół Tomasza.

- On wprowadził nauczycielkę. Nie wiem dla jakich celów, ale jestem pewny teraz, że to on. On był kiedyś, jeszcze przed wojną, sąsiadem panny Topolskiej. Ich rodzice mieszkali w tej samej wsi, Malwinki...

- Ona jest z Malwinek - mruknął komendant. - To się zgadza. Ale dlaczego miałby wprowadzać nauczycielkę?

- Bo on nie był wcale jej sąsiadem, tylko podawał się za niego - drobny ułamek rozmowy telefonicznej i zachowanie się Tarłówki podczas rozmowy o Joannie olśniły nagle Gruzę. - Tak, on się bał, aby go nie zdemaskowała! On nie był tym, za kogo się podawał!

- Jedźmy, komendancie! - nagiął porucznik. - Każdą minutę opóźnienia kładę już teraz na waszą odpowiedzialność.

Deszcz rozpadał się na dobre. Drobne, gęsto padające krople jednostajnie szeleściły wśród listowia kasztanu. Daleko na południu niebo rozjaśniało się od czasu do czasu krótką błyskawicą. Ale żaden odgłos grzmotu nie dobiegał tutaj. Burza przechodziła stronami.

Tomasza posadzono obok szofera. Komendant sapiąc ulokował się przy nim.

- Że też to wcześniej panu na myśl nie przyszło! - powtórzył zdanie Gruzy. - Nie dałbym barankowi uciec! Ale mi ta ucieczka dużo rozjaśniła w głowie. Wiele rzeczy teraz rozumiem inaczej. On się zmiarkował pewnie z tego listu, co to za sąsiad Topolskiej interesuje Żychonia, i do swojego „legowiska” uciekł. Nie ucieknie. Jeszcze po drodze go dogonimy.

Może ze sto metrów za wsią szofer gwałtownie zahamował. Wóz usiadł na lewej tylnej feldze. Nawaliła opona.

Tomasz myślał powoli, ale dokładnie. Nim nałożyli koło zapasowe, odwołał na stronę komendanta i porucznika.

- Jedziecie do kamieniołomów? - Porucznik skinął głową. - No, więc ja z wami nie pojedę. Rafał pisze, aby przeszukać legowisko i że ja mam objaśnić, czego szukać. Nie wiem, czego szukać u Tarłówki, w kamieniołomach, ale wiem, co Rafał miał przy sobie, jadąc na posterunek do pana. Nie zabrał tego ze sobą do legowiska Tarłówki, nie zostawił na posterunku, chyba dlatego, że pana nie było. Musiał więc zostawić gdzie indziej. Gdzie? Skąd wiedział, że nauczycielka jest wprowadzona? Był w jej mieszkaniu, w jej legowisku. Tak napisał, chociaż to nieładnie brzmi w odniesieniu do siostrzyczki miłosierdzia, ale to dlatego pewnie, aby było trudniej zgadnąć.

- A cóż takiego ten pański przyjaciel miał ze sobą? - zagadnął porucznik.

- Plan Wilka...

- Coo?!

- Plan Wilka. I dlatego muszę wrócić do wsi. Jak najprędzej...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Powietrze zdawało się drgać jeszcze od wstrząsu, który nastąpił w sąsiedniej komorze bunkra.

- Prędzej! prędzej! - Hubert pchnął lekko Joannę i Rafała w kierunku komory, z której się tutaj dostali.

Zamknął drzwi i pozasuwał rygle. Rafał odnalazł kontakt i przekręcił go. Ciemność trwała nadal.

- Wychodźcie oboje. - Hubert wskazał ręką wąską szczelinę w ścianie.

- A pan?

- Ja zostanę tu chwilę. Będę osłaniał wasz odwrót. Nie wiadomo, co zamierza ten szaleniec. Gorzej byłoby, gdyby nas wszystkich troje zaatakował już na ścieżce. Idźcie pierwsi.

Joanna wzdrygnęła się, ujrawszy wążutki jak wstążka skrawek ścieżki, przylepiony do skały, i niewiadomą przepaść bez dna pod nogami. Ale odważnie posunęła się kilka kroków.

- Chodźmy razem - upierał się Żychoń. - Po ciemku pan później nie przejdzie.

- Idźcie już. Ja przejdę... No, idźcie już, bo... - głos zadrgał mu takim zniecierpliwieniem, że Rafał zaprzestał próżnego oporu. Podawszy lewą rękę Joannie, w prawej trzymał latarkę i oświetlając ścieżynę wolniutko, krok za krokiem, posuwał się w dół. Ręka Joanny, czuł to wyraźnie, drżała lekko... Obejmował tę dłoń mocno i tkliwie.

Deszcz padał już dość dawno widocznie, bo ścieżka oślizła od wilgoci, co jeszcze utrudniało posuwanie się po niej. Doszli jednakże szczęśliwie do pojedynczych głazów, wiodących w dół, do owej trójściennej niszy. Rafał zeszedł dwa stopnie niżej i odwrócił się, by podać Joannie rękę i oświetlić jej drogę, gdy naraz ciasnym półkręgiem, tuż nad latarką, twardo zastukały szybko po sobie następujące uderzenia, posypały się odpryski skały. Z dołu zarechotała długa salwa automatu. Rafał odruchowo, zanim jeszcze ogniki strzałów idących z prawej strony od dołu przestały się ukazywać, zgasił latarkę. Gdy umilkła seria automatu, doszedł ich stamtąd dudniący bas szalonego Fryca. Wyszedł widocznie tym drugim wyjściem, o którym mówił, że droga do niego jest zaminowana.

Joanna krzyknęła cichutko i mocniej zacisnęła palce na dłoni Rafała. Objęła ich ciemność zupełna. Tamten z dołu wygarnął widocznie cały magazynek. Należało się śpieszyć, nim zdąży zmienić.

Jeden, drugi, trzeci stopień... Joanna zdawała się nie dotykać stopami głazów. Na przedprożu kamiennej wnęki Rafał skoczył na wypełnione drobnym szutrem dno. I w tym samym momencie miejsce, na którym stał przed chwilą, posiekane zostało nową serią automatu. Nie dokończoną serią... Hubert czuwał. Czuwał skutecznie. Jeden jedyny strzał, oddany przez niego, zmusił tamtego do milczenia.

Miałki szelest drobnych kropelek deszczu podkreślał jeszcze ciszę, jaka teraz zapadła. Dalekie i blade błyskawice na południowym niebie potęgowały ciemność. Po dłuższej chwili gdzieś z góry, ale już niedaleko od nich, spłynął szept Huberta:

- Pokaż mu światło, może się odezwie...
- Joanna jeszcze nie zeszła - odpowiedział również szeptem.
- I nie zejdzie, dokąd nie będzie można oświetlić jej drogi.

Albo strzał Huberta był celny, albo też szalony Fryc obrał inną metodę, bo ani światło, wolno wędrujące wzdłuż ścieżki, ani prowokujący dialog Huberta i Rafała nie skusiły go do odkrycia swojego stanowiska.

Po chwili Joanna, drżąc trochę z przeżytej emocji, znalazła się obok Rafała. Oparła mu obie ręce na barkach i przytuliła się lekko. Czuł na policzku jej oddech, gdy mówiła.

- Już nigdy nie będę - szepnęła.
- Czego „nie będę”, co?
- Nie będę zapierała się, jak tam, na górze... Bo widzisz, mogłabym była spaść z tej ścieżki, zabić się... I nie wiedziałabyś, że cię kocham... Przynależałam sobie, że jeżeli szczęśliwie...

Rafał był z lekka oszołomiony niespodziewanym wyznaniem Joanny. Objął ją mocniej ramieniem. Był szczęśliwy. Wskutek tego nawet nie pocałował Joanny, choć miał do tego najpełniejsze prawo i może... może Joanna spodziewała się tego.

- No, dzieci - rozległ się głos Huberta. - Naprzód marsz! Nie możemy tu popasać za długo.

Doszli szczęśliwie do celi, w której poprzednio uwięziony był Hubert. Zatrzymali się tutaj chwilę. W całym podziemiu panowała niczym nie zmacona cisza. Mała żarówka płonęła u pułapu korytarza, oświetlając go na kilkadziesiąt kroków w głąb. Dalej panowała ciemność.

- Jest taka anegdotka, w której są zawsze dwa wyjścia. My, niestety, mamy tylko jedno, i to nie wiemy dokąd wiedzie. Nie możemy zatrzymać się. Może tamci z tej leśniczówki już wrócili? Może Fryc?...

Posuwali się cicho i ostrożnie. Korytarz dość gwałtownie opadał w dół, stawał się coraz niższy i węższy. Słaby odblask żarówki przed celi dawno już przestał dawać złudzenie

jakiegokolwiek widoczności. Hubert zaśwycił latarkę. Po przejściu kilkudziesięciu kroków zatrzymał się.

- Którędy idziemy?

Korytarz rozgałęział się na dwa ramiona. Lewe jednakże po paru dziesiątkach kroków kończyło się bezładnym rumowiskiem głazów, ziemi i korzeni. Wrócili do głównego korytarza. Hubert poszedł sam naprzód. Po niedługiej chwili wrócił.

- Chodźcie. Korytarz dalej rozszerza się. Jest częściowo obmurowany cegłą. Dochodzimy, zdaje się, do jakiegoś końca.

Tak, korytarz kończył się. Płyta z grubych, dębowych desek, osadzona na mocnych zawiasach, zagradzała dalszą drogę. Ustąpiła dość łatwo, kiedy wspólnie naparli na nią ramionami. Znaleźli się w jakiejś piwnicy, wyłożonej cegłami, o ścianach również murowanych z cegieł. Otwór, przez który weszli tutaj, zamaskowany był także wycinkiem muru, osadzonym na owej płycie z dębowych desek. W przeciwległej ścianie piwnicy było dwoje jednoskrzydłowych drzwi. Nim zdecydowali się, przez które wyjść, w szparze u dołu tych na prawo zabłysnął wąziutki promyk światła i rozległy się głosy. Rafał i Hubert cofnęli się nieco, sądząc, że tamci idą w ich kierunku. Ale nie szli. Wiedli dalej swój niezrozumiały dyskurs. Jeden z tych głosów, o twardym rozkazującym brzmieniu, dudnił zniecierpliwiony i zły, odpowiadał mu drugi, skrzekliwy, krótko i urywanie.

Hubert próbował otworzyć drzwi, za którymi rozlegały się owe głosy. Ustępowały bez trudu. Przywołał gestem Rafała i tłumaczył mu najcichszym szeptem.

- Ja wpadnę tam, a ty uważaj - to „ty” było bardziej naturalne w tej sytuacji. - I w razie jakiegoś podejrzanego ruchu z ich strony - strzelaj. Nie bardzo wierzę w *Haende hoch!* w ich położeniu. Lepiej być przygotowanym na walkę..

Wszedł energicznie do środka. Mężczyzna o tęgiej, czerwonej twarzy poczerwieniał jeszcze bardziej, a oczy omal mu z orbit nie wyszły, kiedy poznał Górnego, który powinien już być zlikwidowany zgodnie z rozkazem, wydanym Frycowi. Sam przecież wydał ten rozkaz.

Rafał odebrał broń obu jeńcom i kazał im stanąć w pustym rogu izby. Podeszedł do stołu. Leżało tu kilka luźnych kartek papieru. Wziął do ręki pierwszą z wierzchu, zapisaną szerokim, dużym pismem. Atrament jeszcze nie obsechł. Obok leżało wieczne pióro.

Za wszelką cenę odebrać Plan. Zameldować w milicji o znalezieniu zwłok zlikwidowanego szpicla. Nauczycielkę zlikwidować bez śladu. Utrzymać się na posterunku bez względu na niebezpieczeństwo do ostatniej chwili. W razie odkrycia wszystkiego zniszczyć podziemia. Przysyłać meldunki w sprawie Planu.

- A oto najdokładniejszy plan podziemi, w których byliśmy! - zawołał Hubert, podnosząc inną z kartek. - O, tu zaznaczone miejsca zaminowań!

Jeńcy ciężkim wzrokiem spode łba wodzili za każdym ruchem Żychonia i Górnego. Dopiero teraz Rafał mógł rozejrzeć się po izbie, w jakiej się znaleźli. Była to taka sama piwnica czy sutereka jak ta, z której tu przyszli, murowana z czerwonych cegieł, wyłożona cementową posadzką.

Przy jednej ze ścian stał mocny, masywny stół dębowy, cztery wokół niego krzesła o wysokich oparciach, opodał wąski tapczan, nad nim zaś nieaktualny portret. Przy ścianie przeciwległej stały żelazne schodki. Kłapa nad nimi była otwarta. Rafał wspiął się kilka szczebli w górę. Pokój, do którego zajrzał, wydał mu się znajomy.

- Wiecie, gdzie jesteśmy? W dworku myśliwskim barona von Stromberga, a raczej pod nim, i wobec tego proponuję, abyśmy poszli na górę, bo mi już zimno od tych murów i skał daje się we znaki. I tobie pewno, Joanno?

Rafał szedł ostatni. Zgasił za sobą światło i starannie zamknął kłapę. Kłapę ową tworzyła płyta paleniska, rozebranego niemal do połowy kominka, znajdującego się w hallu, zawieszonym gęsto trofeami myśliwskimi. Któż by się domyślił, że maskuje ona zejście do podziemi?

Hubert dostrzegł w kącie krążek izolowanego drutu. Odmierzył potrzebną ilość, odciął i podszedł do jeńców.

- Jestem pułkownikiem - powiedział wyniośle tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy i schował ręce za siebie.

- Dobrze, że mi to powiedziałaś - ucieszył się Hubert. - Tym mocniej cię skrupuję. Przez szacunek dla szarży. No, dawaj ręce albo w tył zwrot, jeżeli wolisz mieć je skrupowane za plecami.

Hans, operetkowy ordynans, skwapliwie wyciągnął przed siebie ręce, gdy Hubert podszedł do niego, i nawet szepnął przymilnie:

- *Och, bitte, Hen Offizier.*

Przeprowadzono jeńców do pokoju, w którym Rafał za pierwszą tu bytnością poczuł zapach wypalonego cygara. Hubert kazał im stanąć pod ścianą, sam zaś ulokował się naprzeciwko, zasiadając wygodnie na krześle.

- Pan pułkownik, Fryc i ta tu figurka - wskazał Hansa - to trójka. Gdzie jest reszta? Gdzie wasz komendant? No, Hans?

Hans otworzył już usta, ale nim zdążył odpowiedzieć, gdzieś w głębi domu zabrzmiały miarowe, głuche uderzenia. Jeńcom na moment zajaśniały oczy, ale wnet skryli je za skromnie opuszczonymi powiekami. Uderzenia w miarowych odstępach powtórzyły się.

Rafał cicho pobiegł na górę. Otworzył okno i wychylił głowę. Na podeście przed drzwiami frontowymi stał Tarłówko. Był sam. Rafał zeszedł do hallu i nie zapalając światła, poodsuwał rygle. Tarłówko wszedł. Rafał trzymał go w kręgu blasku swojej latarki.

- Pułkownik jest? Zrób światło!

- Bliżej ciebie jest kontakt. Zaświeć. Tylko bez sztuczek! - ostrzegął Rafał.

- Ach, to pan! Spodziewałem się, że mi kto inny otworzy... Dlaczego dotąd ich nie ma? Ale wiedziałem, że pan tu jest. Odłóż broń, Żychoń. Nie przyszedłem się strzelać. Chcę ci zaproponować ipewien układ.

Równe, mocne światło wypełniło hall. Rafał, trochę skonsternowany spokojem Tarłówki, trzymał go jednak pod lufą rewolweru.

- Cóż to za układ? Ciekawym.

- W zamian za papiery, które wydobyliście z kominka w leśniczówce, daruję ci życie Joanny Topolskiej.

- Tanio chcesz wycyganąć ode mnie Plan Wilka.

- Ach, już wiesz, co to jest? Tym lepiej. Wiesz, jak bardzo mi na tych papierach zależy. A tobie zależy na życiu...

- Nie trudź się, Tarłówko. *A propos*, skąd wzięłeś papiery na to nazwisko?

- Jeśli cię to interesuje: odziedziczyłem. Jemu się zmarło, biedakowi.

- Z twoją pomocą pewno!

- No więc - Tarłówko nawrócił do swojej propozycji - nasz układ? Życie ludzkie, życie Joanny Topolskiej, za świstki papieru. I ty to nazywasz tanio?

- Za jedno życie sprzedać ci możność pozbawienia go tysięcy? To tanio.

Hubert wszedł do hallu, trzymając kawał izolowanego drutu.

- Czy nie za długo dyskutujesz z tym panem, Rafał? Trzeba go będzie do tamtych do kompletu. Jak myślisz?

Tarłówko cofnął się o krok. Błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni. Ale Hubert był szybszy. Chwycił go za rękę, zanim tamten zdążył ująć rewolwer.

- To was nie uchroni przed zemstą! - krzyczał Tarłówko. - Moi ludzie tu będą za chwilę. A Topolska... zginie! Zginie głodową śmiercią. Ratuj ją, zakochany głupcze, jeżeli potrafisz, beze mnie. Nikt tam nie dojdzie. Nikt nie wie, gdzie ona jest.

Wokół domu zadudniły ciężkie kroki. W hallu i w głębi domu rozbrzmiały brzęczki alarmowe, niegłośnie, aby nie było ich słychać na zewnątrz. Światło automatycznie zgasło. Hubert momentalnie zaświecił latarkę.

- Bądź tutaj. Ja pobiegnę do Joanny - zawołał Rafał. Ale to okazało się niepotrzebne. Żarówki wnet zapłonęły na nowo. Ktoś zakolał do drzwi donośnie, nakazujące

- Tu milicja i wojsko! Otworzyć! - Rafał poznał głos komendanta posterunku. Bez pośpiechu odsuwał rygle.

- Nic dzisiaj nie robię, tylko otwieram drzwi. - W szparę między futryną i uchylonym skrzydłem drzwi wsunęły się lufy automatów. Wszedł komendant, jakiś człowiek w mundurze porucznika i dwóch żołnierzy. Komendant uściśnął serdecznie rękę Rafała.

- Jest pan! - odetchnął z ulgą. - Wszyscy obawialiśmy się o pana. - Rozejrzał się dokoła. - Ou, jest i pan Tarłówko! Wyprzedził nas pan trochę... Ale to nic, widzę, że miał się panem kto zająć. No i ładnie, że nas pan przyjmie jako gospodarz.

W tej chwili Hubert wprowadził do hallu pułkownika i ordynansa.

- Ho, ho! Cały komplecik, nieliczny, ale doborowy! - ucieszył się komendant. - A to pewnie porucznik Górny? - podszedł do Huberta i przywitał się z nim. - Mieliśmy o panu telefonogram z województwa. I o tym podróżniku - wskazał pułkownika. - Wrocławski Urząd nadesłał o nim wiadomości. Reszty dopełnił szofer, który go tutaj przywiózł. Mossur zaś objaśnił nam, że siedzibą bandy są kamieniołomy. Nie wiedział tylko dokładnie co, jak i gdzie. Ale nic, chłopcy już tam szukają. Znajdą wszystko, co trzeba.

- Przerwijcie poszukiwania! - zawołał Żychoń. - Tu niektóre wejścia do lochów są zaminowane. Ale plany podziemi są w naszych rękach.

Tarłówko dźgnął go nienawistnym spojrzeniem.

*

Joanna z całą znajomością rzeczy zajęła się rannym Gruzą.

Rafał wyszedł na werandę. Stał patrząc, jak słońce wyłaniało się z powijaków chmur, burych i postrzępionych, sunących po wysokim niebie niczym płaty gręplowanej wełny. Ostatki ich uciekały na południe, czepiając się jeszcze porośniętych lasem dalekich szczytów. Młoda wiosenna zieleń, zroszona deszczem, przeświecona słońcem, grała żywą, pulsującą w niej krwią.

W całym domu rozszedł się zapach mocnej, aromatycznej kawy. Leniwy przeciąg wyniósł go na werandę. Joanna cicho, na paluszkach, podeszła i stanęła obok Rafała. Oparła się o jego ramię.

- Patrz, jak tu pięknie - szepnęła. - Aż szkoda stąd będzie odjeżdżać.

- Po co odjeżdżać? Tu będziemy żyć i pracować. Spojrzał na jej lekko pochyloną głowę. Niesforne loki mieniły się w słońcu jasnym szczerym złotem. Delikatnie ujął jej rękę, jak coś niezmiernie kruchego i cennego.

- Widzisz... widzisz, Joanno - mówił powoli - ja jeszcze... nie powiedziałem ci... że cię kocham.

Podniosła ku niemu błyszczące szczęściem i słońcem oczy.

- Głuptasku! Ja to wcześniej od ciebie wiedziałam.